

Kod dostępu
do **Wyborcza.pl**
na weekend

Plakat **Andrzeja Pągowskiego** znajdziesz w środku
Polskę naszą w sobie

Zabierz go na niedzielny marsz. Zaproś bliskich, przyjaciół, sąsiadów



FOT. OLEG NIKISHIN/GETTY IMAGES



MAGAZYN

wyborcza

NIE MA WOLNOŚCI BEZ SOLIDARNOŚCI

wyborcza.pl



Wybieram
przyszłość

Wybieram
przeszłość

FOT. JAKUB WŁODEK, DAWID ŻUCHOWICZ / AGENCJA WYBORCZA.PL



16 miesięcy
w areszcie
wydobywczym
PiS ► **8**

Bracia Godziek
przeskoczyli
Amerykanów
Na rowerze ► **26**

Dwa tygodniowo
Moda na porywanie
samolotów
► **46**



WYSOKIE OBCASY

Tilda Swinton
Duchy, moi przyjaciele
Dorośła córka
wraca do domu

Apel Trzech

Kochasz Polskę?
Głosuj
na Trzaskowskiego

Jesteśmy połączone udziałem w Powstaniu Warszawskim w 1944 roku.

Wanda Traczyk-Stawska – rocznik 1927
– z bronią w ręku
Anna Przedpełska-Trzeciakowska – rocznik 1927
– sanitariuszka.
Krystyna Zachwatowicz-Wajda – rocznik 1930
– łączniczka.

Pamiętamy wrzesień roku 1939 – początek II wojny światowej.

Wiemy wszystko o źródle nazistowskich zbrodni. Tym źródłem jest nacjonalizm.

Pamiętamy antysemityzm, który zrodził Holokaust – najokrutniejszą zbrodnię ludzkości.

Nie możemy zrozumieć, jak to możliwe – gdy żyją jeszcze świadkowie tej wojny – że te zbrodnicze ideologie odżywają w Polsce i pod pokrywką patriotyzmu zatruwają umysły i serca tylu młodych ludzi.

Nie możemy zrozumieć, jak to możliwe, że zbrodnicze ideologie odżywają w Polsce i pod pokrywką patriotyzmu zatruwają umysły i serca tylu młodych ludzi

Nie możemy pojąć, jak antysemicka partia Brauna może istnieć w Polsce.

W obliczu okrutnej wojny Rosji przeciwko wolnej Ukrainie,

w obliczu prawdziwego niebezpieczeństwa ze strony Putina, który jasno mówi o ataku na Polskę, PiS i Konfederacja chcą wyprowadzić nas z Unii Europejskiej – gwarancji naszego bezpieczeństwa. Taki jest przekaz tych partii.

Apelujemy do wszystkich Polaków o opamiętanie i głosowanie w wyborach prezydenckich na kandydata, którego wybór zapewni nam wszystkim bezpieczeństwo i rozwój naszej Ojczyzny. Na Rafała Trzaskowskiego.

Z wielką nadzieją, że nasz apel spotka się z poparciem. ●



Wanda Traczyk-Stawska



Anna Przedpełska-Trzeciakowska



Krystyna Zachwatowicz-Wajda

Andrzej rysuje



Holandia

Zdrowe jest życie staruszka



FOT. PAP/EPK/JOEN VAN WEELE

Wtorek 21 maja, Amsterdam, National Rollator Run na Stadionie Olimpijskim. Co roku po zapaleniu znicza olimpijskiego w marszobiegu z chodzikami, mającym promować ruch w podeszłym wieku, uczestniczy kilkuset starych ludzi. Niby niewielu, ale osiągają efekt – o imprezie rozpisują się portale, pokazują ją telewizje.

Kod dostępu
do Wyborcza.plChiński smok istnieje
Chengdu J-10C

Na początku maja doszło do walki powietrznej pomiędzy Pakistanem a Indiami. Choć trwała niecałe pół godziny, zwróciła uwagę świata na chiński przemysł zbrojeniowy. Pakistan pochwalił się zestrzeleniem aż pięciu maszyn: trzech francuskich Rafali oraz rosyjskich Su-30 MKI i MiG-29.

Islamabad poinformował, że sukces osiągnął dzięki kupionym od Chin samolotom J-10C i przenoszonym przez nie rakietom PL-15. Było to pierwsze użycie tego sprzętu w prawdziwym boju. J-10C to jednosilnikowy wielozadaniowy myśliwiec wykorzystujący skrzydło delta i tzw. konstrukcję kaczki (ster wysokości znajduje się w części dziobowej), porównywalny z F-16, Rafalem i Eurofighterem Typhoon. Prace rozpoczęły się w Chengdu jeszcze w 1984 r. Podejrzewa się, że na ostateczny kształt samolotu miała wpływ współpraca z Izraelem i przekazanie Pe-



FOT. MINISTERSTWO OBRONY NARODOWEJ CHIN

kinowi projektu zarzuconego myśliwca IAI Lawi, do którego J-10 jest bardzo podobny, choć większy.

J-10 wszedł do służby w 2006 r. Może przenosić rakiety powietrze-powietrze, powietrze-ziemia, przeciwokrętowe lub przeciwradiolokacyjne oraz bomby naprowadzane laserowo. Potrafi zagłuszyć komunikację wroga i oszukać jego rakiety.

Analitycy przewidują, że J-10C może być hitem eksportowym Chin. Cena 50–60 mln dol. będzie konkurencyjna wobec F-16, zwłaszcza dla krajów niezachodnich, które usiłują uniezależnić się od USA. ●

Robert Stefanicki

Cytat tygodnia

*W administracji
Trumpa
dystryminacja
nie będzie
tolerowana
na terenie
kampusu*

Z RZĄDOWEGO KOMUNIKATU
O KOLEJNYM WSTRZYMANIU
DOTACJI

– znów pod pretekstem walki
z antysemityzmem
– dla Harvardu

Liczba tygodnia



FOT. REUTERS/TINGSHU WANG

nowych chińskich samochodów kupili Polacy w kwietniu. Względem ubiegłego roku to wzrost o 470! procent.

Tajemnica sukcesu – złote, a skromne. Złote są gabaryty i wyposażenie, skromna jest cena – MG, Omoda, JAECO czy BAID wyceniają na 80-130 tys. zł samochody, które u europejskiej konkurencji kosztowałyby kilkadziesiąt tysięcy więcej. Dzięki przemyślanej ofensywie – mnóstwo modeli i obecność w mediach – Chińczykom udało się zbudować rozpoznawalność i przełamać nieufność klientów.

Więcej na Wyborcza.biz w raporcie Karoliny Chojnackiej

Tęsknota za podróbką

Tam, gdzie panuje chaos, tam zwycięża ten, kto obieca mur. Niezależnie od tego, co lub kto będzie za nim.



Marcin Matczak

Młodość ma swoje prawa – bunt, przekorę, głód sensu. Chce być „kontra”, rzucić kamieniem w mur hipokryzji, nijakości, układu. Ale jak pokazują wyniki I tury wyborów prezydenckich, z tego buntu rodzi się coś, co bardziej przypomina konserwatyzm niż lewicową rewolucję.

Chodzi z jednej strony o powrót do tradycyjnych wartości, co nie musi być złe. Ale także o podziw dla polityka, który wita na lotnisku wracającego z RPA mordercę i rasistę jak papieża, a potem dostaje 6 proc. głosów. Chodzi o partię, której przywódca z niechęci do Żydów i Ukraińców zrobił swój znak rozpoznawczy, i zdobyli ponad 20 proc. głosów.

Wyniki pokazują, jak bardzo młodzi ludzie są zmęczeni relatywizmem, jak bardzo szukają prostych odpowiedzi w złożonym świecie. I jak łatwo dają się uwieść tym, którzy obiecują porządek.

Jednolitość przez wykluczenie

W czasach, kiedy ludzie myślą ojcostwo z płaceniem alimentów, łatwo jednak pomylić rzecz realną z podróbką. Ten konserwatyzm, wylewający się z wyborczej propagandy, to często właśnie podróbka. Nie bunt, ale kapitulacja, przede wszystkim intelektualna. Nie nowy początek, lecz powrót na tor historii, który już nieraz kończył się katastrofą.

Ale żeby o tym kogoś przekonać, trzeba najpierw zrozumieć, czym ta – czasami dobra, czasami zła – tęsknota za konserwatyzmem naprawdę jest.

Po pierwsze – ten udawany konserwatyzm ma brunatne ciagoty. Wbrew temu, co wielu głosi, nie jest kopią dawnych faszyzmów. To raczej jęki łagodniejszy, zmutowany, współczesniejszy krewny. Nie maszeruje w mundurze, nie krzyczy „Heil!”, nie pali książek na placach. Jest bardziej subtelny, bardziej memiczny. Pojawia się w TikToku, w ironicznym komentarzu, w hasło „nie jestem rasistą, ale...”. Zamiast o „czystości rasy”, mówi o „ochronie kultury”. Niby troszczy się o wspólnotę, a przemycia ideę, że naród trzeba „oczyszczyć” z „brudnego” elementu.

Jest tęsknotą za jednością, która zmienia się w nienawiść do różnicy. To idea narodu jako monolitu, który tak naprawdę nie dba o wspólnotę, raczej nienawidzi złożoności i tęskni za jednolitością – nawet jeśli ma być okupiona wykluczeniem. To nie powrót do przeszłości. To próba zbudowania przyszłości na strachu przed teraźniejszością.

Tożsamość jak towar

Po drugie – udawany neokonserwatyzm, zamiast głębokiej refleksji nad wartościami, oferuje młodym coś bardziej uwodzącego: gotową tożsamość. Nie musisz się zastanawiać, kim jesteś – jesteś „nasz”. Nie musisz negocjować znaczeń – wszystko jest jasne: oni są zli, my dobrzy. W świecie pełnym niepewności taka oferta brzmi jak zbawienie, ale nim nie jest. Bo nie tworzy idei, a wroga. Migranta, feministkę, „zachodnią ideologię”, „brukselskie elity”. To nie jest

program – to emocjonalna strategia. I działa. Bo gdzie panuje chaos, tam zwycięża ten, kto obieca mur. Niezależnie od tego, co lub kto będzie za nim. To estetyka siły, która udaje moralność.

Po trzecie – udawany konserwatyzm, zamiast budować, straszy. Polityka straszenia to broń ludzi, którzy nie wierzą w twoją inteligencję. To alarm, który nie pozwala myśleć, tylko każe reagować. Kiedy ktoś mówi: „albo my, albo anarchia”, apeluje do tego kawałka mózgu, który przed tysiącami lat uciekał przed drapieżnikiem, a nie budował wspólnotę opartą na różnorodności.

Kto straszy, nie debatuje, ale tresuje. A człowiek inteligentny nie powinien dawać się prowadzić na smyczy lęku. Powinien odruchowo wątpić, gdy ktoś krzyczy „oni są zagrożeniem!”. Bo może największym zagrożeniem jest właśnie ten, kto krzyczy.

„Nie pytaj – trzymaj się linii”

Po czwarte – udawany konserwatyzm promuje sztywność jako odpowiedź na płynność świata. Filozofowie od Heraklita po Baumaną pisali: świat nie jest trwałą strukturą – jest strumieniem. Panta rhei, wszystko płynie: tożsamość, poglądy, wartości.

Sztywność wydaje się bezpieczna. Mówi: „To jest białe, to jest czarne. Ty jesteś taki, oni są inni. Nie pytaj, nie szukaj – trzymaj się linii.” Gdy ktoś jest niepewny, sztywność daje złudzenie oparcia. Ale właśnie dlatego jest tak zdradliwa – bo zamyka umysł, z nim ten zdąży naprawdę pomyśleć.

Sztywność to trzymanie się jednej „prawdy”. Konserwatyzm w wersji, którą widzieliśmy w tych wyborach, udaje, że jest wnikliwy i analityczny. A w rzeczywistości? Złożona sprawa aborcji – jedna odpowiedź. Skomplikowana kwestia migracji – jedna odpowiedź. Społeczna rola kobiety – jedna odpowiedź. Zamiast myślenia – dogmaty.

Płynność nie oznacza braku zasad. Oznacza gotowość do ich przemyślenia. Trzeba znieść to, że są tacy, którzy myślą, modlą się i wyglądają inaczej. Że nie ma jednej narracji i jednej odpowiedzi. A chaos nie jest wrogiem – jest przestrzenią możliwości. Tylko w nim może zaistnieć wolność.

Tango zdezorientowanych

Po piątę – udawany konserwatyzm zeruje na relatywizmie, który promują jego krytycy. A młodzi, jak w „Tangu” Mrożka, chcą nie tylko wolności, ale też formy. Nie tylko tolerancji, ale i stabilnych wartości. A kiedy wszystko staje się względne – pleć, tożsamość, kultura, historia – to nie wyzwolenie się dokonuje, ale rozpad. I w tej pustce nie rodzi się więcej wolności, ale strach i zagubienie. Udawany konserwatyzm rośnie tam, gdzie ludzie są zdezorientowani. Nie wszystko, co rozluźnia normy, jest wyzwalające. Świat bez formy nie zawsze jest lepszy – często jest bardziej przerażający. Granice – kulturowe i tożsamościowe – nie są opresją, ale warunkiem gościnności.

Po szóste – płytki, oparty na strachu konserwatyzm to droga donikąd. To nostalgia za światem, którego nigdy nie było, i pogarda dla świata, który dopiero tworzymy. Bo nie da się budować wartości na nienawiści.

Wyniki I tury pokazują, że nowoczesność i postęp dla wielu, zwłaszcza młodych ludzi, to coś, co trzeba ukrócić, nie hołubić. I szk, niedowierzanie czy obrażanie się nic tu nie pomogą. Trzeba zrozumieć, dlaczego tak jest, i na tę potrzebę konserwatyzmu odpowiedzieć w sposób realny. Bo odpowie za nas ktoś inny. Głośniejszy, płyciej i groźniejszy. ●

Źródły pochodzą od redakcji

REKLAMA

Kraj/3437606

Albatros travel

Japonia z Albatrosem

OCENA NASZYCH KLIENTÓW

4,8/5

OCENA NASZYCH KLIENTÓW

Poznaj największe atrakcje Japonii od nowoczesnego Tokio do przesiąkniętego tradycją uroczego Kioto, poruszając się najszybszym pociągiem świata – Shinkansenem.

Program wycieczki: **Dz. 1** Wylot z Warszawy do Tokio. **Dz. 2** Przyłot do Tokio, Japonia. **Dz. 3** Tokio. Świątynia Asakusa, wieża telewizyjna Skytree, dzielnica sklepów Ginza, Tokyo International Forum i Pałac Cesarski. **Dz. 4** Pociągiem Shinkansen do Hiroshimy oraz wyspa świątyni Miyajima. **Dz. 5** Kopuła Bomby Atomowej, Park Pokoju, Muzeum Pokoju w Hiroshimie. Pociągiem Shinkansen do Kagoshimy, Ogród Sengan-en. **Dz. 6** Kagoshima. Wulkan Sakurajima, Muzeum Kamikadze, dzielnica samurajów oraz kąpiel piaskowa w Ubuseki. **Dz. 7** Pociągiem Shinkansen do Kioto. Targ Nishiki i uroczą dzielnicę gejsz w Gion. **Dz. 8** Kioto. Wycieczka do Nary, Zamek Nijo, Ogród Ryoanii i Złoty Pawilon. **Dz. 9** Kioto. Dzielnica Arashiyama, świątynia Tenryu-ji i las bambusowy, świątynia shinto Fushimi Inari-taisha. **Dz. 10** Pociągiem Shinkansen do Tokio. Świątynia shinto Meiji Jingu, Shibuya i wierny pies Hachiko oraz dzielnica Harajuku. **Dz. 11** Wycieczka do Parku Narodowego Hakone. **Dz. 12** Tokio, wylot do Warszawy. **Dz. 13** Przyłot do Warszawy.



13 dni | Wyloty z Warszawy 09/11 2025,

08/03 2026 | od 20.998,-

Dookoła Islandii – wulkany, gejzery i lodowce

OCENA NASZYCH KLIENTÓW

4,6/5

OCENA NASZYCH KLIENTÓW

Wspaniała wyprawa dookoła wyspy słynącej z gorących źródeł, potężnych wodospadów i barwnej historii zapisanej w starych nordyckich sagach.

Program wycieczki: **Dz. 1** Przelot Warszawa – Keflavík. Przyłot na Islandię i przejazd do Reykjavíku. **Dz. 2** Reykjavík – Zachodnia część wyspy. Zwiedzanie Reykjavíku i Parku Narodowego Þingvellir. **Dz. 3** Islandia Zachodnia – Akureyri. Wodospady, gorące źródła, fiordy w rejonie Nordland, konie w Skagafjörður, historia islandzkich sag oraz Reykholt. **Dz. 4** Akureyri – Wycieczka do wodospadu Godafoss (wodospad Bogów) i Rezerwatu Przyrody Mývatn. Fakultatywnie poranne safari morskie z obserwacją wielorybów. **Dz. 5** Akureyri – Fiordy Wschodnie. Husavík, wąż Asbyrgi, wodospad Dettifoss i Egilsstadir. **Dz. 6** Fiordy Wschodnie i Wybrzeże Południowe. Laguna Jökulsárlón, lodowiec Vatnajökull i Park Narodowy Skaftafell. **Dz. 7** Południowe wybrzeże – Reykjavík. Okolice Vík, czarne plaże, wodospady Seljalandsfoss i Skógafoss, gejzery i „złoty” wodospad Gullfoss. **Dz. 8** Reykjavík. Czas wolny i powrót do domu. **Dz. 9** Przyłot do Warszawy.

9 dni | Wyloty z Warszawy 29/07, 24/08 2025

12.998,-

Dookoła Islandii – wulkany, gejzery i lodowce

Wspaniała wyprawa dookoła wyspy słynącej z gorących źródeł, potężnych wodospadów i barwnej historii zapisanej w starych nordyckich sagach.

Program wycieczki: **Dz. 1** Przelot Warszawa – Keflavík. Przyłot na Islandię i przejazd do Reykjavíku. **Dz. 2** Reykjavík – Zachodnia część wyspy. Zwiedzanie Reykjavíku i Parku Narodowego Þingvellir. **Dz. 3** Islandia Zachodnia – Akureyri. Wodospady, gorące źródła, fiordy w rejonie Nordland, konie w Skagafjörður, historia islandzkich sag oraz Reykholt. **Dz. 4** Akureyri – Wycieczka do wodospadu Godafoss (wodospad Bogów) i Rezerwatu Przyrody Mývatn. Fakultatywnie poranne safari morskie z obserwacją wielorybów. **Dz. 5** Akureyri – Fiordy Wschodnie. Husavík, wąż Asbyrgi, wodospad Dettifoss i Egilsstadir. **Dz. 6** Fiordy Wschodnie i Wybrzeże Południowe. Laguna Jökulsárlón, lodowiec Vatnajökull i Park Narodowy Skaftafell. **Dz. 7** Południowe wybrzeże – Reykjavík. Okolice Vík, czarne plaże, wodospady Seljalandsfoss i Skógafoss, gejzery i „złoty” wodospad Gullfoss. **Dz. 8** Reykjavík. Czas wolny i powrót do domu. **Dz. 9** Przyłot do Warszawy.

9 dni | Wyloty z Warszawy 29/07, 24/08 2025

12.998,-

albatros.pl | rezerwacja +48 22 128 48 81

Warszawa, ul. Marszałkowska 76, Sp.

Kod reklamy: GW13

Cena zawiera: BILETY WSTĘPÓW, opiekę polskiego pilota, przeloty rejsowe, zakwaterowanie w pokojach 2-os., wyżywienie i transport zgodnie z programem, ubezpieczenie podstawowe.

1 RP

eprasa.pl ded23e5c60



Z PROF. ANTONIM DUDKIEM
ROZMAWIA
BARTOSZ T. WIELIŃSKI

W JAKIEJ *Polsce* ZNAJDZIEMY SIĘ ZA ROK

To, przed czym wzdragał się Kaczyński, Nawrocki robi z uśmiechem na ustach.

BARTOSZ T. WIELIŃSKI: Od miesięcy pan powtarza, że Karol Nawrocki to człowiek, który nie nadaje się na prezydenta
PROF. ANTONI DUDEK: – Nawrocki nie ma ani predyspozycji moralnych, ani kwalifikacji merytorycznych do tego, żeby zostać głową państwa i dał tego liczne dowody – także te opisywane na łamach „Wyborczej” – poczynając od tego, co wyprawiał w Muzeum II Wojny Światowej i co kontynuował jako prezes Instytutu Pamięci Narodowej.

Mówił pan też, że Nawrocki to człowiek, niebezpieczny.

– Powiedziałem to w grudniu i pamiętam reakcję ze strony przeciwników PiS. Doszło do mnie, że na przykład politycy Platformy bardzo ucieszyli, że symetrysta Dudek ostrzega, ale przecież ten Nawrocki to jest nikt, nic nie działa. Twierdzili, że Nawrocki to katastrofalna decyzja prezesa, że Rafał Trzaskowski go zmiażdży.

Minęło mniej niż pół roku i widzimy, że ten nikt jest o krok od wejścia do Pałacu Prezydenckiego.

Proszę zwrócić uwagę, jak Nawrocki się rozwinął retorycznie. Dziś w publicznych wystąpieniach radzi sobie o niebo lepiej niż na początku kampanii, gdy był bardzo nieporadny. Ten człowiek się szybko uczy na własnych błędach. I to jeden z powodów, dla których jest niebezpieczny.

Powód drugi: to człowiek absolutnie bezwzględny, który nie będzie miał takich skrupułów, jakie miał Andrzej Duda i wielu innych ludzi spod znaku PiS. To, przed czym oni się wzdygali, Nawrocki robi z uśmiechem na ustach i bez mrugnięcia okiem.

Kaczyński i większość ludzi z jego otoczenia nie zdaje sobie z tego sprawy. Nawrocki, jeśli zostanie prezydentem, wprowadzi polskiej polityki nową antyjakość.

Antyjakość, czyli co? Rządy autorytarne?

– Rząd autorytarny to może i by wprowadził, gdyby miał możliwość. Ale najpierw będzie musiał rozprawić się z rządem Donalda Tuska. A Tusk, upokarzając prezydenta Andrzeja Dudę, gdy ponad rok temu wprowadzał policję do Pałacu Prezydenckiego, by zatrzymała skazanych posłów Mariusza Kamińskiego i Macieja Wąsika, pokazał, że to on ma w ręku twarde narzędzia.

Więc dopóki Tusk będzie rządził, Nawrocki niewiele by działał. Ale jeśli z polskimi generałami poszłoby mu tak dobrze, jak z prezesem Kaczyńskim, to Tusk znalazłby się w potężnych tarapatach.

Nawrocki owinął sobie Kaczyńskiego wokół palca?

– Raczej przeprowadził perfekcyjną operację przekonania go do siebie.

Oczywiście nie zrobił tego sam. Za rządów PiS niemal codziennie i bardzo uważnie oglądałem „Wiadomości” TVP. Widać było jak na dłoni, że odkąd Nawrocki został prezesem IPN, był w „Wiadomościach” nieustannie lansowany. A ten program, jak wiemy, prezes TVP Jacek Kurski robił przede wszystkim dla jednego widza, czyli dla Kaczyńskiego. To bezprecedensowe wsparcie telewizyjne było wstępem do przekonania prezesa, że Nawrocki może być świetnym kandydatem na prezydenta.

Rzecz jasna to by nie wystarczyło, więc drugim elementem operacji było dotknięcie najsłabszego punktu prezesa PiS, czyli jego brata. Różni inni działacze próbowali grać kartą Lecha Kaczyńskiego, ale nikt nie miał – no może poza Kurskim – takich możliwości budowania mitu wielkiego prezydenta, jakie miał prezes IPN. Całą instytucję zaprzęgnięto do pracy na potrzeby kultu.

Ale był jeszcze trzeci element, do którego Kaczyński się nigdy nie przegna: Nawrocki jako przegrany kandydat nie stanowi bezpośredniego zagrożenia dla jego kontroli nad partią. Gdyby dziś na miejscu Nawrockiego był na przykład Przemysław Czarnek, to gdyby nie wygrał, mógłby zacząć przekonywać ważnych ludzi w PiS, że to on powinien być twarzą partii przed wyborami parlamentarnymi.

Trzaskowski dziś pokazuje się na tle flagi biało-czerwonej, a nie tęczowej. To logiczne. Chce te wybory wygrać

• Na zdjęciu: Rafał Trzaskowski na spotkaniu z wyborcami na Placu Artystów w Kielcach (17.04.2025)

FOT. WOJCIECH HABDAS / AGENCJA WYBORCZA.PL

Nawrocki ma takie cechy osobowościowe, że się wielu wojskowym może podobać

• Na zdjęciu: Karol Nawrocki na konferencji prasowej na Placu Trzech Krzyży w Warszawie (20.05.2025)

FOT. DAWID ŻUCHOWICZ / AGENCJA WYBORCZA.PL



Nawrocki tego nie robi. Jeśli nie wygra, to najpewniej pożegna się z prezesurą IPN i będzie zdany na łaskę Kaczyńskiego, który może wyznaczy mu jakieś przyzwoite miejsce na listach PiS.

Myśli pan, że Kaczyński mógł nie znać ciemnej przeszłości Nawrockiego? Znajomości w trójmiejskim półświatku, towarzyskich związków z kręgami kiboli o neonazistowskich ciągach, historii z przejęciem mieszkania? Przecież ABW go prześwieciła.

– Te tak zwane sprawdzenia, które przeprowadza ABW, są kulawe i to nie od dziś. Polskie służby specjalne już uległy polaryzacji i mam poważne zastrzeżenia do jakości ich działania w wielu sprawach. Spójrzmy na te historie z lewymi podpisami przy rejestracji kandydatów na prezydenta. Kilku zarejestrowało się w dość wątpliwy sposób. ABW powinna była tych spraw pilnować.

Sam Kaczyński o niektórych rzeczach wiedział, o innych nie. Znał na pewno ten słynny raport o środowisku Nawrockiego, o którym było głośno pod koniec roku. Tam jednak nie było mowy o korzystaniu z apartamentu w Muzeum II Wojny Światowej ani o Tadeuszu Bątyrze, pod którym to pseudonimem młody historyk z IPN wydał książkę o gangsterze Nikosiu, wychwalając własne badania naukowe i nie ukrywając fascynacji swoim bohaterem. Ani o kawalerce pana Jerzego. I jeszcze o jakichś innych sprawach, o których się być może dowiemy.

Omotanie jednego człowieka, nawet tak ponoć przenikliwego, jest możliwe. Ale jakim cudem ktoś tak skompromitowany dostał ponad 29 procent głosów?

– W ogóle mnie to nie dziwi. Poziom polaryzacji osiągnął w Polsce taki pułap, że zwolennicy PiS uważają każdą krytyczną informację o ich kandydacie za wrogi, zmanipulowany, z góry fałszywy przekaz. Dzieło sił ciemności.

Dość regularnie słucham mediów pisowskich. Tam mówią, że mamy do czynienia z dobrym Samarytaninem, człowiekiem, który jest wzorem cnót wszelakich.

Czyli Nawrocki faktycznie osiągnął w pierwszej turze sukces?

– Mozolną pracą – zajęło mu to bite pięć miesięcy – na razie przekonał do siebie cały elektorat PiS. Jego szanse na drugą turę i to, że wielu już w nim widzi prezydenta, wynikają z przesunięcia się nastrojów społecznych w prawą stronę.

Muszę powiedzieć, że zdumiewa mnie kompletna bezradność sztabu Trzaskowskiego wobec faktu, który jasno wynikał z sondaży od wielu miesięcy – że tym trzecim będzie nie tak jak pięć lat temu Szymon Hołownia, tylko Sławomir Mentzen. Żaden sondaż nie pokazywał innej kolejności, tymczasem mam wrażenie, że sztab Trzaskowskiego oswoił się z tą informacją dopiero w dniu pierwszej tury i teraz zastanawia się, co z tym robić.

Będę złośliwy, ale bardzo przypomina mi to Kaczyńskiego, który przed wyborami w 2023 roku konsekwentnie ignorował wszystkie sondaże mówiące, że PiS będzie miał w następnym Sejmie największy klub, ale bez koalicjanta nie zdoła rządzić. Powtarzał, że PiS ma swoje badania, z których wynika, że dalej będzie mieć samodzielną większość.

Nie rozumiem, na jakiej podstawie sztab Trzaskowskiego uważał, że na ostatniej prostej Hołownia wyprzedzi Mentzena, a Braun nie będzie się liczyć.

Sześcioprocentowego wyniku Brauna nie przewidział żaden sondaż...

– To wynika z faktu, że nie wzięto pod uwagę – a trzeba było, bo to żadna wiedza tajemna, podobnie działo się i dzieje ostatnimi czasy w innych krajach Zachodu – że najbardziej radykalni kandydaci są niedoszacowani, ponieważ część wyborców nie mówi prawdy ankietantom.

Ten mechanizm zadziałał w przypadku Brauna. Część jego wyborców się wstydzi, że na niego głosuje, część się czegoś w związku z tym obawia, na przykład, że pracownicy sondażowni to agenci sił ciemności...

Ale żeby zaistnieć w świadomości wyborców, ktoś taki jak Braun musiał skądś się wziąć. Skąd?

– Tego zdziwienia też nie rozumiem. Z polskiej prawicy. Tam jest wiele takich postaci. I teraz też takich kandydatów było więcej. Artur Bartoszewicz też pró-

bował zaistnieć z podobnym przekazem, ale zabrakło mu wyrazistości. Jak na razie tylko Braun miał odwagę robić akcje z gaśnicą, zrywaniem ukraińskich flag, nękaniami ginekolożki i tak dalej. Myślę, że to zgaszenie chanukii co najmniej podwoiło mu elektorat.

Czyli polska prawica i szerzej, polski prawicowy wyborca, potrzebuje happeningu?

– Ale to nie może być byle jaki happening. Przed Braunem nikt w polskiej polityce takich rzeczy nie robił. A ponieważ Braun nie został w porę powstrzymany, to jeszcze się rozkręci. Teraz będzie walczyć o przekroczenie przez jego Konfederację Korony Polskiej progu wyborczego. Ale kolejne szopki będzie robił nie tylko dlatego, że musi, ale i dlatego, że chce.

A państwo polskie jest bezradne wobec takiego człowieka.

– Mam pretensje do instytucji państwowych, bo przecież Braun wykonał parę akcji typu atak – nie tylko z krzykami, ale z przewracaniem sprzętu – na wykład profesora Jana Grabowskiego w Niemieckim Instytucie Historycznym, które powinny zostać już dawno ukarane. Bezkarność Brauna to dowód że polskie państwo jest słabe.

Wróćmy do Rafała Trzaskowskiego. Przecież od początku kampanii zabiegał o konserwatywny elektorat. Lewica wręcz mu zarzucała, że zdradził jej i swoje ideały, przestał mówić o prawach kobiet i osób LGBT.

– Prezydent Warszawy zaczął walczyć o polskie umiarkowane centrum, racjonalnie zakładając, że w drugiej turze to ono będzie rozstrzygało. A każdy przytomny wyborca Lewicy powinien zdać sobie sprawę, przed jakiego rodzaju wyborem stoi.

Do drugiej tury nie przeszli Adrian Zandberg ani Magdalena Biejat, tylko przeszedł Karol Nawrocki i Rafał Trzaskowski. Więc jeśli ktoś rozumie, w jakiej Polsce możemy znaleźć się za rok, to powinien zastanowić się, czy bardziej mu się podoba Polska Tuska, Hołowni, nawet Kosiniaka-Kamysza, czy woli mieć ekipę z prezydentem Nawrockim i być może premierem Czarnikiem albo premierem Krzysztofem Bosakiem, już za rok?

Taka jest stawka wyborów. Tyle mogę powiedzieć zwolennikom lewicy sarkającym na Trzaskowskiego, że o nich nie zabiega. I jeszcze, że może trzeba było tak się nie dzielić, wystawić jednego kandydata.

Ale nawet jakbyśmy zsumowali lewicową trójkę: Biejat, Zandberga i Joannę Senyszyn, to i tak nie weszliby do drugiej tury. Trzeba powiedzieć jasno: lewica jest w Polsce w wyrażnej mniejszości. Placi cenę za działalność Leszka Millera, Janusza Palkota, Włodzimierza Czarzastego, którzy ją stopniowo osłabiali. Doprowadzili do takiego stanu, że będzie się odradzać jako znacząca siła lat kilkanaście, a może i dłużej.

Przed jakim wyborem stają w takim razie wyborcy Mentzena?

– Bardzo wielu czeka na rozmowę Mentzena z Nawrockim, po której Mentzen ma wydać wyrok, czy warto poprzeć kandydata PiS. Potem będą się zastanawiać i podzielać się na trzy grupy: jedna zostanie w domu, druga poprze Nawrockiego, trzecia Trzaskowskiego. To się zdarzy bez względu na przebieg dyskusji i niezależnie od tego, jak bardzo Mentzen zaangażuje się w poparcie Nawrockiego.

Pytanie, w jakich proporcjach, zwłaszcza ilu będzie tych, którzy zostaną w domu, uznając, że PiS i PO to jedno zło. Jedyń pewnik to ten, że najmniej liczna grupa wybierze Trzaskowskiego.

A mogłoby być ich ciut więcej, gdyby parę miesięcy temu premier Tusk, który wpadł na świetny pomysł deregulacji państwa, podzielił się z nim ze swoim kandydatem i to Trzaskowski stałby się twarzą projektów deregulacyjnych.

Wyobraźmy sobie, że w tej chwili deregulacja jest nieco bardziej odważna i w Sejmie właśnie trwają finalne prace nad różnymi ustawami upraszczającymi pewne rzeczy w kraju, które właściwie tylko czekają na podpis prezydenta Trzaskowskiego. To byłby pewien argument, zwłaszcza dla drobnych przedsiębiorców, którzy popierają Mentzena z wściekłości na to, że niezależnie czy rządzi PiS czy PO, to im w twarz wieje wiatr, dręczy ich ZUS i różne inne państwowe instytucje.

A to, że rząd wyciągnął białą-czerwoną flagę, nieustannie mówi o bezpieczeństwie, uszczelnia granice, buduje najsilniejsze w Europie wojsko, nie działa na wyborców Konfederacji?

– To oczywiście trochę pomoże. Mnie niczym premier Tusk nie zaskoczył tak mocno, jak ogłoszeniem programu nacjonalizmu Patriotyzm gospodarczy by wystarczył.

No i powiedzmy sobie jasno, że to PiS sformułował większość tych haseł. Więc ma rację, oburzając się, że Trzaskowski ukrywa prawdziwe oblicze i podkrađa im program.

Prezes Kaczyński może przecierać oczy ze zdumienia. I z rozrzewnieniem wspominać Andrzeja Dudę jako znakomitego, współpracującego prezydenta

Natomiast to, że Trzaskowski pokazuje się dzisiaj na tle flagi białą-czerwoną, a nie tęczy, jest logiczne. On te wybory chce wygrać. Gdyby pokazywał się na tle tęczy, toby dostał takie poparcie, jak Magdalena Biejat. Można się obrażać na rzeczywistość, ale albo się chce mieć w Polsce jakiś wpływ, albo trwać w wiecznej opozycji.

Wybory Trzaskowskiego doskonale rozumiem. I wcale nie uważam, jak podnosi coraz więcej analityków i komentatorów, że on już przegrał. Bo Nawrocki po ogłoszeniu wyników pierwszej tury popełnił pierwszy poważny błąd.

Jaki?

– Rzucił Trzaskowskiemu wyzwanie frekwencyjne w Warszawie w najbliższą niedzielę. Stworzył rywalowi wielką szansę, bo Trzaskowski może zgromadzić wyraźnie więcej ludzi i pokazać, że to on ma większe poparcie.

Tylko pytanie, kto będzie do tych tłumów przemawiał. Jeśli głównym bohaterem obok Trzaskowskiego będzie Tusk, to nic nie da. Natomiast jeżeli u boku kandydata wystąpią Hołownia, Biejat i jacyś ludzie o nie politycznym, ale wyraźnym autorytecie, a do tego uda się zaprosić na przykład prezydenta elekta Rumunii, Nicosura Dana, to może zrobić wrażenie.

Nawrocki podczas wieczoru wyborczego wykonał pokorny ukłon wobec Mentzena. Nie zaskarbił sobie tym jakiegoś uznania sympatyków nowej partii buntu i kontestacji?

– Nawrocki się zachowuje racjonalnie, walczy o wyborców. A jaki naprawdę ma stosunek do Konfederacji, okaże się, jeśli wprowadzi się do Pałacu Prezydenckiego. Niewykluczone, że jemu tak naprawdę jest do niej bliżej. Prezes Kaczyński może przecierać oczy ze zdumienia. I z rozrzewnieniem wspominać Andrzeja Dudę

jako znakomitego, współpracującego prezydenta.

Nie podzielam bowiem opinii, że Nawrocki będzie narzędziem w rękach prezesa PiS. Oni będą ściśle współpracować tak długo, jak długo będzie trzeba walczyć o odsunięcie Tuska od władzy. Jeżeli PiS i Konfederacji uda się przejąć władzę, co mogłoby nastąpić po przyspieszonych wyborach, ich drogi się rozejdą już następnego dnia.

Ale z kim w Pałacu Prezydenckim miałby Nawrocki pracować nad wybiciem się na niezależność? W jego otoczeniu są sami politycy PiS

– O, to się pan by zdziwił, jacy ludzie mogą się pojawić. Dlaczego miałby nie zatrudniać różnych swoich znajomych z Gdańska?

Ale przecież nie Wielkiego Bu, zapaśnika podejrzanego o sutenerstwo, o którym krążą opowieści, że przykuł dziewczynę do kaloryfera. Czy Śledzia, kibola z nazi-stowskimi tatuażami.

– Oczywiście, że nie. Oni tylko będą go czasem w Pałacu Prezydenckim odwiedzać.

sta na zdjęciach z lotu ptaka? To będzie sygnał, że odpowiednio wielu ludzi poczuło skalę zagrożenia.

Ale też niczego nie rozstrzygnie, bo głosują miliony. Zdecyduje frekwencja. A spodziewam się wysokiej i ona może służyć Trzaskowskiemu.

Z wyjątkiem roku 1990, zawsze w drugiej turze prezydenckiej frekwencja była wyższa, czasem nawet o 5 procent. Jeśli większość z tych 5 procent poprze Trzaskowskiego, to ma szansę wygrać. Ale znów na dwoje babka wróżyła, bo równocześnie nie wiemy, jak wielu uczestników pierwszej tury nie pójdzie na drugą, bo ich kandydat przepadł albo coś im wypadło, a polityka ich w sumie mało obchodzi.

No i pytanie, czy Trzaskowski wykorzysta piątkową debatę. Czy pokaże, że przymiotów, które podkreślają jego zwolennicy – inteligencji, refleksu, elokwencji – ma więcej niż Nawrocki. To dla niego wielka szansa, bo co prawda jego rywal zrobił bardzo duże postępy, jeśli chodzi o występy publiczne, ale w gruncie rzeczy nauczył się pewnej ilości zwrotów i je pięknie recytuje, natomiast wiele wskazuje, że kryją się za nimi ograniczone horyzonty.

Czy Trzaskowski będzie w stanie je pokazać? Na pewno nie zadziała atrakcyjny me-micznie, ale prosty chwyt Hołowni, który próbował zagiać kandydata PiS, żądając, żeby wyliczył nazwiska przywódców krajów bałtyckich, bo Nawrocki obróci sprawę w żart.

Natomiast mógłby wypuścić konkurenta na obszary, w których brakuje mu pewnej elementarnej wiedzy o świecie. Zwłaszcza w tematach międzynarodowych. Być może Nawrocki ją ma, ale nie miał okazji tego wykazać, bo jedyną dłuższą rozmowę odbył w programie pana Stanowskiego, który, delikatnie mówiąc, nie był zainteresowany kompromitowaniem gościa. A wszystkie inne dłuższe występy miał w mediach zaprzyjaźnionych.

No tak, może mu się Słowacja ze Słowenią pomylić i będzie faktycznie wesoło.

– Przed drugą turą takie anegdotyczne wpadki mają dużą wagę. Mogą naprawdę zaszkodzić. Bo najuważniej rywali będą oglądać nie wyborcy w nich zakochani, tylko ci tak zwani niezdecydowani.

Spora grupa ludzi chce zagłosować, ale wciąż zastanawia się, bo o tym Nawrockim wie jeszcze mniej niż o Trzaskowskim, ale do żadnego nie jest nastawiona jednoznacznie negatywnie. I ci ludzie właśnie na podstawie piątkowej debaty wyrobią sobie pogląd, który się bardziej nadaje na prezydenta. Zwłaszcza jeśli będzie to, jak chce Nawrocki, jedyna debata przed drugą turą. ●



Prof. Antoni Dudek

- urodzony w 1966 roku, politolog i historyk, pracuje na Uniwersytecie Kardynała Stefana Wyszyńskiego, wcześniej związany z Uniwersytetem Jagiellońskim. W latach 2010-16 członek i przewodniczący Rady Instytutu Pamięci Narodowej.
- Publicysta i komentator polityczny, jeden z najważniejszych i najciekawszych historyków zajmujących się najnowszą historią Polski. prowadzi popularny kanał YouTube „Dudek o Historii”. Autor i współautor kilkunastu książek o Polsce w XX wieku, w tym „Państwo i Kościół w Polsce 1945-1970”, „PRL bez makijażu”, „Reglamentowana rewolucja. Rozkład dyktatury komunistycznej w Polsce 1988-1990”. Jego najnowsza książka to **„Od Mazowieckiego do Suchockiej. Pierwsze rządy wolnej Polski”** (dostępna w dobrych księgarniach i w formie e-booka na Publio.pl).

PO PIERWSZE – NIE KWĘKAĆ

W dołowaniu się i wyrzekaniu na „durny naród” jesteśmy mistrzami.

To nic nie daje. A kto nie wierzy w wygraną – nie wygrywa

Jarosław Kurski

Rafał Trzaskowski wygrał pierwszą turę. Ale jak na astronomiczną stawkę tych wyborów – to za mało. Trzeba uznać, że odniósł „zwycięską porażkę”. Przed nami – demokratami – zasadnicza walka. Musimy sięgnąć po najgłębsze pokłady naszej siły i determinacji – jak we wrocławskim Jagodnie 15 października 2023 roku. Wówczas wygramy.

Po pierwsze – nie kwękać. W dołowaniu się i wyrzekaniu na „durny naród” jesteśmy mistrzami. To nic nie daje. Demobilizuje, odbiera wiarę w zwycięstwo, tym samym odbiera samo zwycięstwo. Bo kto nie wierzy w wygraną – nie wygrywa.

Nasza sytuacja i tak jest niebotycznie lepsza niż przez osiem ponurych lat rządów PiS i dziesięć lat szkodliwej i zawstydzającej prezydentury doktora Dudy. A daliśmy radę. Nie ma fatalizmu, nic nie jest przesądzone. Wszystko zależy od nas.

Nie znaczy to jednak, że mamy się powstrzymywać od słów prawdy i od realistycznej analizy sytuacji. Wbrew jednogłośnie uspokajającym sondażom pierwszą turę wyborów obóz demokratyczny przegrał – szczęśliwie bez większych konsekwencji. Można nawet uważać, że to dobrze, bo dostaliśmy zimny prysznic i ostrzeżenie.

Jednak kandydaci partii antyeuropejskich, autorytarnych, populistycznych, a nawet antysemickich – Nawrocki, Mentzen, Braun, Jakubiak, otrzymali w sumie 10 milionów i 86 tysięcy głosów. Kandydaci obozu europejskiego i demokratycznego – Trzaskowski, Zandberg, Hołownia, Biejat, Senyszyn, otrzymali 9 milionów i 123 tysiące głosów. Różnica ogromna. To niemal milion głosów! Milion!

I żeby już powiedzieć wszystko, pośród tych 10 milionów antydemokratycznych głosów – ponad cztery miliony pochodzi od wyborców Konfederacji – Brauna i Mentzena.

Warto to zapamiętać, by wyzbyć się iluzji. Mamy w Polsce 1 milion 243 tys. obywateli, którzy poparli jawną przemoc w polityce. Myslę o fizycznych atakach Brauna na symbole religijne, jak zgaszenie w Sejmie gaśnicą świecy chanukowej i na osoby fizyczne, jak przerwany wykład profesora Jana Grabowskiego czy napastowanie lekarki, która dokonała legalnej aborcji.

Młyny sprawiedliwości miały stanowczo za wolno, skoro Braun ze swoim pogromowym zachowaniem rodem z Polski lat trzydziestych, zamiast trafić do aresztu – trafia do głównego nurtu polskiej polityki. Jeśli wygrałby Nawrocki, Braun i jemu podobni mogą spać spokojnie. Zostaną ulaskawieni i przytuleni do piersi ojczulka – nowego prezydenta.

Dziś kluczową dla kraju stała się kwestia, jak zachowają się wyborcy trzeciej dwudziestoprocentowej politycznej siły w Polsce – czyli skrajnej prawicy, a w szczególności Mentzena. Czy pójdą głosować, a jeśli to na kogo?

Na inną okazję odkładam dyskusję, dlaczego to nie partia Szymona Hołowni stała się trzecią siłą, a dlaczego Konfederacja stała się „Trzecią drogą” – naturalnym koalicjantem PiS w razie zwycięstwa Nawrockiego. Oto gdzie jesteśmy! Oto jaka jest dzisiaj skala wyzwania dla demokratów na drugą turę i potem.

O ile pierwszą turę można było traktować jak swoisty konkurs piękności, wszak każdy głosował sercem, o tyle z drugą turą zawsze jest inaczej.

Singapurski demokrat, profesor Paul Tambyah powiedział, że „głosowanie to nie małżeństwo, tylko transport publiczny. Nie czekasz na tego jedyne, który jest perfekcyjny. Wsiadasz do autobusu, a jeśli nie ma żadnego, który jeździ dokładnie tam, gdzie chcesz dojechać, to nie zostajesz w domu nadąsana/y, tylko wsiadasz do tego, który dojeżdża najbliższemu twojemu celowi podróży”.

Tambyah oczywiście ma rację, tyle tylko, że 1 czerwca nie będzie już nawet chodziło o zwykłe kompromisy samego ze sobą, czy o tzw. mniejsze zło. Sprawa idzie o całą stawkę.

Wygrana Nawrockiego to w dość krótkiej perspektywie rozpad Koalicji 15 Października, całkowita blokada władzy, przyspieszone wybory i nowy rząd koalicji PiS z Konfederacją, ze wszystkimi tego konsekwencjami, z piątką Mentzena włącznie, który nie chce: Żydów, homoseksualistów, aborcji, podatków, i Unii Europejskiej. Nie ma powodu sądzić, by w tej sprawie coś się zmieniło.

To początek końca odbudowy kraju po szaleństwach partii Kaczyńskiego. Powrót do tego, co było i co znamy, aż za dobrze. Kaczyński, Ziobro, Świączkowski, Nawrocki, Morawiecki, Kamiński i tak dalej, i tym po-

dobni, to nie demokraci. Oni nie będą się hamowali, nie będą się przejmować zasadami prawa, na które chucha i dmucha obecny minister sprawiedliwości. Wróci, co było, tylko w skali nieporównywalnej.

To koniec marzeń o praworządnym państwie. Koniec marzeń o rozliczeniu winnych gwałtów na konstytucji, prześladowania sędziów, winnych bezpodstawnych aresztów, podsłuchów złodziejstwa, korupcji, wyprzedaży i marnotrawstwa majątku narodowego, Obajtków, Misiewiczów, Macierewiczów, Sasinów...

Nawrocki to prorosyjski i antyukraiński sojusz z Orbaniem i Fico. To wzmocnienie międzynarodówki eurofobów, których celem jest destrukcja Unii. To wreszcie wasalny stosunek do administracji Trumpa.

To sprawy tak oczywiste, że aż wstyd je tłumaczyć. Od nas wyłącznie zależy, czy obronimy się jak Rumunia, czy staniemy się jak Węgry? Czy Polska wpadnie w otchłań kłęski, autorytaryzmu, narodowej trom-

tadracji, groteskowej niemocy, egoizmu i „suwerenności” przejawiającej się skłóceniem ze wszystkimi, osamotnieniem i bezbronnym wystawieniem się na wpływy Rosji?

Czy może wybierzemy silną, demokratyczną, wolną od kompleksów Polskę silnie osadzoną w europejskich i atlantyckich strukturach. Władzę ze spójną i relevantną polityką zagraniczną rządu i prezydenta. Przyjaciela Ukrainy, partnera Europy i USA, a nie konfliktowego pasażera.

Za tydzień sami napiszemy więc scenariusz na następną dekadę albo i na dłużej, bo w dzisiejszych galopujących czasach stracona dekada, to jak stracone półwiecze.

Szkoda zaczerniać papieru porównywaniem kandydatów. Kandydat półświatka od „Różala”, „Ola”, „Śledzia” i „Wielkiego Bu”, który stał na bramce w agencji i kasynie, wyrwał komunalną chatę na „żulą”. Ziomal z żylety. Mocny w karku, twardy w pysku, auto-lanser Batyr, panegirysta „Nikosia”, co to lubi wygody – apartamenty i podróże, byle tylko za państwowe. I ktoś taki miałoby wejść do panteonu polskich prezydentów: Gabriela Narutowicza, Stanisława Wojciechowskiego, Lecha Wałęsy, Aleksandra Kwaśniewskiego, Bronisława Komorowskiego, Lecha Kaczyńskiego.

Dobrze znałem Lecha Kaczyńskiego jeszcze z czasów solidarnościowego podziemia

Ktoś taki miałoby wejść do panteonu polskich prezydentów:

Gabriela Narutowicza, Stanisława Wojciechowskiego, Lecha Wałęsy, Aleksandra Kwaśniewskiego, Bronisława Komorowskiego, Lecha Kaczyńskiego

i ręczę, że nigdy by się nie zgodził na tak ponury i nihilistyczny wybór swego brata jak kandydatura Nawrockiego. Jarosław bez Lecha w otoczeniu cmokierów i wazeliniarzy utracił kompas i popadał w niczym niepohamowany makiawelizm, co jest jedną z niedocenianych, fatalnych dla państwa konsekwencji smoleńskiej katastrofy.

Cóż, przy Nawrockim nawet Duda zyskuje aurę dobrodusznego niezguły, którego przy „ojcu chrystnym” wspominać będziemy z rozbawieniem i leżką w oku.

Rzecz w tym, że to nie żarty. To się może stać. Przestrogi nie działają, dyskwalifikujące kandydata fakty nie mają znaczenia, tradycyjne, referencyjne media są unieważnione, liczą się tylko emocje.

Okazuje się, że prezydentem USA może zostać człowiek uznany przez lawę przysięgłych winnym 34 zarzutów fałszowania dokumentów, a także molestowania. Natomiast dla ogromnej liczby Polaków wyłudzenie mieszkania nie jest problemem, tylko

Co można i trzeba jeszcze zrobić? To, co w zasięgu naszych możliwości. Rozwiesić plakat z Trzaskowskim, dowieźć do lokalu osobę starszą lub z niepełnosprawnością. Przekonać jednego młodego człowieka, który głosował na Zandberga albo na Mentzena, a teraz się waha. Przyjść w niedzielę na manifestację demokratów

„aktem wielkoduszności” jak mówi prezes, a w TV Republika, której widownia idzie w miliony, nie ma afery kawalerki – jest za to „afera Bodnara”. Jest „nasza prawda” i „ich prawda”, Są rosyjskie farmy, boty i trolle, które pracują na pełnych obrotach. Wszystko może się wydarzyć.

Wiem, że ten tekst piszę do przekonanych. Ale nie po to go piszę, by kogokolwiek przekonać. Chcę wezwać do mobilizacji. Piszę, by przełamać naszą apatię i gnuśność. Jedynie to może dać demokratom zwycięstwo. Nigdy jeszcze tak wiele nie zależało od tak wielu. Jeżeli my nie pójdziemy, to oni pójdą za nas i wybiorą nam prezydenta.

Żeby mieć pewność wygranej, trzeba zmobilizować półtora miliona demokratów. Liczy się każdy głos, bo taka jest specyfika wyborów prezydenckich szczególnie w podzielonej na pół Polsce. Przewaga zwycięzcy nie będzie duża. Ale wynik „na żyletki” to też prawdopodobny scenariusz kwestionowania wyników wyborów przez obadzoną pisowskimi sędziami Izbę Kontroli Nadzwyczajnej Sądu Najwyższego. To też możliwy scenariusz niepokodzonej z wynikiem ulicy. Im więc ta różnica będzie większa, tym szanse na obstrukcję wyników wyborów będą mniejsze. Odpadnie argument, że nieprawidłowości wyborcze miały wpływ na wynik.

Jestem daleki od doradzania Trzaskowskiemu, jak ma teraz prowadzić swoją kampanię. Z jaką ofertą zwracać się do młodych. Czy się uśmiechać, czy się nie uśmiechać? Przy całej sympatii do niego, jest on jedynie wehikułem naszych nadziei. A wszystko zależy od nas.

Co można i trzeba jeszcze zrobić? To, co w zasięgu naszych możliwości. Rozwiesić plakat, dowieźć do lokalu osobę starszą lub z niepełnosprawnością. Nie marudzić. Przekonać jednego młodego człowieka, który głosował na Zandberga albo na Mentzena, a teraz się waha. Przyjść w niedzielę na manifestację demokratów. Przejdziemy szerokimi ulicami, więc musi nas być dużo!

Tak, wiemy, że elektorat to nie „puchar przechodni”, nie „meble”, nie „worek ziemniaków”. Mają swój rozum. Ale jednak jest dla nich ważne, co ich kandydaci – kandydaci pierwszego wyboru mówią w sytuacji, gdy jest „albo, albo”, gdy jest tylko czarne albo białe. Postawa Szymona Hołowni i Magdaleny Biejat czyni zadość powadze sytuacji i godna jest szacunku.

Dziś jest tylko jeden kandydat, gwarantujący przestrzeganie demokratycznych wartości i w jego promocję włączyć się muszą wszyscy. Bierność, milczenie demokratycznych liderów, będzie ich odpowiedzialnością. Milczący nie mają racji. Brunatna fala idzie przez Europę.

Tylko w tym miesiącu w Wielkiej Brytanii wybory lokalne wygrała skrajna prawica na czele z piewcą Brexitu Nigelem Farage. W Portugalii skrajna prawica pokonała rządzących od lat socjalistów. Ale jest i dobry sygnał: Bukareszt! Wydawało się, że dzięki trollom i infiltracji życia publicznego Rosja przejęła już rząd dusz nad Rumunią. Tak się nie stało. Wygrała demokracja. Czyli wszystko jest możliwe i nic nie jest przesądzone.

W Polsce są dwa sposoby rozwiązywania problemów. Cudowny, że Polacy wezmą się do roboty. I normalny, że zstąpi z nieba Najświętsza Paniienka i dokona za nas cudu.

Nie liczymy na cuda. Liczymy na siebie. ●



CHODZIŁO IM O TO, *żeby* pęknąć

Trzy areszty wydobywcze i nic, żadnych zarzutów.
„Czułem, że cały aparat państwa jest przeciwko mnie”.

Piotr Osiecki: zostałem kozłem ofiarnym w PiS-owskiej aferze GetBacku

Jarosław Kurski

Zdjęcie **Mateusz Skwarczek / Agencja Wyborcza.pl**

W obliczu rozbudowywanego przez PiS „męczeństwa” posłów Marcina Romanowskiego, Dariusza Mateckiego czy księdza Michała Olszewskiego oraz dwóch urzędników zamieszanych w aferę Funduszu Sprawiedliwości, postanowiłem przypomnieć sprawę Piotra Osieckiego. Tym bardziej, że jeśli prezydentem miałby zostać Karol Nawrocki, wymienione osoby zostaną najpewniej natychmiast ulaskawione. Zresztą żadna z nich już nie przebywa w areszcie.

Tymczasem niebawem minie siedem lat, odkąd Osiecki żyje pod prokuratorskimi zarzutami. W tym czasie spędził w areszcie 16 miesięcy zamykany i wypuszczany w trzech odsłonach. Za co? Miał rzekomo spowodować straty wielkich rozmiarów. Był potrzebny. Prokuratura Zbigniewa Ziobry powiązała „sprawę Osieckiego” z aferą GetBacku. Zrujnowane zdrowie autystycznej córki, poturbowana rodzina, zniszczona firma.

Gdy pisałem ten tekst, krok po kroku odsłaniał się mechanizm mafijnego państwa PiS od premiera i jego wysokich urzędników, przez prokuratorów, neo-sędziów i służbę „media”. Wobec tego mechanizmu w czasach rządów Beaty Szydło i Mateusza Morawieckiego zwykły obywatel stawał się bezradny, a jego życie niewiele znaczyło.

Afera większa od Amber Gold

Kto jeszcze pamięta aferę GetBacku? Przypomnijmy więc, że była to dominująca na rynku spółka windykacyjna, która skupowała w szczególności od państwowych banków „toksyczne kredyty” i złe wierzytelności. GetBack podlegał kontroli Komisji Nadzoru Finansowego, był notowany na giełdzie, a nawet przez tę giełdę nagradzany. Ludzie chętnie powierzali swe oszczędności spółce, która była ulubieńcem władzy PiS. Hojną ręką sponsorowała gale Człowieka Roku [nagrody zdobywali Morawiecki i Jarosław Kaczyński] organizowane przez spółkę Fratria, wydawcę tygodnika „Sieci”, wPolityce.pl i telewizji wPolsce 24. GetBack sponsorował także galę 25-lecia „Gazety Polskiej”, wspierał Telewizję Republika, „Do Rzeczy”, „Wprost” oraz Instytut Wolności Igora Jankego, think tank kojarzony z Morawieckim.

Konrad K., prezes spółki, uważał, że ma z tego powodu tytuł do swoistej ochrony ze strony rządu. Jak twierdzi, zabiegał o dofinansowanie spółki przez PKO BP i z PFR w kwocie 250 mln zł. W tych staraniach – co opisali Wojciech Czuchnowski i Małgorzata Kolińska-Dąbrowska – wspierał Konrada Kąkolewskiego ojciec ówczesnego premiera – Kornel Morawiecki.

Konrad Kąkolewski w liście wysłanym w kwietniu 2018 r. do prezesa PiS, premiera i do KNF przypominał, że spółka skupiła od państwowych banków długi, co „pozwoiliło im zarobić 400 milionów złotych i wsparło działania państwa”. W liściach do premiera Morawieckiego Kąkolewski nakreślił polityczny wymiar sprawy. Twierdził, że sam nie pójdzie na dno.

Pisał o wizerunkowych zagrożeniach dla rządu, bo „sprawa będzie nagłośniona jako afera PiS-owskiej piramidy finansowej”.

Rzeczywiście GetBack czyściła państwowe banki ze złych kredytów. Skupowała od nich najtrudniejsze długi, finansując te zakupy z emisji obligacji. Cała struktura runęła, gdy już nie dało się dłużej rolować zobowiązań, finansując agresywną działalność kolejnymi obligacjami. Skutek: ok. 10 tys. poszkodowanych osób i 178 instytucji finansowych. Strata: 3,2 miliardów złotych – to przeszło trzy razy więcej niż w przypadku Amber Gold.

Rodzi to pytanie, czy aby częściowej przynajmniej odpowiedzialności za aferę nie ponosi wybrane za czasów PiS kierownictwo KNF z siedzibą dziś naławie oskarżonych nominatem prezesa NBP Adama Glapińskiego Markiem Ch. na czele, które przez po-błażliwy nadzór nad spółką dopuściło do utraty płynności windykatora. KNF miał otrzymać od sygnalisty ostrzeżenia dotyczące kondycji spółki, ale je zlekceważył, nie skontrolował GetBacku przez 6 lat ani razu od czasu udzielenia spółce licencji.

O ile aferę Amber Gold PiS ogłosił „afere Platformy Obywatelskiej”, o tyle w tym wypadku obóz władzy musiał zrobić wszystko, by ta trzykrotnie większa afery nie stała się aferą rządu Zjednoczonej Prawicy.

Odwracanie kota ogonem

PR-owcy władzy postanowili przerzucić gorące-go kartofla na stronę liberalną. To nie miała być afery PiS-u, to nie miała być sprawa zaufanej spółki władzy ani historia związana z Kornelem Morawieckim – to miała być sprawa ówczesnej opozycji. Świadczą

o tym e-maile, które opublikowano na stronach Poufnej Rozmowy. Do napisania polemiki z „Wyborczą” wyznaczono „dziennikarzy”. Posłom PiS służby prasowe przygotowały dwustronicowy „przekaz dnia”. Jednak w e-mailach Poufnej Rozmowy można przeczytać ich narzekania, że jest on zbyt skomplikowany. Posłowie PiS domagali się czegoś prostszego.

Bardzo szybko, bo 18 maja 2018 roku, Wojciech Surmacz, ówczesny prezes PAP, publikuje w Wirtualnej Polsce polemikę z tekstem „Wyborczej”, gdzie wskazuje na „prawdziwe tropy afery”. Wymienia: Grzegorza Schetynę, Leszka Czarneckiego i Alicję Kornasiewicz, „która była członkiem Rady Nadzorczej i szefową Komitetu Audytu GetBack”. Pyta, co łączy Kornasiewicz z prezesem mBanku Cezarym Stypulkowskim.

„Analizując tarapaty Konrada Kąkolewskiego (prezes GetBack) – pisze Surmacz – dziennikarze »Gazety Wyborczej« na pewno by też trafili na spółkę Altus TFI, w której fundusze GetBack też jest zaangażowany. Wtedy mogliby zapytać Piotra Osieckiego, prezesa Altus TFI o relacje z prof. Andrzejem Rzońcą, głównym ekonomistą Platformy Obywatelskiej. Oraz o relacje z samym Konradem Kąkolewskim prezesem GetBack, z którym kariera zawodowa Osieckiego przecięła się właśnie w PZU za czasów Stypulkowskiego”.

Niby nic konkretnego, ale ogary poszły w las. Największą sprawnością narracyjną wykazał się w tej mierze poseł Marcin Horała w Polsat News: „Jeżeli się przyjrzymy osobom w to zaangażowanym, to kogóż my tam nie mamy. Od oligarchów III RP, rejestrowanych jako tajni współpracownicy SB (Leszek Czarnecki), przez byłą posel Unii Wolności i PSL, w Ministerstwie Handlu Zagranicznego za PRL – panią (Alicję Kornasiewicz) (...). Mamy tam powiązanych w funduszach inwestycyjnych – jej asystenta z Ministerstwa Skarbu Państwa, dyrektora departamentu nadzoru właścicielskiego i prywatyzacji

Gdy zapytałem prokuratora, jakim cudem mogłem wyrządzić szkodę 160 mln zł spółce GetBack, nie będąc zobowiązanym do dbania o jej interesy, usłyszałem:

„To my jesteśmy od zadawania pytań, a nie pan”

w MSP, jeden z tych panów to jeszcze magistrant pana prof. Leszka Balcerowicza (Piotr Osiecki) – sama śmietanka” – wyliczał Horała.

Potrzebny był ktoś o największym wspólnym mianowniku nadającym się na kozła ofiarnego: magistrant Leszka Balcerowicza, doradca w gabinecie politycznym minister Alicji Kornasiewicz, przedstawiciel świata giełdy, drapieżnego wolnego rynku i prywatnych funduszy inwestycyjnych, bo wiadomo: „jeśli ktoś ma pieniądze, to znaczy, że skądś je ma”.

Wytypowano Piotra Osieckiego, choć nie był ani współwłaścicielem, ani członkiem władz spółki, tylko prowadził z nią interesy.

Kara za dobrą pracę

Biznesmen został zatrzymany 31 sierpnia 2018 roku pod zarzutem wyrządzenia szkody majątkowej wielkich rozmiarów w kwocie nie niższej niż 160 434 000 zł spółce GetBack SA. To znaczy, że – uwaga! – reprezentując klientów swego funduszu za drogą sprzedał GetBackowi spółkę EGB Investment SA. Prokuratura arbitralnie uznała, że wartość EGB Investment to 47 milionów złotych, a firmę sprzedano za ponad 207 milionów złotych. Tym samym Osiecki, działając w interesie klientów swoich funduszy, miał działać na szkodę GetBacku. Istne kuriozum.

Nie mówiąc już o tym, że transakcja, której stroną były fundusze Altus, wynosiła zaledwie kilka procent wartości majątku GetBacku i nie mogła być powodem bankructwa spółki. Za to po aresztowaniu Osieckiego nastąpił drastyczny spadek wartości aktywów jego Altusa. Zdrowa dotąd spółka zarządzająca aktywami w wysokości 18 mld zł, największe prywatne towarzystwo finansowe w Europie Środkowej mające w portfelu prestiżowych klientów takich jak Norges Bank (własność Banku Centralnego Królestwa Norwegii) – w szczytowym momencie wyceniana na 800 milio-

nów złotych – po aresztowaniu Osieckiego warta była 50 milionów złotych.

Warto przypomnieć, że choć według NIK były prezes Orlenu Daniel Obajtek sprzedał Rafinerię Gdańską Saudyjczykom około 2 mld zł za tanio, co oznaczało stratę dla skarbu państwa, i prokuratura nie postawiła mu zarzutów. Natomiast Osiecki według wyliczeń prokuratury sprzedał spółkę EGB o sto kilkadziesiąt milionów za drogą i reakcja była błyskawiczna, mimo że skarb państwa nic nie stracił.

Specbanda Świączkowskiego

Gdy wybuchła afery GetBacku, zajął się nią zespół doświadczonych w sprawach gospodarczych prokuratorów w składzie: Katarzyna Całów-Jaszewska (szefowa), Joanna Chojnowska i Ewa Domagalska-Szulewicz. Całów-Jaszewska nie zgadzała się na pochopne zatrzymania i areszty. Zrezygnowała, bo miała inną niż góra koncepcję śledztwa. Pozostałe dwie prokuratorki Bogdan Świączkowski odsunął od śledztwa.

W to miejsce powołał zespół zaufanych prokuratorów z delegacji: Wojciecha Smolenia, Przemysław Baranowskiego, Karola Węgrzyna, Martę Choromańską i Monikę Milewską. Kierownikiem zespołu został Jakub Romelczyk. To jedna z tych błyskawicznych karier spod ręki Ziobry i Świączkowskiego. Jeszcze w 2016 roku Romelczyk był w Prokuraturze Rejonowej Warszawa-Mokotów. Dwa lata później awansował na zastępcę szefa warszawskiej prokuratury regionalnej i szefa zespołu śledczego ds. GetBacku. Takie awanse Katarzyna Kwiatkowska ze stowarzyszenia prokuratorów Lex Super Omnia nazywa „korupcją instytucjonalną”.

Romelczyk został zawieszony w obowiązkach służbowych dopiero w maju 2024 roku, gdy Onet ujawnił nagrania z taśm Tomasza Mraza, byłego dyrektora Funduszu Sprawiedliwości. Romelczyk uzgadniał tam z ministrem Romanowskim sposób prowadzenia niewygodnego dla PiS postępowania.

Łączenie Osieckiego ze sprawą GetBacku w niczym nie przybliżyło śledczych do wyjaśnienia rzeczywistych przyczyn afery i ukarania prawdziwych sprawców. Osiecki ukradł rower czy Osieckiemu ukradziono rower – dość, że w oczach opinii publicznej Osiecki miał być zamieszany w kradzież roweru.

Państwo PiS może zamknąć każdego

Dobrozmianowi sędziowie przedłużali areszt, kopiując sentencje poprzednich instancji z błędami klawiaturowymi włącznie. Osiecki mimo rekordowego zabezpieczenia wekslowego zebranego w geście solidarności przez 36 osób i instytucji finansowych na poziomie 108 milionów złotych dalej siedział w areszcie.

Sprawa Osieckiego stała się dla polskiego świata biznesu dzwonkiem alarmowym. Skoro można posadzić człowieka za to, że, dbając o interesy swoich klientów, „za drogą sprzedał”, to znaczy, że można już posadzić każdego.

Miecz PiS-owskiej sprawiedliwości ciał na ślepo, na zasadzie: dajcie człowieka, a paragraf znajdziemy. Osiecki, w młodości identyfikujący się z „patriotyczną prawicą”, głęboko religijny, pielgrzymujący do miejsc świętych w intencji zdrowia swojej autystycznej córki pasował raczej jako „swój” do katolickiej formacji konserwatywnej, za jaką chce uchodzić PiS. Był jednak potrzebny w charakterze kozła ofiarnego i jako taki został użyty.

Od tamtego czasu minęło 7 lat, w tym: 16 miesięcy spędzonych w areszcie. Minęło też półtora roku Polski demokratycznej. Do dziś prokuratura nie sformułowała wobec Osieckiego aktu oskarżenia.

W lekko sfatygowanych i przykurzonych biurach Altusa na piątym piętrze bez windy w kamienicy w centrum Warszawy rozmawiam z Piotrem Osieckim. Właśnie wrócił z sądu z kolejnej „odpryskowej” rozprawy, w której dochodzi swego dobrego imienia.

• Rozmowa z Piotrem Osieckim ► 10-12

Z PIOTREM OSIECKIM ROZMAWIA JAROSŁAW KURSKI

Czy ktoś oprócz pana, pańskiej żony, pełnomocniczki i kilku przyjaciół pamięta jeszcze o pańskiej sprawie?

Ważne, że ja nie zapomniałem. Te 16 miesięcy aresztu w trzech odsłonach zostawiły we mnie ślad na całe życie. Nawet nie o mnie tu chodzi, ale o moją córkę. Zosia cierpi na autyzm sprzężony z upośledzeniem. Mimo że ma ponad 20 lat, mentalnie, intelektualnie jest dzieckiem na poziomie dziewięcioletki. Jej choroba sprawiła, że mamy szczególną bliskość i więź. Jej świat walił się za każdym razem, gdy znów i znów brali mnie do aresztu.

W terapii decydująca jest stabilność otoczenia, bezpieczeństwo, obecność najbliższych. Jeśli zabraknie ojca albo matki, to ona się zapada, cofa, zamyka. Boże Narodzenie 2019 roku spędziłem za kratami i to był najtrudniejszy moment.

Dobrozmianowa sędzia tłumaczyła przecież panu, że powinien pan na taką ewentualność córkę przygotować.

– Tak, sędzia Anna Kalbarczyk [w lutym 2024 roku jako pierwsza wystąpiła do ministra Adama Bodnara o ponowną weryfikację przed legalną KRS] napisała w uzasadnieniu, że powinienem autystycznej córce uświadomić, że „postępowanie w Polsce jest dwuinstancyjne” i że jak jest zażalenie prokuratora, to mogę ponownie trafić do aresztu.

Mam żal do państwa polskiego. W mojej sprawie wszyscy zatkali uszy na alarmujące opinie psychologów o wpływie mojego aresztowania na stan zdrowia Zosi. Nie miałem tyle szczęścia co niedawno zwolniona z aresztu pani Urszula związana z Funduszem Sprawiedliwości. Miałem za to „szczęście”, że jakoś, gdy ważyły się losy mojego aresztu, trafiałem z losowania na sędziego z dobrej zmiany, na delegacji.

Postawię sprawę jasno. Nie chcę, by odniósł pan wrażenie, że rozmawiamy po to, by wykazać pańską winę albo niewinność.

– Ja tego w ogóle od pana nie oczekuję.

Nie czytałem kilkuset tomów akt, nie znam dogłębnie sprawy. To praca dla prawnorządnego wymiaru sprawiedliwości i niezawisłego sądu. Chcę po prostu, żeby opowiedział pan swoją historię o relacji z państwem PiS. Pana sprawa jak na dłoni ujawnia patologie stosowania aresztu tymczasowego w Polsce.

– Trzykrotny powrót do aresztu w tej samej sprawie, w której nie ulegają zmianie żadne okoliczności i mimo ogromnego zabezpieczenia majątkowego! Takie rzeczy się nie zdarzają. Tu nie chodziło o ochronę dowodów czy obawę mactwa, bo moja sprawa jak większość spraw gospodarczych oparta jest na dokumentach, które były zabezpieczone od samego początku postępowania. Zresztą dwukrotnie byłem na wolności i z nikim się nie kontaktowałem...

Był pan zresztą wtedy inwigilowany. Pańska żona w otwartym apelu o pana uwolnienie tak to opisywała: „Przed naszym domem dosłownie 24 godziny na dobę stał nieoznakowany samochód. Gdy pojechalismy do mecenasa broniącej Piotra, do windy w kamienicy, gdzie znajduje się kancelaria, w ostatniej chwili wskoczył mężczyzna. Wsiadł na tym samym pięttrze, otworzył drzwi do gabinetu prawniczki, sprawdził, czy w pokoju aby na pewno jest ona, i potem odszedł bez słowa”. Pańska żona pyta retorycznie: „Jak i gdzie mielibyśmy uciekać?! Przy zabezpieczonym majątku, z chorym dzieckiem, przy załamanych rodzicach Piotra, którzy są już ludźmi w podeszłym wieku?”.

– Tymczasem gdy siedziałem w areszcie, mnie nie przesłuchiowano. Jeśli, to tylko na mój wniosek. Nie przesłuchiowano też nikogo z długiej rzekomo listy świadków. Proku-

rator przypominał sobie o mnie wtedy, gdy trzeba było przedłużyć areszt.

W Niemczech areszt tymczasowy nie może przekraczać sześciu miesięcy jeśli nie ma aktu oskarżenia i tam on rzeczywiście jest „tymczasowy”. Mój areszt był wydobyczy. Chodziło o to, żebym pękł, żebym się przyznał.

Do czego?

– Do czegokolwiek. Jak w kałkowskim procesie.

By można było ogłosić, że jest pan winny?

– Tak właśnie. Miałem przekonanie, że cały aparat państwa jest przeciwko mnie. To bardzo trudne. Zresztą w mojej sprawie jest tyle uchybień formalnych i proceduralnych... Pierwsza sędzia, która mnie aresztowała, napisała w uzasadnieniu, że byłem w organach GetBacku. To można sprawdzić przecież w KRS, że nigdy nie pełniłem tam żadnej funkcji.

Najwyraźniej nie mieściło się jej w głowie, że można było postawić zarzut działania na szkodę GetBacku komuś spoza organizacji.

– Oni wszyscy: politycy, śledczy, prokuratorzy, neosędziowie, działali wobec mnie w poczuciu pełnej bezkarności. Dopóki w Polsce nie będzie egzekwowanej jakiejś odpowiedzialności urzędniczej za naruszenie prawa, to się nic nie zmieni.

A co to jest „lex Osiecki”? Dlaczego pana tak uhonorowano?

– To zmiana w kodeksie postępowania karnego. Chodziło o to, żeby w przypadku zwolnienia z aresztu przez sąd podejrzany pozostał za kratami tak długo, dopóki sąd wyższej instancji nie rozpatrzy zażalenia prokuratora na tę decyzję. Prokuratora Ziobry nie chciała po raz trzeci dopuścić do mojego uwolnienia po tym, jak dwukrotnie wyszedłem na wolność. Wykorzystali ten przepis przy okazji mojego ostatniego posiedzenia aresztowego. Szczę-

Mój punkt startu nie różnił się od moich rówieśników. Mama ekonomistka, ojciec inżynier. Pochodzę z Żoliborza z inteligentnej rodziny, katolickiej i dość konserwatywnej. W liceum za sprawą nauczycielki historii fascynowałem się ruchami narodowymi, ale już mi przeszło. Obchodziliśmy na cichych przerwach rocznice śmierci Grzegorza Przemyka, który chodził do naszej szkoły.

W późnym PRL-u wyjeżdżaliśmy czasem za granicę, do demoludów i za żelazną kurtynę. Od dziecka zastanawiałem się, dlaczego u nas jest tak szaro i zgrzebnie w porównaniu z innymi krajami, zwłaszcza Zachodu. Wiedziałem, że zostanę finansistą. To mnie po prostu interesowało. Taką żylkę biznesową odziedziczyłem po mamie. Pierwsze pieniądze zarobiłem na roznoszeniu ulotek.

Myśmy ulotki roznosili za darmo... (śmiech)

– Ale te nie były antykomunistyczne, tylko o dezynsekcji piwnic w spółdzielni mieszkaniowej Za Żelazną Bramą. Były różne prace wakacyjne, sprzątanie biur w Paryżu, dorabiałem w Anglii, zbierając owoce na farmie. Skończyłem SGH z wyróżnieniem. Byłem przez 4 lata w stowarzyszeniu Top Ten – dziesięć najlepszych studentów na roku, a na naszym roku studiowało około tysiąca osób! Na drugim roku zrobiłem licencję maklerską i dyplom MBA. Studiowałem też na London School of Economic. 114 osób aplikowało na jedno miejsce i to ja zdobyłem to stypendium.

W 1992 roku wystartowała giełda. To mnie zafascynowało. Na SGH poznałem Leszka Balcerowicza. Potem byłem jego magistrantem. To on ukształtował moje widzenie rynku i rozumienie praw ekonomii. Dla mnie to postać pomnikowa.

Jak mawiał klasyk: „Skoro pan ma (a raczej miał) pieniądze, to znaczy, że skądś je miał”. A komuż to pan „ukradł” ten pierwszy milion?

Moja pełnomocniczka, gdy tylko usłyszała propozycję „pieniądze za wolność”, zrobiła się sztywna i kategorycznie odmówiła. Dalszego ciągu rozmowy więc nie było

śliwie sąd apelacyjny zdecydował o moim uwolnieniu.

Kontrola sądowa aresztów i tak jest dość iluzoryczna, a to jeszcze wzmacnia pozycję prokuratora jak za komuny.

– Nadużywanie tymczasowych aresztów w Polsce jest absolutnym standardem i to jest w czystej postaci relikw PRL-u. Każda władza to kocha, a poprzednia wyjątkowo sobie upodobała. Po narządzie szczególnie stosowane wobec przedsiębiorców i niepokornych środowisk. W sądach karnych nie ma tak naprawdę domniemania niewinności i elementarnej równości obrony z prokuraturą. Pamięta pan z PRL-u taką dobranoczkę – „Reksia”. W każdej czołówce filmu Reksio rytmicznie stawiał te stempelki. Tak właśnie pracują sądy w sprawach aresztowych w Polsce.

Gdy siedziałem w PRL-u, w ogóle nie było sądowej kontroli postanowień aresztowych. Ale zacznijmy od Adama i Ewy. Skąd się pan wziął? Jak pan trafił do biznesu i na rynek kapitałowy.

– Niezręcznie mi mówić o sobie, ale w szkole i na studiach zawsze byłem prymusem.

– Zawsze miałem ambicje i zawsze chciałem więcej niż inni. Pierwszy milion zarobiłem na skupowaniu akcji pracowniczych w ramach Programu Powszechnej Prywatyzacji i programach NFI w 1995 roku. Prze studiowałem sprawozdania finansowe „Izolacji” Zduńska Wola i zrozumiałem, że te akcje są więcej warte. To było jeszcze na studiach. Wraz z kolegami, pożyczając pieniądze od rodziny i gdzie się tylko da, wystając pod zakładem, skupowaliśmy akcje pracownicze, w sumie uzbierało się tego 5 proc. akcji spółki.

Nagle stałem się zamożnym studentem. Nie wydawałem głupio, tylko dalej inwestowałem w inne spółki. Nie trzeba było niczego kraść. Jak się zgromadzi jakiś kapitał, to potem jest łatwiej.

W 1997 roku pana mentor Leszek Balcerowicz został wicepremierem i ministrem finansów w rządzie AWS-UW Jerzego Buzka.

– Zostałem wtedy doradcą w gabinecie politycznym sekretarza stanu w Ministerstwie Skarbu Państwa Alicji Kornasiewicz. Pracowałem przy dużych prywatyzacjach. Ministrem był wówczas Emil Wąsacz.

Pan ma żal do państwa polskiego, a co ma powiedzieć Emil Wąsacz? Został prawomocnie uniewinniony – uwaga – po 26 latach sądowej batalii!

– To się po prostu nie mieści w głowie. Nie winny człowiek nękany przez państwo przez ćwierć wieku. Ufam, że nie jest to ponura zapowiedź tego, co może się stać z moją sprawą.

Są też inne ewidentnie politycznie motywowane sprawy gospodarcze z lat 2015-23, np. sprawa Bogu ducha winnych byłych szefów KNF pana Wojciecha Kwaśniaka i Andrzeja Jakubiaka, którą prokuratura z ulgą przerzuca na sąd. Słyszę czasami, żeby się nie śpieszyć i poddać je kontroli niezawisłego sądu. Mówią to ludzie, którzy nie mają pojęcia, ile lat trzeba, żeby prawomocnie oczyścić się z zarzutów. Tych straconych lat już nikt nie zwróci.

A jaki jest stan pańskiej sprawy?

– Są tylko zarzuty. Nie ma ciągle aktu oskarżenia. Od siedmiu lat nic nie trafiło do sądu. Zwyczajnie nie ma materiału dowodowego, żeby mnie o cokolwiek oskarżyć.

W ministerstwie pracował pan dwa lata. Co pan robił potem?

– Przez pół roku pracowałem w domu maklerskim PKO BP, a następnie przez osiem lat w PZU w inwestycjach, skończyłem jako wiceprezes największej firmy zarządzającej aktywami w Polsce, czyli PZU Asset Management. W grupie PZU pracowałem do lutego 2008 roku. Przeżyłem dziewięciu prezesów, najpewniej dlatego, że zajmowałem się wyłącznie działalnością inwestycyjną. Czterdzieści procent wyniku PZU pochodziło właśnie z lokowania pieniędzy. Nikt mnie nie ruszał, uważając słusznie, że zarabianiem pieniędzy niech się zajmują fachowcy, a nie ludzie z politycznego rozdania.

W 2008 roku odszedł pan z PZU i poszedł na swoje.

– Byłem już na to gotowy i zdeteminowany. W lutym 2008 powstał Altus TFI.

Z czego, że tak nieśmiało zapytam?

– Ja mojej firmy od nikogo nie kupiłem. Nie przejąłem w ramach prywatyzacji. Ja ją zbudowałem od zera. W grudniu 2008 roku dostałem licencję od KNF na prowadzenie działalności TFI. Zaczynałem z pięcioma partnerami i kapitałem niecałych 3 milionów złotych. Wyłącznie nasze własne pieniądze.

Ale zakładać fundusz po wielkim kryzysie i upadku Lehman Brothers to dosyć karkołomny pomysł.

– No właśnie wtedy! Upadek Lehmana pokazał, że wielkie firmy o wielkich nazwach i referencjach nie chronią przed stratami. CreditSuisse poniosło w 2007 roku 56-procentowe straty na zarządzanych funduszach...

To był moment, kiedy można było się odróżnić. Ludzie byli strauumatyzowani. Chcieli inwestować bezpiecznie i myślny im to w Altusie zapewnili. Miałem pomysł, żeby na polskim rynku wystartować z funduszami absolutnej stopy zwrotu. Innymi słowy, z funduszami, które mają plan zarabiania w każdych warunkach rynkowych, bez względu na to, czy są wzrosty czy spadki.

To nie jest nowy wynalazek. Chodzi o to, by zmniejszyć wrażliwość portfela inwestycyjnego na ruchy indeksów, grać na krótkie i na długie pozycje jednocześnie i wygrywać nawet na spadkach. To oczywiście limituje zyski, ale też zdecydowanie ogranicza ryzyko strat.

Nowy produkt na rynku, w dobrym momencie, stał się realną alternatywą dla wielkich graczy. Mniejszy zysk, ale z mniejszym ryzykiem. My bardzo aktywnie dbaliśmy o interesy naszych klientów.

Słyszałem, że ma pan opinię bezwzględnego gracza.

– Po prostu działałem w interesie klientów. Wypruwaliśmy sobie dla nich żyły, co nas odróżniało od raczej pasywnych graczy na polskim rynku. To też zaowocowało. Nasze wyniki eksplodowały.

Nic z tego nie rozumiem. Ale zdaje się, że sztuka sprowadza się do tego, żeby taniej kupić i drożej sprzedać. Tylko że trzeba wiedzieć, co i kiedy? I za to trafił pan do aresztu?

– Firma rosła. Pozyskaliśmy poważnych polskich i międzynarodowych partnerów. Od wiosny 2009 roku do dnia mojego zatrzymania 31 sierpnia 2018 grupa Altusa od poziomu zera zarządzanych aktywów urosła do 18 miliardów złotych w całej grupie zarządzanych aktywów.

W 2014 roku wprowadziliśmy Altusa na giełdę. Kupiliśmy BPH TFI. W 2017 roku Altus wykazał rekordowe 102 milionów złotych zysku netto. Wartość samej spółki to 1 miliard złotych. Spektakularny sukces.

Powiem nieskromnie, ale to prawda. W innych krajach ludzi z takim doświadczeniem i kompetencjami raczej się wspiera i hołubi, a nie zamyka do aresztów i niszczy ich firmy.

Placiliśmy ogromne podatki, a 10 procent zysku przeznaczaliśmy corocznie na cele charytatywne. Jako jedyna spółka w Polsce mamy taki zapis w statucie.

Małpa za wysoko weszła na drzewo i za bardzo odsłoniła tyłek.

– Byłem na tyle duży, żeby być atrakcyjnym kozłem ofiarnym – kimś, z kogo zrobi się twarz afery GetBacku, przykryje się udział ludzi PiS i fakt, że GetBack – pupił władzy – miała instytucjonalny parasol. A z drugiej strony byłem za mały, żeby się obronić. Nie miałem telewizji, nie miałem mediów. Starałem się nie interesować polityką.

To polityka zainteresowała się panem.

– Popelnilem też błąd. W 2017 roku Altus wygrał przetarg na zarządzanie funduszem stabilizacyjnym Jastrzębskiej Spółki Węglowej. 800 mln zł w obligacjach skarbowych. W ostatniej fazie przetargu pokonaliśmy państwowe TFI PZU i TFI PKO BP.

Dlaczego to był błąd?

– Bo oni mnie wtedy zobaczyli. Zainteresowało się mną państwo PiS. Ktoś mi wtedy powiedział: „Oni ci tego nie darują, bo wygrałeś z PKO BP, które było największym kredytodawcą JSW, i wygrałeś z PZU, które było największym obligatariuszem JSW”.

Paweł Borys, ówczesny prezes PFR, prawa ręką Morawieckiego, powiedział mi: „Piotr, ty nie masz się czemu dziwić. Jeśli wygrasz taki przetarg, to wiadomo, że mechanizmy państwa muszą się uruchomić”. I dokładnie tak się stało. Wiem, że Morawiecki i państwo PiS sprawdzali, jak to możliwe, że wygrał Osiecki, ten „prywatyzator od Balcerowicza, przedstawiciel lże-elit, III RP i Unii Wolności”. To już było po ataku władzy na organizacje pozarządowe, na wolne media. Zabrali się też do sektora finansowego, który jest krwioobiegiem gospodarki. PiS chciał czeboli, chciał etatyzmu, chciał państwowej kontroli nad gospodarką. Stąd renacjonalizacja PKO SA, Alior Banku, PZU, zwiększanie udziału państwa w spółkach, kupowanie kolejki na Kasprowy Wierch, tworzenia Polskiego Holdingu Spożywczego, Polskiego Holdingu Hotelowego itd., itp.

No i na to wszystko nakłada się afera GetBacku.

– Gdy w kwietniu 2018 roku wybucha afera GetBacku, to wszyscy kojarzą ją z PiS. Wojciech Czuchoński publikuje w „Gazecie Wyborczej” listy Kąkolewskiego, prezesa GetBacku, do Morawieckiego i do Borysa. Sens tej korespondencji był taki: nie możecie pozwolić na upadek GetBacku. Wspierałem was, wspierałem wasze media, wasze gale Człowieka Wolności „Gazety Polskiej”. Upadek GetBacku to będzie afera PiS!

Media donoszą, że Kornel Morawiecki, ojciec premiera, wspierał Kąkolewskiego w zabieganiu o pieniądze dla GetBacku. Byli w PKO BP, gdzie prezesem był Zbigniew Jagiello, przyjaciel Morawieckiego z Solidarności Walczącej z Wrocławia, byli w PFR, gdzie prezesem był Paweł Borys. Spotykali się w restauracji Pod Gigantami.



• **Piort Osiecki skuty, obejmuje go córka. Zdjęcie z korytarza sądowego**
FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

„Wyborcza” pisze, że GetBeck to afera państwa PiS z Morawieckimi w roli głównej. Temat natychmiast podchwytują Ziobro i Świączkowski. W PiS wrze walka frakcyjna. Ziobro atakuje „bankstera” Morawieckiego i jego środowisko. W końcu Kaczyński, który wraca ze szpitala, ucina tę walkę i decyduje o przekierowaniu odpowiedzialności za GetBack na opozycję.

I rusza maszyna po szynach ospale...

– Tak, wtedy się dzieje. Realizuje się scenariusz znany nam z Poufnej Rozmowy.

Co jest tym źródłem nacisku na media?

– Wy w „Wyborczej” byliście bojkotowani przez władze PiS i możecie sobie nie zdawać sprawy z tego, jaką presją dla słabnących mediów jest potężny budżet reklamowy państwowych firm. Tomasz Józwiak, dziennikarz „Gazety Prawnej”, jako pierwszy przysłał pytania do Altusa w sprawie transakcji EGB Investment SA.

To ta sama transakcja, która już niebawem stanie się treścią prokuratorskich zarzutów przeciwko panu.

– Dokładnie tak. Idzie przekaz: „Czego wy chcecie od Morawieckiego i jego ojca, kiedy tu jest taka podejrzana transakcja sprzedaży EGB GetBackowi?”. Dziwnym trafem Józwiak miesiąc później zostaje szefem redakcji ekonomicznej Polskiej Agencji Prasowej. Ta Agencja też odegrała tu swoją rolę.

W maju 2018 roku kontaktuje się ze mną Wojciech Surmacz, wówczas redaktor naczelny PAP z nominacji PiS, późniejszy szef Józwiaka. Spotykam się z Surmaczem w Costa Coffee na placu Trzech Krzyży. Nie знаłem go, ale on bezceremonialnie mówi do mnie na „ty”. Domaga się, bym „powiedział swoim kolegom z Platformy Obywatelskiej, żeby nie mówili, że afera GetBacku to afera PiS, bo my na to odpowiemy i ta odpowiedź uderzy w ciebie”. Powiedziałem, że nie znam ludzi z PO. Wówczas szefem partii był Grzegorz Schetyna. Nie znam Schetyny, nie miałem nigdy jego telefonu. Cała ta rozmowa wydawała mi się tak surrealistyczna, że niczego się jeszcze nie obawiałem.

I po czterech dniach od publikacji „Wyborczej” Surmacz, mimo że jest naczelnym PAP, publikuje w WP.pl jeden jedyny artykuł (29 maja 2018 roku, godzina 13.44), w którym polemizuje z tekstem „Wyborczej” i ewidentnie przekierowuje aferę GetBacku z Borysa i Morawieckiego na Altusa i Piotra Osieckiego.

Po tekście Surmacza zrozumiałem, że żarty się skończyły, że ktoś mi szyje buty. Ko-

respondencja z Poufnej Rozmowy to pokazuje jak na dłoni. W układanie przekazu zaangażowani są sam premier i jego najbliżsi ludzie. Poseł Horalą idzie z tym do mediów i wali w Osieckiego.

Jak się potem dowiedziałem, dla Morawieckiego i jego ludzi było nie do zniesienia to, że w ciągu jednego tygodnia w związku z aferą GetBacku pojawili się na pierwszej stronie „Gazety Wyborczej” aż trzykrotnie.

Czyje interesy pan naruszył? Dlaczego właśnie pana trafiło?

– Przeskoczę w czasie. Między moim drugim a trzecim aresztowaniem, a więc w maju 2019 roku, w Alejach Jerozolimskich przy Żabce spotykam Pawła Borysa. On staje jak wryty. Nikt się wówczas nie spodziewał, że będę aresztowany po raz trzeci. I on mówi: „Tu wiele osób mi sugeruje, że ty się teraz będziesz na mnie mścił”. Odpowiedziałem, że nie będę, ale nigdy nie zapomnę tego, co zrobiliście mojej rodzinie i mojej autystycznej córce Zosi. I on wtedy powiedział znamienne zdanie: „Piotr, ty musisz zrozumieć, że to chodziło o ochronę premiera i jego rodziny”.

Jak widać, są lepsze i gorsze rodziny. By chronić rodzinę Morawieckich, trzeba było poświecić rodzinę Osieckich. Czy tak?

– Na to wychodzi. Odszedłem bez słowa.

Oddajmy może głos pańskiej żonie, która pisała: „Zabranie Piotra po prostu podpalilo Zosi świat. Autoagresja, gryzienie ubrań, poczucie porzucenia. Ciągłe przynoszenie telefonu i błagania, bym do Piotra zadzwoniła, bo przecież gdy wyjeżdżał, zawsze robił sobie z nią wideopojęcia. Ona stojąca przed jego fotografią pytająca: »Gdzie jest tata Piotr? Tęsknię za tatą Piotrem«. (...) Zabrałam Zosię do sądu. Chciałam, żeby chociaż na chwilę mogła przytulić ojca, usłyszeć jego głos. By on mógł poczuć jej miłość. On z bluzą przewieszoną na przedramionach, by nie było widać kajdanek, ona łapczywie trzymająca go za ramiona i głowę. W końcu wypatrzyła te kajdanki, próbowała je zerwać, nie rozumiała, dlaczego muszą się rozstać”.

– Nie chcę epatować chorobą Zosi, ale to jest najcięższej unieść.

A może ta transakcja EGB Investment SA rzeczywiście była jakaś szemrana?

– Proszę pana: żeby pokazać, że sprawa jest transparentna, zrobiliśmy białą księgę transakcji EGB. Zrobione zostało due diligence,

innymi słowy: badanie i analiza kondycji finansowej, prawnej i biznesowej przedsiębiorstwa przed transakcją. Międzynarodowa firma audytowa KPMG zrobiła dla GetBacku wycenę EGB. Co istotne, transakcja była szczegółowo opisana w 2017 roku w prospekcie emisyjnym GetBacku łącznie z jej warunkami i ryzykami. KNF ten prospekt zatwierdziła. Co jeszcze mogliśmy zrobić? Nie ma żadnych podstaw do oskarżenia mnie.

Udało się panu pogodzić zwaśnione frakcje w PiS.

– Dziękuję, ale w ogóle mi na tym nie zależało i nic mnie to nie obchodziło.

A to błąd, że nie obchodziło, bo szybko zapadła kłamka na Osieckiego. Kiedy konkretnie?

– 21 lipca 2018 roku w sobotę w gabinecie premiera odbyła się narada. Był tam szef KNF Marek Chrzanowski, premier Morawiecki i Mariusz Kamiński, koordynator służb specjalnych. Podjęto decyzję, by wytoczyć najcięższe działa przeciwko wszystkim prywatnym podmiotom, które miały cokolwiek wspólnego z GetBackiem, ze szczególnym uwzględnieniem Altusa. I tak się stało.

Następnego dnia roboczego Chrzanowski wezwał podległych sobie dyrektorów KNF i nakazał im wszczęcie postępowania o zabranie licencji Altusowi. To sytuacja bez precedensu. Zwykle takie decyzje są następstwem kontroli. Dopiero gdy kontrola wykaze nieprawidłowości, wszczynają się postępowanie. Tu było na odwrót. Kontrolę wszczęto dopiero po trzech miesiącach, czyli postępowanie wszczęto bezpodstawnie. To było ewidentnie polecenie, które przyszło z KPRM.

Ze świadka w sprawie afery GetBacku nagle stałem się podejrzanym.

I aresztowanym. Kiedy?

– Szybko, już 31 sierpnia 2018 roku. Dzień urodzin mojej żony. Rano, godzina 6.03. Walenie do drzwi, budzę się z letargu. Myślę: listonosz? Nie, niemożliwe, dzwoniłby od bramy. Schodzę w piżamie. Otwieram. Antyterrościści z długą bronią, helmy, kamizelki jak wojownicze żółwie ninja. Pięciu. Celują we mnie, powalają na ziemię, ręce do tyłu, kajdanki, sadzają na taborecie w kuchni. Schodzi żona. Dzieci śpią na gorze. Za antyterrorystami do domu wchodzi 16 agentów.

Ilu? Szesnastu?!

– Tak. Robią przeszukanie. Oczywiście są już kamery TVP Info. Stacja o 6 daje już szczegółową informację wraz z przygotowaną inscenizacją, tj. ujęciami naszego domu, które musieli wykonać wcześniej.

Jednocześnie aresztują Jakuba Rybę, drugiego członka zarządu Altusa, który podpisywał umowę sprzedaży EGB. U niego jednak była pełna rewerencja i wszystko odbyło się po cichu, „żeby nie budzić sąsiadów”. I teraz uwaga: prokuratorzy zaprosili żonę Jakuba Ryby do prokuratury na Krakowskie Przedmieście. Przekaz był taki: „Niech pani powie mężowi, że zaraz go wypuścimy, jeśli tylko zezna coś na Osieckiego. Nam w ogóle nie zależy na pani mężu. Niech się państwo zastanowią”.

Hm?

– Nie, to nie są wymysły. Mamy to wszystko udokumentowane. Świadkowie, dowody, zarejestrowane oświadczenia, wszystko do weryfikacji.

A co z w tym czasie z panem?

– Wiozą mnie do prokuratury i robię największy rachunek sumienia w moim życiu. Zastanawiam się, jaki postawią mi zarzut. Gdy zapytałem prokuratora, jakim cudem mogłem wyrządzić szkodę 160 mln zł spółce GetBack, nie będąc zobowiązany do dbania o jej interesy, usłyszałem: „To my jesteśmy od zadawania pytań, a nie pan”.

Zawieźli mnie na dołek, do Pałacu Mostowskich. To najgorsze doświadczenie.

Dlaczego?

– Bo tak blisko i tak daleko od domu i rodziny. Bo świat się zatrzymał. Bo ogarnęło

mnie poczucie kompletnego absurdu i beznadziei. Nigdy w życiu nie miałem konfliktu z prawem. Gdy dostałem zarzuty, to byłem spokojny. Naiwnie sądziłem, że są tak absurdalne, że zaraz wszystko wyjaśnię. W sobotę przewieziono mnie na posiedzenie aresztowe. Orzekła sędzia na dyżurze, a więc bez losowania. Z automatu dostałem trzy miesiące. Jednym z kluczowych argumentów na rzecz mojego aresztowania było to, że przy transakcji wykorzystaliśmy rachunek escrow, czyli po prostu zastrzeżony. I skoro ktoś używa rachunku „zastrzeżonego”, to miał być dowód na przestępczy zamiar. Nie muszę tłumaczyć, że to absurd.

Gdzie pana zamknęli, jak traktowali? Przyzwyczaił się pan?

– Byłem w dwóch zakładach, głównie siedziałem na Białoleścu i na tzw. Kamczatce, czyli w Areszcie Śledczym na Grochowie. Ciągłe jakieś szykany. Posadzili mnie z agresywnym grypsującym recydywistą. Przy trzecim aresztowaniu miałem też sugestie od więźniów, że mi wprawdzie niewiele mogą zrobić, bo jestem polityczny, ale że kiedyś na wolności wiedzą, „którędy syn chodzi do szkoły”.

Dlaczego pana nękali?

– Takie widać mieli instrukcje.

Gdy byłem w areszcie, powstał kuriozalny i głupi artykuł w Bussines Insiderze o moim rzekomym opuszczaniu miejsca osadzenia. Miałem być dwukrotnie widziany na uczelni Koźmińskiego, na której nigdy w życiu nie byłem. Miałem tam robić MBA, które zrobiłem już 20 lat wcześniej. Tekst posłużył do przedłużenia mojego aresztu tymczasowego. Musiałbym być w zмовie z 14 strażnikami! Ale dobronmianowy sąd dał temu wiarę!

Po podejrzeniu, że „bezprawnie wychodzę z aresztu”, rozpętała się histeria. Kontrolę Centralnego Zarządu Służby Więziennej, obserwacja, czy ja to ja, a nie ktoś podstawiony. A może mam dar bilokacji? Przesłuchiwanie współosadzonych. Dali mi wtedy specjalne zielone ubranko. Przy każdym widzeniu brali na kontrolę osobistą. Monitorowali moje spotkania z obrońcą. W Białoleścu wszyscy mnie znali. Przychodził naczelnik aresztu i pytał: „Panie, kim pan jest? Ja ostatni raz miałem takie hece, jak mi się powiesił naczelnik urzędu skarbowego”...

Oskarżyłem tę dziennikarkę Jagodę Fryc. Po trzech latach została prawomocnie skazana. Jest też cywilna sprawa o ochronę dóbr osobistych.

Pańska żona też dostała zarzuty?

– Tak. Jednym ze sposobów na złamanie mnie miało być niby-przypadkowe spotkanie Ani, mojej żony, na korytarzu prokuratury. 7 listopada 2018 roku wyznaczono mi na godz. 11 w prokuraturze czynności. Czekalem więc skutny na korytarzu. Nie wiedziałem, że na ten sam dzień po wielogodzinnym ponownym przeszukaniu naszego domu przez CBA wezwano Anię do prokuratury. Mammy z żoną wspólnotę majątkową. Zarzut: podpisanie umowy z GetBackiem o świadczenie usług doradztwa. Chodziło o to, żeby ją zobaczyć z zaskoczenia, po długim niewidzeniu.

Wtedy miałbym pęknąć i przyznać się do wszystkiego. Czas mijał, a prokurator zwlekał z rozpoczęciem ze mną czynności. Czekal na pojawienie się mojej żony. Plan spalił jednak na panewce. Jak mi potem Ania powiedziała, zjawiła się w prokuraturze dopiero o 13, bo przeszukiwanie się przeciągnęło za sprawą naszego pełnomocnika.

Ani postawiono zarzuty, chociaż śledczy wiedzieli, że to ja wykonywałem usługi na rzecz GetBacku.

A jak wyglądało to drugie przeszukiwanie domu?

– Nie mogłem tego widzieć, ale wiem z jej relacji, że było dość brutalne.

Żona to opisała: „Przyszli do naszego domu agencji CBA i zabrali się za przetrząsanie pokoju naszej córki, półek, zabawek i szafek. Zosia ma zwyczaj, że w sytuacjach zagrożenia, niepewności siedzi na swoim łóżku. To jest jej rewir, enklawa i twierdza. – Nie czuje się pewnie, zaraz może zacząć krzyczeć – ostrzegalam panią z CBA. – Może krzyczeć, mi to zupełnie nie przeszkadza – odparła chłodno. Zabrała Zosi łańcuszek ze słonikami, który mała dostała przed laty na chrzest. Odzyskalismy go po wielu tygodniach i interwencjach adwokatów”.

– Krzyczeli: „Gdzie są pieniądze?”. W końcu zabrali niewielką gotówkę. Żona mówi, że to pieniądze na terapię córki za granicą. Nic ich to nie obchodziło.

To co pana trzymało w areszcie przy życiu?

– W pewnym momencie pożegnałem się z dotychczasowym z życiem. Pomyślałem, że już nigdy stąd nie wyjdę. Ale trzymała mnie wiara, modlitwa i świadomość, że ludzie o mnie nie zapomnieli. Moja pełnomocnik przychodziła do mnie regularnie kilka razy w tygodniu, przekazywała mi wyrazy wsparcia. Miałem poczucie, że mam do czego wracać.

Z Grochowa pierwszy raz wyszedłem 26 listopada, za rekordowym poręczeniem 108 mln zł. To był wyraz niespotykanej solidarności całego środowiska biznesowego. W efekcie Wydział Spraw Wewnętrznych Prokuratury Krajowej wszczął w sprawie sędziego, który mnie wypuścił, postępowanie karne o przekroczenie uprawnień! Dociekano, dlaczego przyjął to poręczne.

Niezawisłość sędziowska czasów Ziobry!

– Przesłuchiwało również poręczycieli, pytając niedwuznacznie o ich motywacje. Zaczęły też do mnie docierać przez żonę i adwokatów różne dziwne sygnały i propozycje.

Jakie propozycje? Na jaką ofertę może odpowiedzieć człowiek siedzący w areszcie?

– Wszystkie moje akcje Altusa za wolność.

Dwa tygodnie po moim aresztowaniu do ówczesnego prezesa Rockbridge – mojego drugiego TFI, przyszło dwóch mężczyzn przedstawicieli Pioniera. Pionier to TFI należące do państwowego Pekao SA.

Wtedy prezesem PKO SA był Michał Krupiński, zaufany władzy.

– Panowie powiedzieli: „Jeśli przekonać siedzącego w areszcie Osieckiego, żeby sprzedał wszystkie swoje udziały Altusa za symboliczną złotówkę, to jego problemy się skończą”.

Wszystkie akcje Osieckiego, czyli pakiet kontrolny Altusa?

– Tak.

I jaka była na to państwa reakcja?

– Ta „propozycja” została przekazana do szefa Rady Nadzorczej Altusa, a ten przekazał informację mojej żonie... Naszą odpowiedzią było kategoryczne „nie”. Uznaliśmy, że to prowokacja. Więcej kontaktów nie było.

Zaraz po aresztowaniu miałem za obrońców typowych karnistów, pragmatyków procesowych, którzy namawiali mnie do zamknięcia sprawy i „ugodzenia się”, żeby tylko mógł opuścić areszt. Mówili, że mogę „dobrowolnie poddać się karze” itd. Powiedziałem, że nie ma o tym mowy, że ja tę sprawę muszę wygrać merytorycznie, że zarzut jest absurdalny, że nie mogę działać na szkodę kupującego, działając w interesie swoich funduszy. Nikogo nie skorumpowałem, nie oszukałem, niczego nie zataiłem.

Kupuję taniej dzisiaj, żeby jutro sprzedać drożej. To jest fundament mojego biznesu. Nie mogę się zgodzić na to, by to było przestępstwo. W takiej postawie utwierdzała mnie moja pełnomocniczka Katarzyna

na Szwarz, która podjęła się mojej obrony w październiku 2018 roku, gdy już byłem w areszcie od półtora miesiąca.

Były inne propozycje?

– Tak. Gdy siedziałem w areszcie, do mojej pełnomocniczki właśnie zadzwonił pewien znajomy adwokat. Ona nie chce wymieniać jego nazwiska, bo sądzi, że zrobił to w dobrej wierze. Powiedział: „Nie wiem, czy znasz takie nazwisko Krzysztof Porowski. To biznesmen ze Śląska. Ma kontakty ze służbami, z Grzegorzem Ocieckim, wiceszefem CBA, i z katowicką prokuraturą. On twierdzi, że za 8 mln zł jest w stanie zwolnić z aresztu twojego klienta. Czy chcesz podjąć temat?” – pytał ten adwokat. Wskazywał, że zna historie takich udanych „transakcji”.

Moja pełnomocniczka, gdy tylko usłyszała propozycję „pieniądze za wolność”, zrobiła się sztywna i kategorycznie odmówiła. Dalszego ciągu rozmowy więc nie było.

Znała nazwisko Porowskiego?

– Wtedy jeszcze nic nie słyszała o Porowskim. Potem, jak się zaczęła o niego rozpytywać, to się okazało, że nazwisko tego człowieka przewija się w wielu sprawach moich majątnych kolegów, którzy zderzyli się z państwem PiS. Zresztą do rodziny Jakuba Ryby również ktoś dotarł z propozycją wskazującą na możliwości Porowskiego. Tylko kwota była niższa.

Taka sama propozycja: „pieniądze za wolność”, padła od Krzysztofa Porowskiego w sprawie innego inwestora, Przemysława Krycha. Dwukrotnie zresztą. Raz przed aresztowaniem, drugi raz w trakcie. Krych odmówił i siedział osiem miesięcy, a jego sprawa tak jak pańska wlecieć się do dzisiaj. Tyle dobrego, że rozpoczęło się w lubelskiej prokuraturze śledztwo o nadużycie władzy prokuratorzkiej wobec Krycha, w którym bada się też wspomniany wątek.

– Cała moja aresztowa epopeja trwała niemal dwa lata. Siedziałem z przerwami w sekwencji trzy miesiące, trzy miesiące i dziesięć miesięcy. Mimo wszystko największy żal mam do sędziów, dla których sprawy aresztowe to są tzw. sprawy incydentalne, na 10 minut wokandy... Po moim aresztowaniu moja córka Zosia popadła w poważny regres. Wartość Altusa na giełdzie drastycznie spadła. Zamordowali mi biznes, zabrali licencję. Ale ja odbuduję mojego Altusa. Będzie dwa razy większy, niż był. Nie chcę rewanżu ani zemsty. Chcę tylko prawa i sprawiedliwości. ●

OGŁOSZENIE

Kraj/34377292

Mamy to. 1 AGORA GRUPA MEDIOWA #1 W POLSCE

Każdego dnia trafiamy do ponad 18 milionów odbiorców, co daje nam 1. miejsce wśród grup mediowych w Polsce. Dziękujemy, że jesteście z nami.

Źródło: Mediapanel, kwiecień 2025

GRUPA MEDIOWA
AGORA

GAZETA
wyborcza

GAZETA.PL

radio
ZET

tokfm

ams

HELIOS

Satanizm w piosenkach Justyny Steczkowskiej?

Już w pierwszym swoim przeboju zatytułowanym – nomen omen – „Dziewczyna szamana”, Justyna Steczkowska wyraziła, zdaniem Stanisława Krajskiego, „poglądy, które można zaliczyć jako satanizm”.



Michał Rusinek

W dojmującej ciszy wyborczej, kiedy nikt z nas nie wiedział, co ze sobą zrobić, postanowiłem obejrzeć wychwalany pod niebiosa występ Justyny Steczkowskiej na Eurowizji. O ile strona wizualna, choreografia i efekty specjalne oraz strona muzyczna i wokalna jej występu były, muszę przyznać, oszałamiające, o tyle strona literacka im, delikatnie mówiąc, nie dorównywała. Szkoda, ale to charakterystyczne dla wielu współczesnych przebojów, w których tekst jest jakby trzeciej kolejności odśnieżania.

Jednak jako że się ostatnio przebranżowiłem i interpretuję teraz głównie wypowiedzi polityków, a z poezją, także śpiewaną, dawno nie miałem styczności, postanowiłem się zorientować, co o tekście piosenki „Gaja” mówią prawdziwi znawcy. I tak oto natrafiłem na błyskotliwą egzegezę samego doktora Stanisława Krajskiego, krytyka masonerii, ekumenizmu, papieża Fran-

ciszka, Unii Europejskiej, obywatelskich szczepień, Billa Gatesa, technologii 5G, oraz – inspirowanej jego zdaniem przez Zachód – opozycji demokratycznej na Białorusi, autora ponad 30 książek, w tym wstrząsających „Dwóch twarzy Wisławy Szymborskiej”. Krótko mówiąc, Justyna Steczkowska nie mogła sobie wymarzyć wnikliwszego interpretatora swojego tekstu. A ja – odczuwam sporą ulgę, jako że czuję się zwolniony z obowiązku jego interpretowania.

Na youtube’owym kanale „Stanisław Krajski TV”, subskrybowanym przez ponad 100 tys. użytkowników, znaleźć można odcinek zatytułowany smakowicie: „Justyna Steczkowska – satanizm w «polskiej» wersji na konkursie piosenki Eurowizji”. Nagranie zaczyna się od zdania: „Przeczytałem tekst [piosenki] i obejrzałem fragmenty jej występu”. Od razu można tu rozpoznać rasowego filologa, który czyta, a nie ogląda. Krajski uprawia jednak filologię specyficzną, w pewnym sensie pozytywistyczną, wychodzi bowiem od lustracji autora czy autorki tekstu, sam tekst traktując już raczej marginalnie.

Dowiadujemy się, że Justyna Steczkowska po pierwsze, „młoda nie jest”, a po drugie, deklaruje się jako osoba wierząca. „Ale co to znaczy?” – pyta Krajski i zaraz sobie odpowiada: że przyjmuje księdza po koledzie. Ale to raczej dla zmyłki, bo bycie osobą wierzącą to dla Steczkowskiej tylko nierobienie rzeczy powszechnie uznanych za złe i przekonanie, że żadnej innej wiary nie należy potępiać. A to jednak nie tylko nieortodoksyjne, ale w ogóle podej-

rzane. Być może na religijność Steczkowskiej miało wpływ to, że jej ojciec był księdzem – który, jak zaraz dodaje Krajski, uprzednio „opuścił stan kapłański, ożenił się z Tatarką i owocem tego związku była Justyna Steczkowska”. Tę garść faktów zaczerpniętych z internetu badacz kwituje wieloznacznym i zachęcającym do snucia własnych insynuacji stwierdzeniem: „Nie będę tego komentował”.

Po czym przechodzi do tekstu. Twierdzi, że obserwujący jego kanał byli „oburzeni tym, co słyszeli, ale nie słyszeli dużo, bo [Stecz-kowska] śpiewała niewyraźnie”. Z jednej strony jest to zarzut wobec jej wokalne dykcji, a z drugiej – to dobrze, że obserwujący nie słyszeli wszystkiego, bo oburzenie mogłoby ich doprowadzić do uszczerbków na zdrowiu. On jednak uszczerbków rzeczonych się nie obawia, bo jest egzegetą doświadczonego, który z niejedną trucizną literacką miał do czynienia, wydrukował więc sobie tekst piosenki z internetu.

„O czym on jest?” – pyta Krajski. I odpowiada: „Ktoś mógłby powiedzieć: chciała wygrać Eurowizję, więc zrobiła lizusowski tekst o bogini Gai, a więc ziemia jest boginią, to takie ekologiczne”. Na tym jednak nie poprzestaje, lecz zwraca uwagę na formę gramatyczną: tekst pisany jest w pierwszej osobie: „Moje imię Gaja, jestem Bogiem [...] kiedy placę/ to we łzach tonie świat [...], jestem stwórcą twego «ja»”. Mamy tu do czynienia, zdaniem badacza, z lekko zakamuflowaną wersją pogaństwa zwaną satanizmem: „W satanizmie nie krzyczy się, że moim Bogiem jest Sza-

tan. W satanizmie zawsze jednym z podstawowych dogmatów jest panteizm: wszystko jest Bogiem. A skoro wszystko jest Bogiem, to i ja jestem Bogiem, i zaczynam zachowywać się jak Bóg”. Tu doktor Krajski dyskretnie reklamuje swoją książkę „Żywe trupy i masoneria. O budowaniu królestwa Szatana na Ziemi” (wyd. św. Tomasza z Akwinu) i wyjaśnia, że żywy trup to ktoś, kto „umarł na duszy, bo ogarnęła go pycha i uznał, że jest Bogiem i zaczyna nowe życie, które nie jest już życiem w tym świecie, ale w królestwie Szatana”. Zupełnie jak Justyna Steczkowska.

Rasowy interpretator nie ogranicza się do komentowania jednego utworu, ale sięga także do innych. Już w pierwszym swoim przeboju zatytułowanym – nomen omen – „Dziewczyna szamana”, Justyna Steczkowska wyraziła, zdaniem Krajskiego, „poglądy, które można zaliczyć jako satanizm. A w tej piosence jest to samo, tylko jeszcze gorzej”. Po czym zaczyna ubolewać, że „Dziewczyna szamana” przeszła bez echa „ze strony katolickiej i prawicowej”.

Następnie sięga do innych utworów: „Kiedy pobieżnie przyjrzymy się dorobkowi Justyny Steczkowskiej, to znajdujemy tam wiele utworów ideologicznych. Jedną z najbardziej ideologicznych jest płyta nagrana po polsku, jidysz i hebrajskim”. Czysta zgroza, bo te utwory mają charakter ekumeniczny, bo, jak podsumowuje Krajski: „Żydzi i goje będą razem budować lepszy świat”. Natomiast w piosence „Betlehem” nie ma, o dziwo, mowy o Chrystusie, tylko o Ruth, która mówi: „Twój lud to mój lud, a twój Bóg

to mój Bóg. Różnie można to interpretować, ale można także w czarny sposób”. Przyznam, że nie znam takiej metodologii, ale może to i lepiej.

Piętnastominutowy odcinek powoli dobiega końca, czas więc na podsumowanie: „Młodzi ludzie w Europie niewiele wiedzą o Polsce, bo poziom wiedzy i poziom szkolnictwa wciąż spada. Na festiwalu Eurowizja występuje Polka, znana piosenkarka z dużym stażem, no i prezentuje pewne przesłanie. Przesłanie to będzie kojarzone z Polską. Polska nie będzie kojarzona jako katolicki kraj, królestwo Matki Bożej, ale będzie kojarzona [...] z wyznawcami Gai, wyznawcami panteizmu, którzy sami uważają się za Boga”, którzy są „konsekwentni w tym neopogaństwie przechodzącym w satanizm”. I co? I nic. Znowu, jak po „Dziewczynie szamana”, „wszystko jest w porządku, nic się nie stało, nikt nie reaguje”. Nikt oprócz odważnego doktora Krajskiego.

Ma szczęście Justyna Steczkowska, że Stanisław Krajski nie wie, że powtarzane przez nią w tej piosence słowa „zargo”, „raga”, „urra”, „gara”, „jarga”, „jarun”, „era”, „czarodoro” to tak zwane agmy, czyli rytmiczne formuły, swoiste mantry wywodzące się z dawnych wierzeń słowiańskich, a więc – o zgrozo – pogańskich. Interesujące jest tu zwłaszcza „czarodoro”, które symbolizuje nie tylko duchową moc, ale i jasność widzenia oraz siłę pokonywania własnych ograniczeń. Abstrahując od jakości literackiej utworu „Gaja” stwierdzić należy, że właśnie tej siły niebiańskie moce doktorowi Krajskiemu okrutnie poskąpiły. ●

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Kraj/3437770

POSTAW NA #CZYSTYPRZEKAZ

NIEPEWNA
INFORMACJA?

ZOBACZ, JAK WALCZYĆ Z DEZINFORMACJĄ
WWW.CZYSTYPRZEKAZ.PL

NIE PODAWAJ
JEJ DALEJ

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY, UCZESTNIKA KAMPAII SPOŁECZNEJ CZYSTY PRZEKAZ

ORGANIZATOR

FUNDACJA

PARTNERZY KAMPAII

10

Fundacja

Demagog

Patronat

NASK

Centrum Badań nad UprzeCzlenianiem

Uniwersytet Civitas

JUŻ NIE MARZĘ O AMERYCE

Upał, ludzie bez zębów oraz ludzie bez dachu nad głową będą mi towarzyszyć przez całe ponad 6 tysięcy kilometrów podróży po USA.

Kamil Fejfer

A merykańska ambasada ostrzega Polaków, abyśmy nie myśleli o nielegalnej migracji do USA. Tylko że trafia kulą w plot, bo nie ma żadnej potrzeby, aby jakiś Polak próbował się dostać za chlebem za ocean.

A to dlatego, że dziś to Polska jest lepszym miejscem do życia. W Stanach czekają niższe pensje, gorsza opieka zdrowotna i całkiem realna bezdomność. Jeśli chodzi o jakość życia, nie mamy się czego wstydzić wobec największego imperium świata.

Na Florydzie wyładowaliśmy późnym popołudniem. Mimo zmęczenia długim lotem i jet lagu, jeszcze przed zameldowaniem się w hostelu ruszyliśmy – przecież jesteśmy w Miami! – na jedną z tamtejszych plaż. Uderzyły nas dwie rzeczy.

Pierwsza – po wizycie na Florydzie zupełnie inaczej rozumiem się słowo „gorąco”. W dalszej podróży było tylko gorzej – mimo klimatyzacji ustawionej na maksa w nissanie z rent-a-car. A kiedy wysiadaliśmy, uderzenia gorąca były... no właśnie uderzeniami, dosłownie. Podobną temperaturę w Polsce czułem tylko w rozgrzanej lipcowym słońcem, zamkniętej szklarni, w której ojciec hodował pomidory. Oraz w saunie.

Druga – to liczba bezdomnych i osób pod wpływem narkotyków. Wikipedia twierdzi, że Miami to 20. najbogatsze miasto świata. Według portalu telewizji CNBC to 9. pod względem zamożności metropolia w Stanach – imperium słabnące i miotające się, wciąż jednak zaliczane do najbogatszych krajów globu.

Te dwie rzeczy – upał oraz nieustanne towarzystwo ludzi bez dachu nad głową – będą nam towarzyszyć podczas całego road tripu po południowych stanach USA – przez 6 tysięcy kilometrów.

„Jeżeli rozważasz nielegalną migrację do Ameryki, nawet o tym nie myśl” – to zdanie rozgrzało polskie gazety, portale i socjale, od TikToka po Instagrama. Skąd to wzmożenie? Taki post 8 kwietnia zamieściła na swoim Facebooku... amerykańska ambasada.

Mniejsza o PR-owy fuckup, arogancję podszytą komizmem – oto pierwsze mocarstwo globu macha paluszkami i dyscyplinuje mieszkańców średniej wielkości względnie zamożnego europejskiego kraju. W polityce wewnętrznej USA taki komunikat – przypominający intencję i rozumowaniem komunikaty rządu Zjednoczonej Prawicy żądającej reparacji od Niemiec – byłby zrozumiały. Ale pracownikom US Embassy chyba umknęło, że piszą ten post po polsku i do Polaków.

Lecz ciekawszy jest drugi, choć na pierwszy rzut oka mniej oczywisty problem, kryjący się za tym ostrzeżeniem.

Utrwalony przez dekady stereotyp Ameryki to mlekiem i miodem płynąca ziemia obiecana, w której dobra praca czeka zaraz za drzwiami terminalu lotniska, kraina wielkich komfortowych samochodów na trawnikach przed domkami na przedmieściu, na które stać nawet prostego robotnika, oraz pólek uginających się od dwa razy tańszych niż w Europie wszelkich dóbr i gadżetów.

Tyle, że już od lat mało kogo te filmowe obrazy inspirują do szukania lepszego życia za Wielką Wodą.

Liczna nielegalna migracja do USA z Polski rzeczywiście miała miejsce – nie przypadkiem symbolem amerykańskiej Polonii stali się górale ciągnący na nowojorskie czy chicagowskie budowy i skądś się wzięła przywołana przez Kazika Staszewskiego w ironicznej piosence „Natalia w Brooklinie”.

Ale to już echa przeszłości. Kiedy 20 lat temu Europa otworzyła rynki pracy dla Polaków, Ameryka straciła na atrakcyjności. A więc post wymyślony przez jakiegoś nadgorliwego Official odnosi się do problemu marginalnego albo w ogóle nieistniejącego.

A przede wszystkim Polacy naprawdę nie potrzebują nielegalnie jechać do USA. Choć jesteśmy krajem mniej zamożnym, to jednocześnie lepszym miejscem do życia. Również, a wręcz zwłaszcza dla osób biedniejszych.

Zacznijmy malowanie tego obrazu od jednego z podstawowych wskaźników ekonomicznych, czyli PKB.

Rzeczywiście, z produktem krajowym brutto 82,7 tys. dol. per capita, czyli na głowę mieszkańca – dane Banku Światowego za rok 2023 – USA są jednym z najbogatszych krajów świata.

Polski PKB w 2023 roku wynosił zaledwie 22 tys. dol. na głowę.

Należy jednak pamiętać, że inną kwotę w przeliczeniu na dolary zapłacimy w Polsce i w USA za fryzjera, inną cenę ma kawa w Warszawie i w Waszyngtonie, inny rachunek dostaniemy za śniadanie w Białymostku i w Tulsie.

Ekonomiści zdają sobie z tego sprawę i robią korektę o siłę nabywczą pieniądza.

82,7

• TYSIĄCA DOLARÓW NA GŁOWĘ
wynosiło PKB w USA w 2023 roku.
W Polsce – 22 tysięcy

Polskie PKB z poprawką o te różnice wynosi 46,5 tys. dol. międzynarodowych.

A co to za zwierzę? To sztuczna waluta, której zadaniem jest wyrównywanie różnic w cenach względem USA jako benchmarku; stosunek dolara międzynarodowego do dolara amerykańskiego to 1:1, ale przelicznik na złotówki jest inny, bo kurs jest inny. W chwili publikacji tego tekstu normalny dolar to 3,8 zł, a międzynarodowy to ok. 2 zł.

Ale i z tą poprawką amerykańskie PKB per capita jest niemal o połowę wyższe. Jak jednak wskazują ekonomiści i socjologowie, PKB nie jest miarą doskonałą. Owszem, koreluje z wieloma miarami dobrobytu, ale nie jest z nimi tożsamy.

W krajach o wysokim PKB jest zazwyczaj znacznie mniej osób biednych czy bezdomnych, ludzie są zdrowsi i jest lepszy dostęp do wielu usług publicznych niż w państwach o niskim PKB. Z drugiej strony wiele zależy od konkretnego państwa, a precyzyjniej – od tego, jak dzielone są owoce ekonomicznego wzrostu.

No i, jak zauważają złośliwie krytycy tego najpopularniejszego wskaźnika, kiedy tonie tankowiec i następuje katastrofalny wyciek ropy, PKB rośnie. Bo trzeba nie tylko zwodować nowy tankowiec, ale jeszcze uratować zwierzęta i wszystko posprzątać. Zatrudniając mnóstwo ludzi, którzy spalą mnóstwo paliwa (zysk producentów, rafinerii, stacji paliw, kierowców cystern i tak dalej) i zużyją mnóstwo sprzętu i zasobów (zysk producentów i pracowników wytwarzających te dobra, dostawców cateringu i tak dalej).

Więcej o jakości życia w danym kraju mówią wskaźniki, które biorą pod uwagę nie tylko czynniki stricte ekonomiczne. Najbardziej kompleksową i wiarygodną miarą jest tworzony przez OECD – Organizację Współpracy Gospodarczej i Rozwoju – wskaźnik Better Life Index (BLI).

Zawiera 11 podkategorii – nie tylko twardych, jak mieszkalnictwo, dochód, praca, w tym zarobki, bezrobocie, ale też miękkich w rodzaju edukacji, jakości środowiska naturalnego, kondycji zdrowotnej społeczeństwa czy satysfakcji z życia.

Jak tu wypadają Stany Zjednoczone? Są na 8. miejscu wśród 38 rozwiniętych państw zrzeszonych przez OECD. Wyprzedzają je m.in. mniej zamożne Holandia, Finlandia i Szwecja. PKB per capita dwóch ostatnich nie przekracza 70 tys. dolarów. Polska w ostatnim rankingu zajęła 25. miejsce.

Jest jeszcze jedna miara, o której warto wspomnieć. To tworzony przez ONZ – Human Development Index (HDI), wskaźnik rozwoju społecznego.

Składają się nań: dochód narodowy, oczekiwana długość życia oraz oczekiwana i średnia liczba lat edukacji.

Tu Ameryka też nas wyprzedza. Ale nie tak drastycznie jak w przypadku wskaźnika BLI. W najnowszym zestawieniu USA są na 20. miejscu listy, a Polska na 36.



Amerykę wyprzedziły – biedniejsze! – Kanada, Belgia, Szwecja, Finlandia, Holandia, Niemcy, Dania.

Nas z kolei wyprzedzają, ale doganiając Amerykanów, Czesi (o dwa miejsc), Włosi (o sześć miejsc) czy Francja (o osiem miejsc).

A więc patrząc z lotu ptaka czy drona, wszystko się zgadza – Stany Zjednoczone są krajem bardziej rozwiniętym niż Polska; choć nie wyprzedzają nas aż tak bardzo, jak moglibyśmy się spodziewać.

A obraz staje się jeszcze bardziej znuansowany, gdy schodzimy po drabinie obserwacji coraz niżej i przyglądamy się z jednej strony, jak żyje się osobom niezamożnym, a z drugiej – obserwujemy codzienne doświadczenie Amerykanów, którzy nie mieszkają w zamożnych osiedlach i miejscowościach.

Bogate dzielnice Miami są dokładnie takie jak w filmach – drogie jachty, ekskluzywne samochody, szklane wieżowce, topowe restauracje, piękne kobiety i przystojni mężczyźni w drogich ciuchach. Ale wystarczy wyjechać kawałek poza te rejony metropolii, żeby znaleźć się w miejscach, które są zupełnie innym miastem. Ma się nawet wrażenie, że to inny kraj.

To również będzie nam towarzyszyć przez całą podróż – zderzenie zamożności i blichtru z biedą i wykluczeniem.

Parę kilometrów od marin, deptaków i willi jak z „Miami Vice” trafiamy na trailer parki, czyli osiedla przyczep mieszkalnych służących za całoroczne domy, zdezelowane samochody niszczące w zagraconych ogródkach rozpadających się biedabungalowów ze sklejk.

I na wszechobecnych ludzi-cieni, trudno stwierdzić, czy bardziej zniszczonych przez narkotyki, czy przez biedę.



76

• BEZDOMNYCH ŻYJĄCYCH NA ULICY
przypada na 100 tysięcy Amerykanów.
W Polsce na 100 tysięcy – 7 bezdomnych.
To 10 razy mniej.

wiażywały w USA w latach 60. i 70., było w istocie zmniejszenie opłacalności wypłacania menedżmentowi bająnskich pensji. Dzisiaj elita może odskakiwać klasie średniej i biednym.

Po drugie, w budżecie jest po prostu mniej środków, które może przeznaczać na usługi publiczne: szkoły, szpitale, drogi czy transport publiczny.

To powoduje, że czysto funkcjonalne, codzienne przeszkody, które na dłuższą metę przekładają się na koszty życia czy możliwości rozwoju, są dużo wyższe dla tych, którzy mieli mniej szczęścia w życiu. Pomijając już słynne horrendalne koszty leczenia, weźmy paliwo – nawet tak tanie jak w USA bardziej ciąży budżetowi samotnej matki czy czarnego młodego mężczyzny, gdy wszędzie, czy to do pracy, czy do szkoły, muszą dojechać samochodem, niż w budżecie zamożnego przedstawiciela klasy średniej wyższej.

Wszystko to jest istotne z perspektywy nielegalnej migracji, o której w poście pisała ambasada. Bo przecież decydują się na nią ludzie biedni. To ich kuszą ekonomiczne wygody państw bogatych.

Wielu z nas ma w rodzinie historię nielegalnej migracji do USA. Ja też. Tylko że to były w czasach kryzysowego schyłku PRL i w latach 90., kiedy różnica w sile nabywczej dolara i złotówki była oszałamiająca.

Pamiętam opowieści wujka, który jako dwudziestokilkulatek poleciał do Stanów pracować przy renowacji dachów i „na azbestach”. Jego wypłata za kilkanaście dni pracy była równa rocznej polskiej pensji. Mogę się tylko domyślać, jak to działało na wyobraźnię młodego chłopaka. Pamiętam zdjęcia wujka przy niedroгим, ale sportowym datsunie 280z, którego kupił po kilku miesiącach pracy na dachach. Czasem wyobrażam sobie jego i ciocię (w końcu i ona poleciała do USA jako cleaning lady) mknących w tym budżetowym roadsterze w stronę zachodzącego słońca przy dźwiękach Bruce’a Springsteena (wujek przywiózł ze Stanów płytę „Born in the USA”).

W tamtym czasie średnia płaca w Polsce wynosiła ułamek obecnej. Dzisiaj z Polski za pracę do USA nie opłaca się migrować. Zwłaszcza nielegalnie. Również tym niezamożnym. Dlaczego?

Popatrzmy na szerszy obraz życia ludzi ubogich w tym zamożnym kraju.

Federalna płaca minimalna wynosi obecnie w USA 7,25 dolara na godzinę.

Polska najniższa godzinówka to 30,5 zł. Samo przeliczenie po obecnym kursie niewiele nam powie. Musimy wziąć pod uwagę różnice w silne nabywczej i przeliczyć to na dolary międzynarodowe.

Po takim przeskalowaniu polska godzinówka to blisko 16 dolarów międzynarodowych. Jest ponad dwa razy wyższa niż federalna minimalna w największym mocarstwie świata.

Z jednej strony monumentalne, na swój sposób piękne olbrzymie mosty, wielopoziomowe wiadukty i estakady. **Z drugiej** totalnie zagracone pobocza. Poza szczątkami opon na pasach awaryjnych zalegają porzucone samochody, rozbite telewizory, lodówki, materace

Wszystko to, co obserwuję z okna wypożyczonego nissana, jest wynikiem gigantycznych różnic społecznych. USA są jednym z najbardziej rozwarstwionych krajów rozwiniętych na świecie.

Powszechnie używaną miarą nierówności jest współczynnik Giniego. Przyjmuje wartość od 0 do 1. Zero oznacza, że wszyscy mają równy dochód, a jedynka, że jedna osoba zgarnia wszystko, a reszta społeczeństwa nie zarabia nic.

Oczywiście żadne społeczeństwo nie uzyskuje krańcowych wartości; według danych Banku Światowego kraje osiągają od 0,24 (Słowacja, Słowenia, Białoruś) do 0,63 (Republika Południowej Afryki). Indeks Giniego dla USA jest zaczepony na poziomie 0,43, dla Polski na 0,28.

Trzeba jednak odnotować, że z „dochodowym Ginim” są pewne problemy metodologiczne. Otóż sposoby rachowania tej miary nieco się różnią. W niektórych państwach rozwarstwienie jest badane ankietowo – a przed ankietarami zazwyczaj umykają najzamożniejsi i najbiedniejsi – w innych przegląda

się dane z urzędów skarbowych, te jednak nie obejmują pieniędzy wypłacanych pod stolem.

Niemal na pewno nierówności dochodowe w Polsce są wyższe, niż przedstawiają je oficjalne zestawienia dużych organizacji międzynarodowych – i niemal na pewno nie są tak duże jak w USA.

Różnice w rozwarstwieniu społecznym – nie tylko dochodowym, również te w dostępie do usług i infrastruktury – oznaczają, że w krajach o zbliżonym PKB na głowę może być różny odsetek osób ubogich.

Dlatego Stany Zjednoczone w zestawieniach jakości życia wg HDI czy BLI wypadają gorzej niż biedniejsze od nich kraje Europy Zachodniej.

A dlaczego tak się dzieje? W największym skrócie – opodatkowanie bogaczy w Nowym Świecie jest niższe niż w Starym. To wiąże się z dwoma kwestiami.

Po pierwsze, firmom opłaca się wypłacać ogromne gaże niewielkiej elicie.

Ekonomiczni nobliści Arbjit Banerjee i Esther Dufo w książce „Good economics” stwierdzili, że funkcją bardzo wysokich podatków dochodowych, które obo-

▲ Los Angeles, Kalifornia (12.05. 2025). Obozowisko bezdomnych na Garland Ave, w centrum miasta. Wbrew zakazowi władz wciąż pojawiają się nowe takie miasteczka na chodnikach, ścieżkach rowerowych, w parkach i innych terenach użyteczności publicznej

10

• PROCENT AMERYKANÓW
to ludzie ubodzy (dane OECD).
Polaków – 9 procent

To weźmy jeszcze miesięczną płacę minimalną w Polsce.

Obecnie to 4666 zł brutto. Jeżeli podzielimy ją na średnią liczbę godzin pracowanych w miesiącu, to wyjdzie nam około 28 zł – czyli 14,4 dolara międzynarodowego na godzinę. Wciąż dwa razy więcej niż w Ameryce!

Poza federalną najniższą płacą swoje regulacje mają poszczególne stany. Ale wyższa od polskiej minimalna jest tylko w 15 spośród 50 stanów. A wyraźnie wyższa w zaledwie sześciu.

To z kolei pokłosie niechęci amerykańskich legislatorów – „socjalizm!” – oraz nacisków tamtejszego biznesu do regulacji rynku pracy. Tania siła robocza to coś, na czym opiera się część gospodarki USA. Znow te dystanse – z jednej strony balansujący na granicy ubóstwa pracownicy usług, z drugiej bajorńskie sumy w branży technologicznej w Palo Alto.

Spójrzmy więc na kolejny wyrazisty wskaźnik – skalę ubóstwa.

Według OECD odsetek ubogich Amerykanów wynosi 18 procent, Polaków 9 procent. Ale czy to nie jest jakiś statystyczny, jak powiedzieliby Amerykanie, glitch – usterka?

OECD uważa za ubogie te osoby, w których gospodarstwach domowych dochód na głowę nie przekracza 50 proc. mediany dochodu dla wszystkich gospodarstw domowych w danym państwie.

Przypomnijmy, że mediana jest wartością dzielącą dany zbiór na połowy. Medianowy dochód jest kwotą, powyżej której połowa gospodarstw zarabia więcej, a połowa mniej. Tak liczony odsetek osób biednych pośrednio odwzorowuje nierówności dochodowe. W krajach o dużych nierównościach biednych będzie po prostu więcej.

Oczywiście przy tak mierzonej biedzie wielu niezamożnych w USA może być bogatszych niż biedni w Polsce! Ale biedę zawsze szacuje się lokalnie. Porównywanie biednych w Polsce i w Afganistanie nie miałoby większego sensu. Dlatego miary ubóstwa są zazwyczaj relacyjne.

Taki jest, opracowany przez UNDP (United Nations Development Programme, Program Narodów Zjednoczonych ds. Rozwoju) wskaźnik Multidimensional Poverty Index – MPI, wielowymiarowy wskaźnik ubóstwa – który określa je w kilku wymiarach: zdrowia, edukacji czy dostępu do podstawowych usług.

Ubogie gospodarstwa domowe według MPI to takie, których mieszkańców dotyka deprywacja w wielu z tych obszarów.

I tu znowu wygrywamy z USA. Ubóstwo w Polsce mierzone MPI wynosi 12 procent, w Stanach 18 procent.

Skrajnym i symbolicznym zarazem przejawem biedy w USA są bezdomni. Widok dla nas Polaków – czy szerzej: Europejczyków – niemal obcy, za oceanem wydaje się całkiem normalny.

W Austin na skrzyżowaniach przed szklanymi wieżowcami ludzie ubrani w drogie garnitury mijają ludzi śpiących na karimatach pod gołym niebem. W dzielnicy Fairfax w Los Angeles na chodniku po drugiej stronie ulicy naprzeciwko całkiem niezłego hostelu, w któ-

Po wizycie w USA nawet zakochany w Ameryce człowiek zaczyna rozumieć, że naprawdę więcej łączy Polskę z Ukrainą czy Niemcami niż ze Stanami Zjednoczonymi

7,95 1,20

• DOLARÓW ZA GODZINĘ
wynosi federalna płaca minimalna w USA.
Polska najniższa godzinówka to 30,5 zł,
czyli 7,98 USD

rym się zatrzymaliśmy, rozbito kilkanaście namiotów. Po chodnikach snuli się wyniszczeni ludzie pchający swój dobytek w sklepowych wózkach.

Jak zaznaczają w artykule o kryzysie bezdomności Bastian Herre i Pablo Arriaga, researcherzy z platformy OurWorldInData.com, nie jest łatwo porównywać skalę tego problemu między krajami.

Powody – różnice w metodologii gromadzenia danych (część państw liczy bezdomnych w określonym dniu roku, część monitoruje sytuację częściej) oraz fakt, że ma wiele odmian, których proporcje różnią się między państwami.

Część osób dotkniętych tym kryzysem mieszka w przystosowanych samochodach lub w kamperach, czasem osuwając się w głębszy kryzys, a czasem z trudem, lecz wiążąc koniec z końcem (ten problem znamy z książki reporterskiej Jessica Bruder „Nomadland” oraz z oscarowego filmu, który powstał na jej podstawie). Część trafia do specjalnych ośrodków, a część po prostu ląduje na ulicy. Ten ostatni stan jest najbardziej dojmujący, a jednocześnie zazwyczaj najlepiej zmapowany.

Według danych OurWorldInData.com w Polsce na każde 100 tysięcy mieszkańców przypada 7 bezdomnych żyjących na ulicy. W USA, kraju o 80 proc. bogatszym, jest ich 76 na 100 tysięcy. Ponad 10 razy więcej.

Na ten dramatyczny wynik składa się bardzo wiele czynników.

Niska płaca minimalna. W niektórych miastach legalne płace mogą być tak niskie, a koszty życia tak wysokie, że ludzie nie są w stanie opłacić stałego dachu nad głową.

Wysokie nierówności dochodowe i majątkowe. Domy i mieszkania w USA

kupują ludzie względnie zamożni, co podbija ceny, z czasem aż do poziomów poza zasięgiem biedniejszej części społeczeństwa. Taki proces, choć na zdecydowanie mniejszą skalę, obserwujemy w największych miastach w Polsce.

Migranci. Skuszeni wizją american dream lub po prostu zdesperowani przybywają do USA, nie zdając sobie sprawy, jak wyglądają realia systemu społeczno-gospodarczego. Nie mają koneksji, odpowiedniego wykształcenia, doświadczenia zawodowego, czasem nie znają języka, a nawet jeśli tym wszystkim dysponują, to często są dyskryminowani lub wykorzystywani na rynku pracy. Nie umiejąc się odnaleźć w realiach drapieżnego amerykańskiego kapitalizmu w końcu lądują na ulicy.

Kryzys uzależnień. Toczy USA od wielu lat. Wywołało go rozszczelnienie rynku silnych opioidowych leków przeciwbólowych, co wielu Amerykanom uchyliło furtkę do cięższych narkotyków. Według danych OurWorldInData.com w 1999 r. na 100 tys. Amerykanów 6 osób zmarło z powodu przedawkowania opioidów. W 2020 już ponad 20.

Dla porównania – w naszym kraju to około 0,7 osoby na 100 tysięcy ludzi.

W USA jakiś problem z uzależnieniem od narkotyków ma prawie 4 proc. populacji. W Polsce – niecały procent.

Jak ten styk uzależnień i bezdomności wygląda, wycinkowo obserwowaliśmy w jednym z najbogatszych miast na świecie, w San Francisco, w dzielnicy Tenderloin, gdzie się zatrzymaliśmy.

Pod znanymi z filmów fasadami kilkupiętrowych kamienic z ikonicznymi metalowymi schodami przeciwpożarowymi na długości całych przecznic pokotem leżały setki ludzi. Wielu paliło crack. Inni ledwo trzymali się na nogach pogrążeni w narkotykowej ekstazie. To nie były obrzeża miasta, to niemalże serce San Francisco. Kiedy się obserwuje tę upiorną scenę, trudno nie przyznać racji bon motowi, że Stany Zjednoczone są najbogatszym państwem trzeciego świata.

I tak żwawym krokiem zmierzamy do jeszcze jednego, dość specyficznego dla USA problemu.

Chodzi o przestępczość. A precyzyjniej: o wskaźnik zabójstw.

Za oceanem to 7 osób na 100 tys. mieszkańców (dane za 2021 rok).

W Polsce – nawiasem mówiąc jednym z najbezpieczniejszych krajów świata – to 1 osoba na 100 tysięcy mieszkańców.

W tej rubryce statystyki USA kilkakrotnie przebijają wszystkie rozwinięte kraje Europy.

Kiedy podróżuje się przez Stany, poza przytłaczającą liczbą bezdomnych i ewidentnie uzależnionych, w oczy rzuca się... stan użebienia. Szokująco wielu ludzi, którzy obsługiwały nas w Wall Martach, niewielkich marketach 7-Eleven i w niedrogich restauracjach Waffle House, miało problemy z zębami.

I nie jest to tylko anegdotyczna wycinkowa obserwacja. Obiegową prawdę o bezzębnych Amerykanach i dentystach milionerach potwierdzają Nicholas Ksirtof i Cheryl WuDunn. W książce pod wie-

le mówiącym tytułem „Biedni w bogatym kraju” opisują historie młodych Amerykanów, dla których utrata zębów jest wyznacznikiem wejścia w dorosłość. W ich otoczeniu – niezamożnym i wykluczonym – niemal wszyscy dorośli mają widoczne ubytki.

To pochodna szerszego zjawiska, jakim jest **problem z powszechną dostępnością ubezpieczeń zdrowotnych**.

Według OECD w USA ok. 8 proc. osób w ogóle jest nieubezpieczonych.

W Polsce – 3 proc.

U nas niemal wszystkich, niezależnie od coraz liczniej ubezpieczonych prywatnie, ubezpiecza państwo.

W Stanach system publiczny obejmuje tylko 30 procent mieszkańców. Resztę w różnym zakresie ubezpieczają prywatne podmioty. Skutek funkcjonowania takiego systemu: co roku ok. 2/3 wszystkich z kilkuset tysięcy upadłości konsumentów dotyczy osób, którym posypało się zdrowie w obszarach nieobjętych polisą.

Jedną z rzeczy, które od razu dostrzega przeciętny Europejczyk, jest osobliwość amerykańskiej infrastruktury drogowej.

Z jednej strony monumentalne, naprawdę onieśmielające i na swój sposób piękne megaprojekty, olbrzymie mosty, wielopoziomowe wiadukty i estakady.

Z drugiej, zwłaszcza w południowych stanach, czymś zupełnie normalnym są totalnie zagracone pobocza autostrad. Poza szczątkami opon na pasach awaryjnych leżą porzucone samochody, rozbite telewizory, lodówki, materace i drabiny.

A w miastach poza centrami nie ma chodników. Kiedy próbowaliśmy przejechać się z buta po niewielkich miejscowościach Florydy, Teksasu czy Newady, wyglądaliśmy na dziwaków – być może na turystów z Europy.

Ten zupełnie niezrozumiały dla Europejczyka infrastrukturalny brak ma swój udział (obok takich czynników jak ceny jakościowych pokarmów, dostępność najtańszej przetworzonej żywności itd.) w epidemii otyłości.

Na otyłość cierpi ok. 42 proc. dorosłych Amerykanów – i niecałe 30 proc. Polaków. Kolejny stereotyp, który okazuje się prawdą – i znacząco wpływa na dobrobyt oraz jakość życia.

Po wizycie za Wielką Wodą nawet zakochany w Ameryce człowiek zaczyna rozumieć, że naprawdę więcej łączy Polskę z Ukrainą czy Czechami i wszystkie kraje naszego regionu z Niemcami czy Belgami niż ze Stanami Zjednoczonymi.

To kraj naprawdę wygodny do życia – o ile jest się przynajmniej klasą średnią. Osoby, które miały pecha urodzić się w biednej rodzinie, w kiepskim sąsiedztwie, albo którym powinno się noga – mają naprawdę pod górkę. Żyje im się zaaważalnie gorzej niż Polakom, którzy nie mieli wiele szczęścia w życiu. Pod względem równości szans i troski o słabszych członków społeczeństwa ponad trzech dekadach transformacji ustrojowo-gospodarczej zdecydowanie wyprzedziliśmy jeden z najzamożniejszych krajów świata.

Pytanie, czy to tak dobrze świadczy o nas, czy raczej bardzo źle o Stanach Zjednoczonych. ●

Kto kupuje dom za 50 milionów

„Zawód idealny dla kobiet z dziećmi”.
Spotkałam pośredniczki najdroższych nieruchomości w Polsce

Szampa bez bikini



To teraz najlepsza praca na świecie

3,5 mld zł

• to wartość rynku luksusowych nieruchomości w Polsce

2-3 procent

• prowizji od sprzedaży dostaje pośrednik nieruchomości

1,2 mln zł

• kosztowała metamorfoza – rozjaśnienie wnętrz bez remontu, z pomocą lamp, mebli i dodatków – apartamentu dla córki zagranicznego inwestora

1 miejsce

• zajmują nieruchomości na liście sposobów lokowania kapitału przez najbogatszych do 43 roku życia. Drugie – kryptowaluty

Prawie 70 proc.

• agentów nieruchomości w Stanach Zjednoczonych to kobiety

• Na zdjęciu: Maria Góralczyk, Alicja Chmura i Paula Perz z agencji luksusowych nieruchomości The Leader's Premium Real Estate

Katarzyna Staszak

Apartament przy ulicy Noakowskiego w Warszawie wydawał się idealny. Centrum miasta, 250 m kw i cztery tarasy z wyjściem na dach, czyli dodatkowe 300 m przypisane do nieruchomości. Przedwojenna kamienica, ale wypruta, wypełniona nowymi instalacjami. Cała renowacja pod okiem konserwatora zabytków.

Można chcieć czegoś więcej? Tak. Klient zapytał o basen: czy da się go wybudować na dachu? Żeby ta wizja była możliwa, trzeba było wzmocnić stropy.

Prostsze było postawienie domku dla gości na tarasie kamienicy dwie ulice dalej. Apartament ma prawie 300 m kw., domek gościnny – 50.

Takich spektakularnych nieruchomości jest w Warszawie, Krakowie i Trójmieście coraz więcej. W Gdańsku sprzedano jedno z najdroższych mieszkań w Polsce – 435 m kw – kosztowało 24,8 mln zł. W kategorii domów rekord padł w ub. r. w Warszawie. Za rezydencję blisko Śródmieścia, która ma 5 kondygnacji, 10 sypialni, 10 łazienek i garaż podziemny na 8 aut. Nabywca zapłacił 50 mln złotych.

Najdroższą nieruchomość mieszkaniową w Polsce sprzedały gwiazdy tej branży – pośredniczki z agencji The Leader's.

Przy dużych transakcjach prowizję dla pośredników ustala się indywidualnie. W Polsce się przyjęło, że za pomoc w sprzedaży właściciel płaci agencji 2-3 procent prowizji od finalnej ceny. Kupujący również płaci, jeśli sam zlecił pośrednikom poszukiwanie domu. Najlepsze agentki i agenci z sektora premium mogą więc w ciągu roku zarobić ogromne pieniądze. To zwróciło uwagę twórców seriali.

Lekarze i policjanci też mają ciekawą pracę, ale seriale o nich oglądamy od dekad. I oni raczej nie piją szampana na dyżurze. W jakim innym zawodzie spotkacie byłe modelki, aktorki, prawniczki i architektki? W dodatku z kluczami do domów, w których mieszkali Salma Hayek, John Lennon czy sławni miliarderzy? Do takich wnętrz możemy zajrzeć dzięki serialom dokumentalnym Netfliksa. Jednak wnętrza to tylko tło, gwiazdami są agentki i agenci rynku premium z: Nowego Jorku, Londynu, Paryża, Los Angeles czy Beverly Hills.

Serial o polskich gwiazdach branży nieruchomości – „Agentki” – wyprodukował Canal Plus. Swoją pracę pokazują w nim: Paula Perz, Alicja Chmura i Maria Góralczyk, czyli założycielki The Leader's. Nieruchomościami premium zajmują się od kilkunastu lat.

– Początkowo naszymi głównymi klientami byli ekspaci, którzy przyjechali do Polski rozwijać własne interesy lub kierować oddziałami wielkich korporacji. Oczeki-

wali, że zamieszkają w nieruchomościach w standardzie przypominającym ich własne domy albo wynajmowane mieszkania w metropoliach, w których pracowali. Takich nieruchomości było niewiele. Popyt wielokrotnie przewyższał podaż – wspomina Paula Perz.

W agencji, która ją zatrudniała, osiągnęła wszystkie szczeble awansu. Była liderką sprzedaży tak jak jej dwie przyjaciółki. Stąd nazwa firmy, którą postanowiły założyć. Agencję The Leader's tworzy 26 osób.

Dlaczego to same kobiety? – Po prostu kobiety są w tej branży lepsze. Łatwiej nawiązują relacje – odpowiada Alicja Chmura. Z danych zebranych przez portal Otodom wynika, że w Polsce ponad połowa pośredników to pośredniczki. W segmencie premium ta przewaga jest wyraźniejsza. W USA pośredniczki stanowią prawie 70 proc. osób obsługujących transakcje na rynku nieruchomości.

Alicja Chmura szkoląc nową agentkę, mówi, że zdobycie informacji o potrzebach klientów jest ważniejsze niż oprowadzenie po nieruchomości. – Klientka wspomniała, że ma dziecko? Zapytaj, w jakim wieku, do jakiej chodzi szkoły – podpowiada.

A Paula Perz dodaje: – Ludzie lubią mówić o sobie. Wszyscy lubimy, gdy ktoś z zainteresowaniem słucha, co mamy do powiedzenia.

Jak tę lekcję wykorzystać, gdy sami sprzedajemy mieszkanie (także zupełnie

nieluksusowe)? Jeśli kupujący to rodzic, możemy podkreślić, że okolica jest lubiana przez rodziny, więc dziecku łatwo będzie znaleźć przyjaciół. Blisko są park i plac zabaw, dobra szkoła i kluby sportowe. Jeśli ktoś poczuje się komfortowo w naszym towarzystwie, będzie dobrze wspominać wnętrze, które z nami oglądał. Nawet jeśli uzna, że jest do całkowitego remontu.

• Za sprzedaż rekordowo drogiej willi w Warszawie też stoją relacje, a nie przypadek. – Inwestor zgłosił się do nas, był zainteresowany kupnem rezydencji o konkretnym profilu. Kiedy na rynku pojawił się dom spełniający jego wymagania, błyskawicznie poinformowałyśmy naszego klienta o tej okazji – mówi Alicja Chmura. Wygrywa ten, kto pierwszy dowie się o luksusowych nieruchomościach wystawionych na sprzedaż i przyprowadzi odpowiedniego kupca. Tu znowu znaczenie ma to, kogo znasz, bo najlepszych ofert nie pokazuje się w internecie. Trzeba się o nich dowiedzieć.

Wartość rynku luksusowych nieruchomości w Polsce w zeszłym roku szacowana była na 3,5 miliarda złotych. Wycena stale rośnie. Są inwestorzy gotowi tworzyć wyjątkowe nieruchomości i przybywa zamożnych klientów. – Luksusowe nieruchomości są odporne na zawirowania rynku – mówi Paula Perz. Zauważa, że nawet zwykli deweloperzy, którzy kojarzyli się z typowymi mieszkaniami, coraz odważniej wchodzą w droższe projekty.

Bo to się opłaca. Gdy deweloper ogłasza budowę nowego apartamentowca, mieszkania najdroższe, z najwyższych pięter, z tarasami sprzedają się od razu. Choć czasem deweloper blokuje sprzedaż apartamentów na górnych piętrach, bo po skończeniu inwestycji sprzeda je drożej. Gdy budynek jest gotowy, wartość apartamentów rośnie o 20 proc., łatwiej też sprzedać gotowe mieszkanie niż wizualizację.

O najlepszych ofertach z wtórnego rynku wiedzą tylko wybrani agenci nieruchomości i pokazują je tylko wybranym klientom. O takich domach i apartamentach mówi się, że są off market – spoza rynku. To podnosi ich atrakcyjność w oczach nabywców. – Zamożni klienci chcą mieć poczucie, że kupili coś wyjątkowego. Chodzi też o dyskrecję, anonimowość i prywatność. Ludzie nie chcą apartamentu, który od dwóch lat wiisi na portalach za niebotyczną cenę i którą każdy Kowalski i Nowak już sobie obejrzał. Coś wyjątkowego ma też większy potencjał inwestycyjny – tłumaczy Paula Perz.

Liczba transakcji off market wyróżnia polską branżę – wynika z raportu o rynku dóbr luksusowych, który opublikowała firma doradcza KPMG. „Jest to strategia skoncentrowana na wyselekcjonowanej grupie nabywców gotowych zapłacić za ekskluzywność, niepowtarzalność i prywatność. Sprzedający cenią sobie pełną kontrolę nad widocznością oferty, podczas gdy pośrednicy opierają swoją pracę na relacjach, odpowiednich kontaktach i bezpośrednich rekomendacjach, co pozwala im lepiej odpowiadać na specyficzne potrzeby klientów. Taki model transakcji redukuje presję czasową, co sprawia, że negocjacje stają się bardziej komfortowe” – czytamy w raporcie.

– Zdobycie tego, co jest niedostępne, cieszy nas bardziej. Czasem oferty off market to po prostu dobrze wybrana strategia marketingowa. Ma w ten sposób nadać nieruchomości auro wyjątkowości. Działa zasada, że im mniej o czymś wiemy, tym bardziej jest to dla nas intrygujące – mówi Perz.

Tę zasadę wielu z nas stosuje w życiu, np. gdy nie chcemy zdradzić przepisu na popisowe ciasto albo zgadzamy się przekazać kontakt do „niesamowitego” fizjoterapeuty, który właściwie nie ma już wolnych terminów. „Placimy więcej za to samo jedzenie, powiedzmy, gotową kanapkę z wędliną i dodatkami, jeżeli powie się nam, że ser do niej włożony wyprodukował niejaki John Biggs z Duxfield Farms w Kumbrii. Naturalnie nikt nie ma pojęcia, jak smakuje ser tego konkretnego wytwórcy, bo przecież jest on



• **Amerykańskie agentki sprzedające luksusowe nieruchomości z serialu dokumentalnego „Selling the City” Netflix** FOT. NETFLIX

zmyślony. A mimo to tego rodzaju opis podnosi wartość oferty” – tłumaczy w książce „Gastrofizyka” profesor Charles Spence. To psycholog z Uniwersytetu Oksfordzkiego, który bada, jak odbieramy jedzenie.

Krótko mówiąc: to, co dobrze opisać, uznajemy za bardziej wartościowe. Gdy sprzedajesz mieszkanie, znajdź w nim coś szczególnego i podkreśl to. Jeśli jest pod jakimś względem wyjątkowe, też możesz próbować sprzedać ją off market. – Dotyczy to sytuacji, gdy np. dom znajduje się w bardzo cenionej lokalizacji i chętnych na zakup w tym miejscu jest wielu. Jeśli z jakiegoś powodu zależy ci na dyskrecji, pośrednik będzie wiedział, jak sprzedać nieruchomość bez rozgłosu – odpowiada Paula Perz.

• W serialach o nieruchomościach z różnych części świata agentki wyglądają jak gwiazdy kina na czerwonym dywanie. Polska wersja jest mniej wystawna. Szefowe The Leader’s zamiast na kolacjach w wieczorowych sukniach spotykają się na śniadaniach w swoich kuchniach. W serialu o nich nie ma dram, napięć, zawiści i obgadywania jak w serialach amerykańskich czy brytyjskich. Jest współpraca i rodzinna atmosfera. Pod tym względem polski serial przypomina francuski odpowiednik – „L’Agence”.

W Polsce ponad połowa pośredników nieruchomości to pośredniczki. W segmencie premium ta przewaga jest wyraźniejsza – Kobiety są w tej branży lepsze. Łatwiej nawiązują relacje – opowiada Alicja Chmura

Dom z wisienką na torcie

• Co powinien mieć luksusowy apartament czy dom? Duże okna, przestronną kuchnię, wygodny salon, sypialnie z łazienkami, garderobę, taras i garaż. Jeśli masz wolne metry i wolne środki, warto zainwestować w coś z tej listy:

• **Spizarnia** – najlepiej taka, do której można swobodnie wejść, z dodatkową lodówką. Szczególnie ceniona od czasu pandemii. Szukają jej duże rodziny i opiekunowie psów, którzy muszą gdzieś trzymać miesięczny zapas karmy.

• **Sauna** – trend, który wynika z większego zainteresowania zdrowym stylem życia. Dla wielu tak samo ważna jak wanna.

• **Pokój wellness** – coś więcej niż siłownia. Muszą się tam zmieścić nie tylko urządzenia do treningu, ale i profesjonalne sprzęty do regeneracji. Takie domowe spa, w którym można skorzystać z drenażu limfatycznego i lampy leczniczej.

• **Piwniczka ogrodowa, ewentualnie schron** – moż-

W tej produkcji wystąpiła rodzina Kretzów. To dwa pokolenia agentów działających razem w Paryżu.

W serialach amerykańskich wiele nieruchomości promuje się przez kosztowne imprezy. – Czasem też mamy okazję, żeby wypić razem szampana. Jednak zdecydowanie nie nosimy w pracy bikini – tym stwierdzeniem Paula Perz nawiązuje do serialu kręconego w Kalifornii.

W The Leader’s pracuje wiele matek – na pewno więcej niż w serialach kręconych w zagranicznych metropoliach. – Pośredniczka nieruchomości to zawód idealny dla kobiet z dziećmi. Można elastycznie zarządzać swoim kalendarzem, odebrać dzieci ze szkoły, załatwić coś w ciągu dnia w urzędzie – mówi Perz.

Bohaterka serialu z Nowego Jorku Eleanora Srugo nie ma dzieci, ale ma kota. Wynajmuje luksusowy apartament z dwiema sypialniami, żeby kot miał własną. Tak tłumaczy, dlaczego wybrała rynek premium: Chcesz być pierwszym synem, drugą żoną i trzecią agentką nieruchomości. Bo trzeci apartament w życiu to już raczej nie tania kawalerka czy dom pod miastem w okazyjnej cenie.

Według warszawskich agentek nieruchomości najbliższy realiów jest serial „Owning Manhattan”, w którym głównym bohaterem jest właściciel agencji Ryan Serhant.

Wszystkie seriale podkreślają znaczenie pracy zespołowej.

– Mogę mieć nieruchomość na sprzedaż, ale to koleżanka może znać idealnego kupca. Ta współpraca czasem wykracza poza naszą agencję. Inni pośrednicy to nasza konkurencja, ale bycie w dobrych relacjach wszystkim się opłaca. Dla klientów liczy się efekt, czyli udana transakcja – zaznacza Paula Perz.

W serialach widać, że klienci płacą agencjom nieruchomości za rozwiązywanie problemów. Najlepiej, jeśli problem znika, zanim jeszcze o nim usłyszą. – Oferujemy luksusową usługę. Wrażenie, jakie zostanie klientowi po kontakcie z nami, przełoży się

na dalszą współpracę. Jeśli będzie zadowolony, poleci nas kolejnym osobom – mówi Perz.

Jakie problemy rozwiązują agentki? Czasem chodzi o dopełnienie prawnych formalności, a czasem o zamontowanie dużego jacuzzi na tarasie, na który nie dociera winda. To sytuacja z apartamentowca na Żoliborzu. Żeby wciągnąć jacuzzi, koniecznie było sprowadzenie firmy z Krakowa, która na górnym tarasie zamontowała dźwиг.

W tym całkowicie wykończonym apartamencie miała zamieszkać córka zagranicznego inwestora. Agencja dostała miesiąc na rozjaśnienie wnętrza, które miało zbyt wyrazisty charakter. Inwestor zaznaczył, że nie godzi się na remont. Metamorfozę trzeba było zrobić z pomocą lamp, mebli i dodatków. Razem z zagospodarowaniem tarasów kosztowało to dodatkowe 1,2 mln zł.

Żeby agencja zmieściła się w wyznaczonym czasie, pośredniczkę przypisaną do tej nieruchomości wspomagały koleżanki. Lamp za 60 tysięcy złotych nie kupuje się w dowolnej Castoramie. Jeśli włoski producent spóźnia się z dostawą, trzeba przetrząsnąć luksusowe magazyny w Europie.

– Nie widać tego w serialach, ale zanim dojdzie do transakcji, pracujemy miesiącami, żeby spełnić oczekiwania osób, które się do nas zgłaszają. Samodzielnie nikt nie obsłuży wielu klientów. Jednak na rynku jest coraz więcej wolnych strzelców. To osoby, które po krótkiej pracy w agencji uznały, że wolą pracować na własny rachunek. Zazwyczaj jednak po pewnym czasie budują zespół – mówi Paula Perz.

Najsłynniejsi na świecie agenci nieruchomości premium nie pracują sami. The Leader’s też znowu rekrutuje. Akurat gdy rozmawiamy, wstępne szkolenie z bycia agentką przechodzi architektka wnętrz. W jej profesji czuć już duże obawy związane z umiejętnościami sztucznej inteligencji. Projektanci boją się, że może przejąć ich zadania.

• Czy każde mieszkanie lub dom może się stać nieruchomością premium?

– Nie. Zaczniemy od tego, czym jest apartament. Dla nas zaczyna się od 100 m kw. Mniejsze metraże to mieszkania. Błędem jest przekonanie, że luksus bierze się z samego wnętrza nieruchomości. Można przeinwestować i przeżyć rozczarowanie. Na urządzenie wnętrza da się wydać każde pieniądze, dosłownie każde. Ktoś podlicza poniesione koszty i na tej podstawie robi wycenę swojego domu. Wtedy się okazuje, że nikt nie jest tą nieruchomością zainteresowany, bo kluczowa jest lokalizacja – zaznacza Paula Perz.

„Istotne znaczenie ma nie tylko prestiż dzielnicy, ale także dostęp do miejsc, takich jak restauracje, muzea czy sale koncertowe. Klientów przyciągają również rozbudowane udogodnienia w obiektach” – czytamy w raporcie KPMG.

– Regularnie widzimy przepiękne wnętrza, ale w lokalizacjach, w których nikt takich perełek nie szuka. Np. ktoś wiele zainwestował w apartament na Bemowie i nie może odzyskać wydanych pieniędzy. Nic dziwnego, to nie jest miejsce, które wybierają zamożne osoby. Trzeba mieć niebywale szczęście, żeby trafić na tę jedną osobę, która chce mieszkać w takiej lokalizacji i jest gotowa dużo za to zapłacić. Prestiż zaczyna się od adresu – mówi Perz.

Na etykietę „premium” składa się też jakość części wspólnych budynku, czyli wygląd klatki schodowej i otoczenia.

– W skali Polski lokalizację premium to: Warszawa, Kraków, Trójmiasto i Jura-ta. W Warszawie lokalizację premium to przedwojenne, zrewitalizowane kamienice w Śródmieściu Południowym. Stary Mokotów, Powiśle, Wilanów, stary Żoliborz, domy na Saskiej Kępie i w Konstancinie. Takie nieruchomości przyciągają wielu zainteresowanych – wyjaśnia Paula Perz.

„Zmienia się zauważalnie sposób postrzegania luksusu. Nieco mniej w nim dzisiaj ekstrawagancji, a więcej wysokich technologii związanych z jakością życia i dba-

łością o naszą planetę. Trudno dziś mówić o nieruchomości luksusowej, która nie spełniałaby najwyższych standardów w zakresie efektywności energetycznej i oszczędności zasobów” – podaje raport KPMG.

Polacy inwestując zwracają coraz większą uwagę na sytuację geopolityczną i klimatyczną. Kto ma pieniądze, kupuje nieruchomość tzw. ewakuacyjną na wypadek wojny. Dlatego pośrednicy z Polski mają coraz więcej zleceń dotyczących zakupów za granicą. W ostatnich latach Polacy kupują mieszkania w Hiszpanii, ale możliwe, że znacznie docierać do nas, jakie jest w tej części Europy ryzyko klimatyczne. Znajomi, którzy kupili apartament na hiszpańskim wybrzeżu, mówią, że za przekroczenie limitów zużycia wody grożą kary. Nie można podlewać trawników i nie buduje się już nowych basenów.

Przy wyborze nieruchomości wakacyjnych kierujemy się bliskością wody, dlatego nie będzie słabnąć zainteresowanie Trójmiastem.

Z danych zebranych przez międzynarodową agencję nieruchomości premium Sotheby's International Realty wynika, że osoby zamożne wciąż chętnie inwestują w nieruchomości. W grupie do 43. roku życia to najczęściej wybierana lokata kapitału. Drugie miejsce zajmują kryptowaluty. Wśród starszych inwestorów numerem jeden jest giełda, za nią nieruchomości.

Programy i seriale dokumentalne o nieruchomościach od dawna cieszą się popularnością, ale to rozwój rynku premium sprawił, że zawód pośrednika nieruchomości zaczął się kojarzyć z prestiżem. Gdy po kilkunastu latach wróciła kontynuacja serialu „Seks w wielkim mieście”, nową bohaterką została właśnie agentka nieruchomości. Od początku serialu bohaterki zmieniły mieszkania, co odzwierciedlało ich sytuację emocjonalną, rodzinną i finansową. Jednak gdy pojawiała się w nim agentka nieruchomości, w każdym odcinku zaczęliśmy zaglądać do różnych ultraluksusowych wnętrz na Manhattanie. Główna postać – Carrie – mieszkała w kamienicy, przed którą codziennie ustawiają się fani serialu. Teraz jej nowy serialowy dom przypomina pałac.

Tygodnik „The New Yorker” stwierdził, że to nieudana próba rekompensaty nudy, która nastąpiła w modowych stylizacjach bohaterki. „Wnętrzarskie porno”, którego już i tak oglądamy mnóstwo na Instagramie i w magazynach o designie. Twórcy serialu uznali widocznie, że nieruchomości kręca nas dziś bardziej niż buty i torebki. Nieruchomościami serialowej Carrie zajął się też tygodnik „Time” w tekście pod tytułem „Prawdziwy nowojorczyk nigdy nie pozbyłby się mieszkania Carrie Bradshaw”. Za to każdy chciałby być agentką, która reprezentuje Carrie.

– Jeśli chcesz odnieść sukces w naszej branży, musisz wiedzieć, do kogo zadzwonić. I musisz wzbudzić zaufanie, żeby ten, kto szuka nieruchomości, wybrał właśnie ciebie. Nieporozumieniem jest jednak przekonanie, że każdy może być pośrednikiem – zaznacza Paula Perz.

Teoretycznie każdy może spróbować sił w tym zawodzie, bo od 2014 roku nie trzeba mieć licencji, żeby pośredniczyć w obrocie nieruchomościami.

W tej pracy nie odnajdą się osoby, które nie lubią kontaktów z ludźmi. Trzeba mieć też cierpliwość, na nagrodę czasem długo się czeka. I odporność na porażki, a raczej – na okresowe braki sukcesu. – Powtarzamy: nie licz prowizji przed końcem transakcji. Z decyzjami o kupnie i sprzedaży nieruchomości wiążą się emocje. Ktoś się rozwodzi i mu się spieszy, a ktoś inny nagle zmienił zdanie. Do ostatniej chwili wszystko może się zdarzyć. Jak w każdej sferze życia – podsumowuje Perz. ●

Niektóre cytaty pochodzą z seriali: „Agentki” (Canal Plus) oraz „Selling the City”, „Owning Manhattan”, „Buying London” (Netflix)

Ranking redakcji

Najbardziej luksusowe adresy w Polsce

W ramach akcji „Jak mieszkasz Polsko?” reporterzy „Wyborczej” w lutym br. w całym kraju wybrali i opisali najdroższe, osiedla, apartamentowce i wille.

Tak powstał ranking, który ułożyło redakcyjne jury. Braliśmy pod uwagę oczywiście ceny, ale także architekturę, wnętrza, urządzenie części wspólnych, infrastrukturę, położenie i widoki z okien. Wybraliśmy w sumie 10 lokalizacji (wszystkie znajdziecie w serwisie Wyborcza.pl.)

Oto pierwsza piątka z listy ekskluzywnych miejsc:



1 • Apartament Królewski w Angel Wawel
Kompleks powstał w 2015 r. Jest w nim basen, kino, ochrona, recepcja, fitness itp. Apartamenty sprzedają się szybko – jeden za 8,5 mln zł. Inwestycja powstała w dawnym klasztorze sióstr Koletek, ale dobudowano nową część i ogród. Najdroższy apartament królewski – sprzedano za 15 mln zł. Ma 700 m kw., cztery poziomy. Najbardziej spektakularny jest salon w dawnej kaplicy: ma 9 m wysokości, odrestaurowane freski i witraże w oknach.

2 • Gdynia. Orłowo.
Plaża, klify i molo, kameralna zabudowa i otulina leśnego rezerwatu sprawiają, że Orłowo to unikat w skali kraju. Za metr kwadratowy działki w nadmorskiej części trzeba zapłacić ok. 5-7 tys. zł. Np. grunt o pow. ok. 1000 m kw. przy ulicy Światowida był wystawiony za 5,9 mln zł. Ceny apartamentów dochodzą do 50 tys. zł za m kw. W wielu z nich znajdują się baseny, sauny, siłownie, piwniczki z winami, sejfy, garaże na kilka aut. A na dachach są tarasy z widokiem na morze.

3 • Warszawa. Browary Warszawskie
Poza kompleksem modnych knajp i biur są tu także mieszkania od 27 do 70 m kw. Wszystkie urządzone w stylu hotelowym. Np. 29 m kw. kosztuje 998 240 zł. To prawie 34 tys. zł za m. Browary to też miejsce, które promieniuje na najbliższą okolicę. 2 608 000 zł – tyle trzeba zapłacić za 56 m mieszkania w nowej kamienicy, która powstaje przy Żelaznej 54. Wychodzi ponad 46 tys. zł za metr. To tylko rzut beretem do Browarów i Fabryki Norblina.

4 • Rzeszów. Wieżowce Olszynki Park
To dwa budynki ze wspaniałym widokiem: 41 i 18 pięter. Wyższy do dachu ma 161 m a z wieżą i iglicą – 220,67 m. To najbardziej atrakcyjna lokalizacja w mieście. W samym centrum. W sumie 292 mieszkania. Najdroższe za metr (34. piętro) kosztuje 22 tys. zł. W kompleksie jest też basen), restauracje i kawiarnie. Jedna z restauracji zajmie 39 i 40 piętro wyższego z wieżowców. To będzie restauracja widokowa, z szybami od posadzki po sufit. .

5 • Katowice. Pierwsza Dzielnica
• Do 1999 r. działała tu kopalnia, teraz to ekskluzywne osiedle. Graficzne kwarceowe płyty o strukturze kamienia wyprodukowano we Włoszech. Kraty zabezpieczające oraz blendy w kolorze złotym/inox, dookoła balkonów, wprowadzono z Hiszpanii. Taflę szkła hartowanego przywiezione z Finlandii. Metr kw. mieszkania w stanie deweloperskim, to ok. 15 tys. zł.

• Drugą piątkę naszego rankingu - znajdziesz na Wyborcza.pl





FOT. GETTY IMAGES, SHUTTERSTOCK

„Akt odwagi”, „przyznał się, że chodzi” – Rosjanie niechętnie odkrywają psychoterapię.

Wiktoria Bielaszyn

O ale życie myślałem, że mam silną psychikę i do głowy by mi nie przyszło iść do psychologa, ale po napaści Putina na Ukrainę czułem, że zwariuję. Diagnoza mnie rozwalila. Ja i depresja? W najostrzejszej fazie brałem leki. Potem poszedłem na terapię. Z leków udało mi się już zejść, ale terapia została: dwie sesje w tygodniu, bo zdałem sobie sprawę, że jest w czym grzebać. Nigdy nie będę mógł pojechać do Rosji. A nawet jeśli, to za 10 czy 20 lat, więc już nigdy nie zobaczę matki. A pewnie i wielu przyjaciół. To już trzy lata, jak staram się to jakoś przepracować – opowiada mi w Berlinie Iwan, niezależny rosyjski dziennikarz.

W ubiegłym roku centrum analityczne NAFT opublikowało raport na temat stosunku Rosjan do psychoterapii. 68 proc. nigdy nie miało do czynienia z psychologiem. Dużo? Nie z perspektywy socjologów. Zwracają uwagę, że jeszcze pięć lat temu takich osób było w Rosji 91 proc.

Ten mentalny skok to rzecz jasna efekt wydarzeń ostatnich lat: najpierw przyszła pandemia, podczas której Rosjanie byli pozostawieni sami sobie, a w ślad za nią inwazja na Ukrainę. Ograniczenia i sankcje przełożyły się na powszechne poczucie izolacji. Wojenna cenzura, inwigilacja i donosicielstwo – na jesz-

cze większą niż wcześniej nieufność i powrót kultury dwojmyślenia. A rosnące ceny, inflacja, przestawienie gospodarki na tryb wojenny oraz zerwanie relacji handlowych z Zachodem i mozolne nawiązywanie nowych, azjatyckich, sprawiły, że klasa średnia zaciśka pasa, a biedni żyją jeszcze biedniej.

Niemożliwość zaplanowania przyszłości i świadomość, że wojna może wkroczyć także do mojego domu skłoniły więc Rosjan do udania się na kozetkę. Niektórych i z dużych miast, ale to i tak rewolucja.

Specjaliści tylko wzruszają ramionami: a nie mówiliśmy?

Wiosną 2022 r., tuż po inwazji, psychiatra Wiktor Lebiediew w wywiadzie dla niezależnej redakcji „The Moscow Times”, ostrzegł, że napaść na Ukrainę odbije się na zdrowiu psychicznym Rosjan. „Spodziewam się wzrostu liczby przypadków depresji i zaburzeń lękowych, wzrostu spożycia alkoholu i narkotyków oraz wzrostu liczby samobójstw i zaburzeń psychotycznych”.

Miał rację. Według portalu Wiedomosti w pierwszym roku wojny do placówek wsparcia psychologicznego zgłosiło się siedem razy więcej osób niż rok wcześniej. Psychiatrzy i psycholodzy zauważali, że jeszcze nigdy tylu Rosjan nie korzystało z pomocy specjalistów. „Rosjanie zaczęli znacznie częściej zwracać się do psycho terapeutów. Najpierw z lękiem, potem z objawami depresji” – mówił w 2023 r. w „The Moscow Times” psycholog Aleksander Archagow.

Władze też dostrzegły trend i postanowiły go wykorzystywać. Wkrótce po ataku na Ukrainę pojawiła się tzw. psychologia Z – od litery, którą znakowano pojazdy wojskowe na początku inwazji i szybko stała się propagandowym symbolem „operacji specjalnej” – czyli „psychologii poparcia dla wojny”. Na profesjo-

nalnych, budujących prestiż przez długie lata naukowych konferencjach psychologicznych i psychiatrycznych organizowanych w Moskwie i Petersburgu zaczęli występować specjaliści z wykładami o wyraźnie agitacyjnym, urzędowym i prowojennym wydźwięku.

Akademik, doktor nauk psychologicznych Siergiej Kandybowicz jeszcze jesienią 2022 r. w Izbie Obywatelskiej Federacji Rosyjskiej – czyli nie byle gdzie, bo w oficjalnym organie konsultacyjno-doradczym, w istocie fikcyjnym, ale istotnym wizerunkowo i propagandowo – podczas dyskusji nad projektem ustawy o pomocy psychologicznej oznajmił, że „prawo powinno zobowiązywać psychologów do działania nie tylko w interesie klienta, ale także w interesie bezpieczeństwa narodowego”.

Psycholog nie powinien wspierać niezadowolonych z władz, ale dążyć do zminimalizowania wszelkich nastrojów protestacyjnych w społeczeństwie i jego poszczególnych członkach – cytuje naukowca Radio Swoboda.

Przedstawiciele tej grupy wyliczają – nie wiadomo, na jakiej podstawie, ale „naukowo” – że ponad 97 proc. uczestników działań wojennych nie potrzebuje pomocy psychologicznej. Radio Swoboda przeanalizowało artykuły i raporty Z-psychologów, z których wynika, że „udział w działaniach wojennych jest całkowicie bezpieczny dla ludzkiej psychiki”.

Doktor nauk psychologicznych Oksana Zaszirinska podczas 17. Szczytu Psychologicznego w Petersburgu w czerwcu 2023 r. mówiła np. o konieczności „pielęgnowania przez żony żołnierzy wizerunku bohatera”. „Taki mężczyzna zdecydował się na heroiczny czyn. A jeśli żona staje się słabym ogniwem, zasiewa wątpliwości u dzieci. One też zaczynają pytać, dlaczego ojciec poszedł na front, skoro powinien być w domu. Naszym, psychologów, zadaniem jest pozytywne nastrojenie rodziny do sytuacji” – perorowała.

Prowojenni psycholodzy twierdzą, że problemy psychologiczne Rosjan to wina Zachodu. Podczas sesji terapeutycznych wmawiają pacjentom, że Ukraińcy są wroga grupą etniczną, powołując się na pseudonaukowe uzasadnienia wielowiekowej nienawiści, którą mieszkańcy Zachodu żywią wobec Rosjan.

Doktor nauk psychologicznych, profesor Walentin Siemionow, uważa wręcz, że rosyjscy psycholodzy nie powinni „zapozyczzać idei i praktyk zachodnich szkół i trendów zorientowanych na liberalne i konsumpcyjne wartości zachodniego społeczeństwa”. Jego zdaniem Zachód rozpoczął bowiem „kampanię propagandową mającą na celu wywołanie stresu, strachu, paniki i niepokoju wśród Rosjan”. „Tylko determinacja i wola władz, Cerkwi i ludzi może przezwyciężyć duchowy i moralny kryzys” w imię „budowania w Rosji państwa i społeczeństwa wiary, prawdy i sprawiedliwości społecznej”.

Wiele takich tekstów publikuje branżowy periodyk „Psychologiczna Gazeta”.

Trudno powiedzieć, czy taka narracja rzeczywiście przemawia do tych, którzy szukają wsparcia z powodu sytuacji politycznej i gospodarczej. Można tylko wyciągać wnioski z różnych szacunkowych danych związanych ze służbą zdrowia.

Największy boom ośrodki wsparcia psychologicznego – od państwowych przychodni po prywatne gabinety – przeżyły jesienią 2022 r., tuż po ogłoszeniu przez Putina tzw. częściowej mobilizacji. Już widać go w statystykach:

- * z badań opublikowanych w 2024 r. wiadomo, że około 32 proc. Rosjan przynajmniej raz w życiu konsultowało się z psychologiem;
- * w momencie przeprowadzania badania w regularnej terapii było 3 proc. obywateli;
- * kolejne 10 proc. deklarowało, że do terapeutów zwraca się po pomoc „od czasu do czasu”, w chwilach większych kryzysów.

W tej grupie jest moja rozmówczyni. Jelena z Kostromy opowiada, że największy strach i bezradność czuła po ogłoszeniu mobilizacji. Bała się o brata i męża. Zgłosiła się do psychologa, odbyła kilka spotkań. Teraz jest spokojniejsza, ale stara się nie czytać wiadomości, by znowu nie wyłądować na terapii.

Tę strategię obrało wielu Rosjan. Centrum im. Lewady, pracownia socjologiczna uznawana za wciąż niezależną i wiarygodną, zwraca uwagę, że zmienił się charakter lęków i obaw społeczeństwa. W kwietniu 2025 r. większość ankietowanych deklarowała, że najbardziej stresuje ich galopująca inflacja, wzrost cen podstawowych produktów i niestabilny rynek pracy. Wojna w Ukrainie znalazła się na drugim miejscu. Kolejki do gabinetów terapeutycznych zmalały.

No i wciąż aż 2/3 Rosjan nigdy nie było i nie wybiera się do psychologa. Z raportu NAFL wynika, że 46 proc. osób z tej grupy zwyczajnie nie czuje takiej potrzeby. Wiele podkreśla, że „jest w stanie samodzielnie rozwiązać swoje problemy”. A że je mają, mówią nawet reżimowe media. W marcu portal Gazeta.ru omówił zamówiony przez redakcję sondaż nastrojów. „Respondenci zostali poproszeni o wybranie kilku emocji, które najczęściej odczuwają.

Najpopularniejsze były: zmęczenie (60 proc.), niepokój (46 proc.), rozczarowanie (26 proc.), smutek (26 proc.), złość (16 proc.)”. I „tylko 15 proc. Rosjan jest w pełni zadowolonych ze swojego życia”.

Jak radzą sobie z lękami i niepokojem ci, którzy z terapii nie korzystają? Badania wskazują, że najczęściej dusząc je w sobie, dzieląc się nimi z rodziną, pijąc albo zażywając antydepresanty i leki na uspokojenie.

Z danych Centrum Rozwoju Zaawansowanych Technologii wynika, że od stycznia do września 2022 r. Rosjanie wydali na leki przeciwdepresyjne i uspokajające 5 mld rubli (około 203 mln zł), o 70 proc. więcej niż w 2021 r.

Od tego czasu liczby tylko rosną. Popyt na środki uspokajające osiągnął szczyt, kiedy zaczęły ustawiać się kolejki do psychoterapeutów – czyli w tygodniu 19-25 września 2022 r., kiedy ogłoszono mobilizację. Według firmy farmaceutycznej DSM Group Rosjanie kupili wówczas prawie 300 tys. opakowań leków.

I się od nich uzależnili. W marcu 2024 r. firma podała, że sprzedaż antydepresantów w Rosji osiągnęła najwyższy poziom od pięciu lat. W pierwszych trzech miesiącach 2020 i 2021 r. Rosjanie kupowali po około 1,8 mln opakowań. W analogicznym okresie kolejnych lat po wybuchu wojny – 3,3-3,6 mln.

Bo Rosjanie mogą nie wierzyć w terapię, ale nikt nie podważa skuteczności farmakologii. Psycholożki Na-

talia Kiselnikowa i Nikol Szachbazjan tłumaczą na łamach portalu T-j.ru, że wynika to z ugruntowanego mitu, iż „lęki i depresję wyleczyć można tabletkami, a nie rozmowami”.

Ale w grupie „nigdy nie byłem u psychologa” są nie tylko osoby o takich przekonaniach. W tej grupie aż 1/4 z 68 proc. – czyli 25 mln Rosjan – ma potrzebę skonsultowania się ze specjalistą, tylko nie ma odwagi jej zrealizować.

Niektórzy tłumaczyli, że nie mogą sobie na to pozwolić ze względów finansowych, bo w Rosji terapia, podobnie jak w Polsce, to luksus, na który nie każdego stać. Wystarczy zajrzeć do cenników: jedna sesja u psychologa kosztuje 3-5 tys. rubli, czyli 150-230 zł. A stawki są podobne i w bogatej Moskwie, i na prowincji, w bardziej dotkniętym wojennym kryzysem Jarosławiu czy Saratowie. Pełna terapia, czyli kilkanaście lub nawet kilkadziesiąt spotkań, to kwota, na którą przeciętny obywatel nie może sobie pozwolić.

Ale w wielu przypadkach „nie stać mnie” to tylko wymówka. Socjolodzy uważają, że główną barierą powstrzymującą przed szukaniem pomocy w trudnej sytuacji życiowej jest przekonanie, że jeśli człowiek nie radzi sobie sam, to jest chory, słaby, leniwy albo niedojrzały. Nie tylko starsi, wychowani jeszcze w Związku Radzieckim, żywią sowieckie przekonanie, że depresji nabawić się można od nadmiaru wolnego czasu, a najszybciej i najskuteczniej leczy się ją dodatkowo pracą. Albo sportem. Millenials i odziedziczyli po dziadkach i rodzicach pogląd, że psychoterapia to coś wstydliwego, co należy ukrywać. Nowinka, której ulegają ludzie wydelikaceni lub słabi. W portalach plotkarskich news, że celebryta czy aktorka uczęszczają na terapię, niemal zawsze zatytułowany jest słowami: „X PRZYZNAŁ SIĘ do chodzenia do psychologa”.

Nic dziwnego, że nie wszyscy mają siły czy chęci zdobyć się na taki „akt odwagi”. – Do psychiatry i na terapię zacząłem chodzić w Moskwie, krótko po studiach, kiedy zauważyłem, że mam problemy z normalnym funkcjonowaniem: wstawaniem z łóżka, chodzeniem do pracy, kontaktem z dziewczyną. Okazało się, że mam zaburzenia depresyjno-lękowe. Długo trwało, zanim powiedziałem rodzicom, że „leczę się na głowę”. Mieszkają w prowincjonalnym mieście, nie chciałem się z nimi kłócić ani słuchać głupich uwag, że widocznie mam za mało prawdziwych problemów. Albo za dużo czasu na myślenie – opowiada mi 29-letni Michail.

Stereotypy, o których wspomina, tak wrosły w rosyjską kulturę, że wśród komików oraz popularnych blogerów podejście do terapii jest jednym z głównych tematów skeczy i memów. Komik Andriej Ajrapietow

Rosjaninowi niewygodnie na kozetce

około 32 proc. Rosjan

- przynajmniej raz konsultowało się z psychologiem

3 proc. Rosjan

- jest w regularnej terapii

60 proc. Rosjan

- z emocji najczęściej odczuwa zmęczenie. Niepokój 46 proc., rozczarowanie 26 proc., smutek 26 proc.

tylko 15 proc. Rosjan

- jest w pełni zadowolonych ze swojego życia

około 203 mln zł

- wydali Rosjanie na leki antydepresyjne i uspokajające w 2022 czyli w pierwszym roku wojny z Ukrainą To o 70 proc. więcej niż w 2021 roku

150-230 zł

- kosztuje jedna sesja u psychoterapeuty czy psychologa. Stawki są te same w bogatej Moskwie i na prowincji

49 proc. Rosjan

- po 60. roku życia regularnie odczuwa lęk i ma umiarkowane stany depresyjne

z Permu jeden z występów poświęcił „reakcjom krewnych na twoją psychoterapię”. „Tfu! Co za wstyd! Obecnie babie skarży się na rodzoną matkę i jeszcze za to płaci!”.

Publikująca na Instagramie influencerka Cristina Cataman – która z Moldawii przeniosła się do Kanady – nakręciła całą serię filmików, w których ironizuje na temat stosunku do zdrowia psychicznego w Europie Wschodniej. W jednym, pod tytułem „Mówisz rosyjskiej mamie o swojej depresji”, wciela się w matkę, która na wyznanie dziecka, że jest w złym stanie psychicznym, zapowietrza się: „Raz masz »depression«, raz »anxiety«, takie słowa nawet nie brzmią naturalnie w naszym języku! Jedynym problemem waszego pokolenia jest to, że macie za dużo czasu, zbyt wiele możliwości, za dużo ekranów przed nosem i za mało rozumu. Weź się do roboty, starczy tego uzalania się nad sobą! Ja w twoim wieku miałam tyle zajęć i pracy, że nie miałam nawet czasu, by dowiedzieć się, czym jest depresja”.

To wszystko nie znaczy, że starzy Rosjanie są szczęśliwi. Według zeszłorocznych badań Rosyjskiej Akademii Gospodarki Narodowej i Administracji Publicznej: ponad połowa Rosjan w wieku powyżej 60 lat zauważyła u siebie objawy lęku lub depresji; spośród 36,8 tys. ankietowanych seniorów 49 proc. zadeklarowało, że regularnie czuje lęk i ma umiarkowane stany depresyjne; 5 proc. wskazało, że cierpi na ciężką formę depresji.

Uczestnicy badania nie precyzowali, co wpływa na wzrost odczuwanego przez nich niepokoju i lęku, więc rosyjscy opozycjoniści usiłują dopatrzeć się w tych odpowiedziach prawdziwego stosunku Rosjan do wojny i władz. Ale żaden poważny badacz nie zawyrokuje, czy samopoczucie emerytów polepszy zakończenie wojny, czy raczej poprawa, a przynajmniej stabilizacja sytuacji gospodarczej. Niezależne media zwracają uwagę, że drożące leki i żywności najdotkliwiej dają się we znaki osobom starszym i samotnym, którym już przed wojną trudno było wiązać koniec z końcem.

To ta grupa najczęściej nie szuka pomocy „na zewnątrz”. „Starsze pokolenia, których lata formacyjne przypadły na czasy kultu »odporności« i »powściągliwości«, a więc i unikania rozmów o problemach osobistych, postrzegają terapię jako słabość” – opisują badacze z WCIOM, Ogólnorosyjskiego Centrum Badania Opinii Publicznej. Ale zaraz dodają, że „awangardą zmian w podejściu do psychologii staje się nowe pokolenie Rosjan, które rozpoznaje swoje potrzeby emocjonalne i szuka pomocy”.

To, że cała nadzieja w „zetkach”, potwierdzają statystyki, które w listopadzie opublikował Jasno, popularny serwis oferujący usługi psychologiczne w całym kraju. W 2024 r. aż 85 proc. wizyt za pośrednictwem Jasno umawiali ludzie w wieku 18-34 lat. „Cieszy mnie, że terapia staje się dla wielu codziennością. Sama jestem w terapii od trzech lat. Zyskałam dzięki niej wiele narzędzi, ale jedno z najważniejszych to świadomość, że sobie poradzę. Dzisiaj świat jest wyjątkowo kruchy. Jeśli potrzebujecie pomocy, polecam dobrego psychologa i terapię” – pisała niedawno na blogu trzydziestoletnia reżyserka i poetka Lena Konczalowska.

Tyle że wciąż mówimy o „zetkach” wielkomiejskich. Bo na prowincji, wśród młodych gorzej wykształconych, ale też po prostu wychowanych w charakterystycznym patriarchalnym kulcie siły i pogardy do słabości, problemy natury psychicznej nadal są powodem do wstydu. Portal Snob we współpracy z Mambą, popularnym portalem matrymonialnym, przebadał w ubiegłym roku randkujących Rosjan. Jedno z pytań brzmiało – jak ankietowani zareagowałiby na wieść, że ich potencjalny partner czy partnerka uczęszcza na psychoterapię. 70 proc. orzekło, że chciałoby dowiedzieć się o tym „na samym początku znajomości”. W sumie nic dziwnego – ale 36 proc. przeпытanych mężczyzn i aż 41 proc. kobiet uznaje taką wiadomość za „czerwoną flagę”.

I tu na scenę wkracza kultura patriarchy. Przywoływana w dyskursie publicznym, antropologii i psychologii na całym świecie, regularnie i zdaniem wielu, nie tylko z prawicy, aż do przesady – ale w Rosji naprawdę zakorzeniona, toksyczna i przepajająca praktycznie każdą dziedzinę życia.

Na forum Woman.ru znajduję wpis, którego autorka bardzo niepokoi się tym, że jej partner jest w terapii. „Kiedy się o tym dowiedziałam, poczułam się dezorientowana, bo moim zdaniem dorosły facet powinien być w stanie samodzielnie rozwiązywać swoje problemy, a przynajmniej próbować to robić. On nie rozumie, dlaczego tak bardzo mi to przeszkad-

dza i dlaczego nie mogę tego zaakceptować. Mam wątpliwości co do naszej przyszłości, zwłaszcza że te wizyty trwają już od dłuższego czasu. On nie ma bliskich przyjaciół ani rodziców, z którymi mógłby o wszystkim porozmawiać. Może jest tu ktoś, kto miał podobną sytuację? Czy warto próbować mu to wyperswadować lub znaleźć sposób na zastąpienie tych wizyt czymś innym?” – pyta. Co też znamienne, anonimowo, jako „Gość”.

I dostaje odpowiedź. „Chłopak ci nie ufa. Zastanów się, czy ktoś taki jest ci potrzebny”.

Inny wpis, z forum Bl7.ru. „Powiedziałam chłopakowi, że chodzę do psychologa, a on na to, że to strata pieniędzy i chodzę, żeby się nade mną litowano i mówiono, jaka jestem dobra i biedna. Twierdzi, że nie potrafię wziąć życia w swoje ręce i że jestem słaba. Powiedziałam mu, że to jest mój wybór, że sama płacę za psychologa, że czuję się lepiej, będąc w terapii. Jak mogę go przekonać, że psychologowie to nie szarlatani i że powinien brać pod uwagę moją potrzebę?”.

Te wycinkowe obserwacje potwierdza sondaż Snoba i Mamby: w odpowiedziach ankietowanych pojawiają się „silne, negatywne stereotypy na temat psychoterapii”. Rosjanie, niezależnie od wieku, obawiają się, że decydując się na psychoterapię, „okażą słabość”. To jeden z silniejszych lęków w kulturze, w której na czele najwyższych ocenianych wartości jest siła. Badacze mówią też o strachu uniwersalnym, który dzieli ludzi unikający terapii na całym świecie – że głęboko skrywane traumy i problemy wyjdą na światło dzienne.

Ale i ta obawa ma dodatkową rosyjską specyfikę. Rosjanom nie chodzi tylko o lęk przed lustrem, przed dowiedzeniem się o sobie rzeczy, których nie chcieliby wiedzieć. Tu kontakt ze specjalistą może mieć przykre życiowe konsekwencje.

Rosjanie do psychoterapeutów, psychologów i psychiatrów po prostu nie mają zaufania. Ale wcale nie chodzi o ich kompetencje, doświadczenie, wykształcenie. Otóż ludzie postrzegają ich może nie jako funkcjonariuszy, ale na pewno jako część aparatu państwa.

Według NAFI aż jedna trzecia z tych, którzy nie decydują się na wizytę, choć czują, że jej potrzebują, nie proszą o pomoc, bo „boją się podzielić myślami oraz szczegółami życia osobistego z nieznaną osobą” – i „obawiają się o poufność rozmowy”. Julia Nawalna, wdowa po zamordowanym w łagrze słynnym opozycjonście Aleksieju Nawalnym i ważna postać emigracyjnej opozycji na wychodźstwie, mówiła o tym w 2021 r. w wywiadzie dla „Harper's Bazaar”. Na pytanie dziennikarki, jak radzi sobie ze stresem, lękiem o męża, dzieci i siebie, z prześladowaniami i świadomością, że całą dobę jest na oku służb, odpowiedziała, że „nigdy nie przyszło jej do głowy, by pójść do psychologa”. „W Rosji to nie jest bezpieczne. Nie wierzę zbyt w przestrzeganie tajemnicy lekarskiej, w prawdziwą poufność między specjalistą a pacjentem” – tłumaczyła.

A to było jeszcze przed wojną. W ostatnich trzech latach problem z terapeutami – i szerzej, lekarzami, prawnikami oraz wszelkimi innymi profesjami związanymi z zaufaniem, prywatnością i dochowaniem tajemnic osobistych – mają już nie tylko opozycjoniści (z których większość i tak emigrowała albo znalazła się w więzieniu), ale zwykli Rosjanie.

Niezależna redakcja 7x7 zaszarżowała i opublikowała materiał, w którym z jednej strony zachęca czytelników do psychoterapii, jeśli czują taką potrzebę, ale z drugiej wprost ostrzega ich i radzi, jak rozmawiać z psychologiem, by nie paść ofiarą donosu, i na co zwracać uwagę, by mieć pewność, że nie przysporzą sobie dodatkowych problemów. „Mów raczej o swoich uczuciach i osobistych doświadczeniach, a nie o sytuacji w twoim otoczeniu czy w kraju. Nadal bezpiecznie jest odczuwać i doświadczać różnych emocji, ale lepiej poprzestać na tym, nie zagłębiać się w szczegóły. Obserwuj reakcję psychologa. Jeśli zignoruje słowa o nie-



• Patriot Park w Kubince, ok. godziny jazdy od centrum Moskwy, to największa na świecie kolekcja broni pancerniej z I i II światowej oraz z zimnej wojny. To także park rozrywki i popularne miejsce wypoczynku rosyjskich rodzin. Na zdj. spektakl z okazji 80. rocznicy zwycięstwa nad III Rzeszą. (30.04.2025) FOT. JULIA MORCZOWA / REUTERS

„Udział w działaniach wojennych jest całkowicie bezpieczny dla ludzkiej psychiki” – informuje rosyjskich terapeutów prestiżowa „Psychologiczna Gazeta”

pokoju z powodu wojny i będzie próbował szukać źródła problemu w twoim życiu osobistym – lepiej zmienić specjalistę. Jeśli nie wyraziłeś stanowiska politycznego lub poglądów na temat wojny, a psycholog i tak sam zadawał pytania na ten temat – unikaj odpowiedzi i zmień terapeuta – to tylko nie które z porad.

Tymczasem wiele wskazuje, że w najbliższym czasie wizyta u psychoterapeuty będzie wiązać się z jeszcze większym zagrożeniem ze strony państwa.

Do Dumy Państwowej wpłynął bowiem projekt ustawy „O podstawach regulacji działalności psychologicznej w Federacji Rosyjskiej”. Zamiysł inicjatorów jest pozornie słuszny. Deputowana Nina Ostanina w rosyjskim wydaniu „Forbesa” tłumaczyła: „Chodzi nam o to, by chronić współobywateli przed szarlatanami i oszustami oraz o zapewnienie psychologom odpowiedniego statusu prawnego”.

Bo rzeczywiście, zawód psychologa nie jest w Rosji uregulowany prawnie. W efekcie szukający pomocy ludzie nierzadko trafiają do samozwańczych „specjalistów”, którzy nazywają się „psychologami kobiecymi” i zajmują „żeńską energią”, „astropsychologami”, „psychologami-milionerami” – ci przekonują, że wystarczy uwierzyć w swój sukces, by go osiągnąć – albo „psychologami ds. komunikacji z aniołami”. Oraz do starych, dobrych tarocistów i wróżek, którzy niczego nie udają, ale też chętnie reklamują się słownictwem medycznym i psychologicznym.

Ta ostatnia grupa od lat cieszy się w Rosji szczególną popularnością. „W kraju rośnie zapotrzebowanie na usługi magiczne. Ludzie kierują się horoskopami, zwracają się do wróżbitów zamiast psychologów, wyjeżdżają na wakacje za zgodą astrologa, a firmy mają nawet własnych tarocistów” – opisuje portal Wieczniarnia Moskwa.

Socjolodzy i psychologowie mają dla tego zjawiska bardzo łatwe wytłumaczenie. „Ezoteryka pomaga człowiekowi zmniejszyć poziom lęku, który wiąże się z brakiem zrozumienia porządku świata i niepewnością. Ludzie zorientowali się, że mogą poszukać

oparcia na zewnątrz, podzielić ciężar i grozę bytu. Boisz się podjąć ważną decyzję? Zwróćmy się do kart, co powiedzą, to uspokoi. Nie jesteś zadowolony z czegoś w życiu? Zwróćmy się do kart – aha, to taki okres, do brze, trzeba przeczekać” – mówi „Komsomolskiej Prawdzie” psycholożka Marina Jonyczewa.

Wróżby tarocistów potrafią doprowadzić do kuriozalnych decyzji na poziomie systemowym. „Ostrożnie, novosti”, redakcja Kseni Sobczak – niegdyś złotej imprezowej dziewczyny, rosyjskiej odpowiedniczki Paris Hilton, później soft-opozycjonistki tolerowanej przez Kreml (być może przez sentyment Putina, który karierę polityczną zaczął pod skrzydłami ojca Kseni, pierwszego mera Petersburga), w ostatnich latach skracającej ku propagandzie – opisuje historię 23-letniego moskwianina. Który z sukcesem przeszedł wszystkie testy podczas rekrutacji, ale nie został przyjęty do pracy, bo na końcu „tarolog z HR orzekł, że się nie dogadają”.

Na problem zwrócili uwagę nawet deputowani Dumy. Na wieść o tym, że tarologów zatrudniają poważne firmy, Andriej Swincow oświadczył: „Tacy ludzie pojawili się w absolutnie ogromnej liczbie, całkowicie niezgodnej ze zdrowym rozsądkiem. Ludzie zamiast do szpitali, do psychologów, do przyjaciół i znajomych czy nawet rodziców idą po poradę do kart. A karty to tylko obrazki na tekturze”. I zapowiedział zakaz reklamy usług wróżek i tarologów. A także zaapelował o wprowadzenie obowiązkowych licencji dla psychologów. „Kiedy psycholog ma wykształcenie z jakiejś szkoły internetowej, która wydaje dyplomy, komu popadnie, to jest niezwykle niebezpieczne”.

Brzmi dobrze i słusznie, i teoretycznie ustawa ma ukrócić rzeczywiście poważny problem. Ale wystarczy rzut oka do dokumentu, nad którym wkrótce będzie obradować Duma, by zauważyć szereg niepokojących zapisów. Jeden z punktów głosi, że ustawa „zobowiązuje psychologów do kierowania się w działalności zawodowej tradycyjnymi rosyjskimi wartościami duchowymi i mo-

ralnymi”. „Cóż, miejmy nadzieję, że te wartości nie obejmują pochwały przemocy, bicia dzieci, maniakalnego prześladowania i straszenia” – ironizował w „Forbesie” Iwan Kowaliow, szef sieci wsparcia dla ofiar przemocy domowej.

Niewiele przesadził. Psychiatrzy oraz psychoterapeuci – prosząc o anonimowość, tak duży jest strach – opowiadali niedobitkom niezależnych dziennikarzy, jak szereg represyjnych przepisów, wojna i ogólnie coraz twardsza dyktatura wpływają na ich pracę. Okazuje się, że nieufność i lęk przed narażeniem się czują nie tylko ci, którzy pomocy szukają, ale i ci, którzy ją świadczą.

Psychiatra z Sankt Petersburga opowiadał reporterom „Takije Diela”, że coraz trudniej jest rozmawiać z pacjentami. „Nie chodzi nawet o to, że musisz podzielać opinię pacjenta czy boisz się dzielić się własną. Mówię o powszechnej ogólnej ludzkiej niepewności i poczuciu zagrożenia”. Lekarz nie ma na myśli small talku w gabinecie, tylko tematy, które dotyczą zdrowia i dobrostanu człowieka, ale dla władz stały się polityczne. „Zmiany w prawie w ostatnich latach często są sprzeczne ze stanem współczesnej psychiatrii. Chodzi o kwestie płci, preferencji seksualnych, rodzenia dzieci. Lekarze znaleźli się w sytuacji, w której rzetelne informowanie i leczenie pacjentów stało się kryminalne”.

Inny specjalista, psycholog z Ufy, wprost orzekł, że w wielu przypadkach obowiązujące w Rosji prawo właściwie przekreśla sens uprawiania jego zawodu. „Muszę filtrować słowa. Bardzo trudno osiągnąć szczerą relację z pacjentem w takich warunkach: terapeuta jest stale w napięciu, ostrożnie dobiera słowa, bo nie czuje się bezpiecznie”. I przyznał, że problemy takie jak wojna, ale też kwestie tożsamości czy orientacji seksualnej, które zasługują na szczególną opiekę i uważność terapeuty, najbardziej go stresują. „Każde moje słowo, gest lub nawet jego brak może kogoś dotknąć i wtedy mogę się narazić”.

Przepis, który planuje Duma, idzie dalej. Psychoterapeuta będzie miał obowiązek spełnienia żądań policji, prokuratury oraz innych organów ścigania. Będzie musiał ujawniać tajemnice zawodowe bez nakazu sądu. „Ta ustawa wzmocni bezpieczeństwo narodowe” – deklaruje deputowana Ostanina. – Przecież nie ma nic złego w tym, że terapeuci będą przesłuchiwać, jeśli ich pacjent zostanie posądzony o współpracę z zagranicznymi służbami.

Rosnąca aktywność Z-psychologów nie pozostawia złudzeń, że wśród specjalistów, u których Rosjanie w coraz większej licznie będą szukać pomocy, nie zabraknie działających w służbie państwa. Brzmi przerażająco, wręcz dystopijnie, ale w istocie będzie powrotem do przeszłości. Badający i opisyujący rosyjskie specjuszy portal śledczy Agentstwo zwraca uwagę, że sądy coraz częściej skazują ludzi na przymusowe leczenie psychiatryczne.

Rzecz w tym, że do „psychuszek” trafiają przede wszystkim nie ludzie naprawdę niebezpieczni, niepoctylni, stwarzający zagrożenie dla zdrowia i życia bliźnich, ale ci, których organy ścigania oskarżają w oparciu o artykuły polityczne, w tym o nie-sławną, elastyczną do granic „dyskredytację działań rosyjskiej armii”. Dziennikarze Agentstwo zauważyli, że gdy przed inwazją na Ukrainę do szpitali psychiatrycznych przymusowo kierowano do trzech osób rocznie, to w 2023 r. „niebezpiecznych chorych” było już 25.

– Powrót Rosji do ducha, metod, tradycji i ambicji państwa sowieckiego ożywił już wiele instytucji totalitarnego reżimu komunistycznego, a wśród nich – wykorzystanie psychiatrii do celów politycznych – komentuje w Radiu Swoboda moskiewski obrońca praw człowieka i dziennikarz Aleksandr Podrabinek. – Nie, nie ma jeszcze nawału represji psychiatrycznych, seryjnego diagnozowania „schizofrenii bezobjawowej” i masowych doniesień o torturach z użyciem neuroleptyków. System nie jest jeszcze dopracowany. Ale to dopiero początek. ●

WYPRZEDAŻ

Zaoszczędź 55%

KK47000 Krzesło Safari Kaare Klint



Jesion, biały olej, skóra Thor 301
Wcześniej: 10.561 zł Teraz: 4.752, 45 zł

BM5568 Leżak z poduszką Børge Mogensen



FSC-certyfikowany tek niewykończony, Hertiage Papyrus 18006
Wcześniej: 3.851 zł Teraz: 1.732,95 zł

DO
27 CZERWCA 2025

BM1871 Ławka Børge Mogensen



FSC certyfikowany tek, niewykończony
Wcześniej: 3.673 zł Teraz: 1.652,85 zł

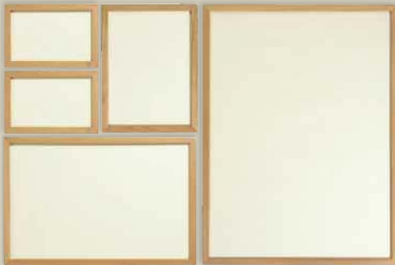
CU BM1871 Poduszka
Wcześniej: 1.183 zł Teraz: 532,35 zł

BM0703 Talerz Drewniany Børge Mogensen



FSC - certyfikowany tek lub dąb olejowany od Ø19 do 31 cm
Wcześniej: od 106 zł Teraz: od 47,70 zł

Ramka Kaare Klint



Dąb lub tek lakierowany, od 20x15 cm do 80x60 cm
Wcześniej: od 234 zł Teraz: od 105,30 zł

Flagship Store Warsaw
Plac Powstańców Warszawy 9
00-039 Warszawa
warsaw@carlhansen.com

Wtorek - Piątek 10:30-19
Sobota 10 - 16
Niedziela Zamknięte
+48 534 933 920

FSC® C135991


BY APPOINTMENT TO
THE ROYAL DANISH COURT
CARL HANSEN & SØN

Z FRANCISEM FUKUYAMĄ*
ROZMAWIA MATEUSZ MAZZINI

Koniec z liberalizmem, żyjemy w czasach post-liberalizmu?

– Nikt tego zjawiska jeszcze precyzyjnie nie zdefiniował, a to nasz zasadniczy problem: post-liberalizm, ideologia zwrócona przeciwko państwu administracyjnemu i klasycznemu liberalizmowi w stosunkach społecznych. Można powiedzieć, że bazę dla niego stanowią konserwatywni katolicy w USA. Jest w tym gronie kilka wpływowych postaci, które identyfikują się z post-liberalizmem, jak chociażby J.D. Vance czy Patrick Deneen, ale ich projekt jest całkowicie nierealistyczny z politycznego punktu widzenia. Oni chcieliby, żeby całe społeczeństwo przyjęło katolicką, bardzo konserwatywną interpretację moralności – i żeby to przełożyło się na zasady, w ramach których działa państwo. To się nie wydarzy.

Post-liberalizm to jednak nie tylko walka ze „zgnilizną moralną”. Skąd jego orędownicy się wzięli i dlaczego nienawidzą państwa jako instytucji?

– Częściowo da się to wytłumaczyć ogólną niechęcią do bycia ograniczanym przez prawo. Niektórzy ludzie w tym ruchu uważają, że liberalny porządek konstytucyjny, rządy prawa, wzajemne ograniczanie się instytucji – to wszystko złe rzeczy i powinny być eliminowane. Ale uważam, że to nie jest realistyczny program polityczny – w takim znaczeniu, że ciężko będzie go całościowo wprowadzić w życie.

Rozumiem jednak, skąd się bierze. Wielu ludziom w USA naprawdę przeszkadzała ofensywa polityki tożsamościowej, feminizm, walka o prawa osób transpłciowych. Właśnie w całym tym szerokim wachlarzu liberalnych postulatów należy upatrywać źródeł konserwatywnego gniewu – i ten gniew z nami wszystkimi długo jeszcze zostanie.

Czym innym jest jednak sprzeciw wobec nowych zaimków, a czym innym szeroko zakrojona ofensywa mająca na celu całkowite zniszczenie lub zredukowanie do minimum wielu instytucji, nie tylko państwowych. Media i uniwersytety to przestrzeń zdominowana przez intelektualistów, białe kołnierzyki, osoby wykonujące pracę umysłową. Ideologowie post-liberalizmu chcieliby całą tę przestrzeń zlikwidować.

– To projekt tak dalece nierealistyczny, że naprawdę mam problem z traktowaniem go poważnie. Oczywiście, ekosystem mediów zmienia się w bardzo szybkim tempie, tradycyjne media mają już znacznie mniejszy wpływ na rzeczywistość niż wszystko co się dzieje w internecie. Duża część tego, co zwykło nazywać się debatą publiczną, dawno przeniosła się do mediów społecznościowych. W tej przestrzeni przeważają głosy prawicowe, popierające post-liberalizm, więc w tym zakresie ich strategia ma częściowe szanse na powodzenie. Ale wyeliminowanie uniwersytetów z amerykańskiego społeczeństwa jest bzdurą. Nie da się tego zrobić. Niektórzy na prawicy forsują wizję stworzenia alternatywnych uczelni, na których dominowałyby wartości społecznego konserwatyzmu. Tylko że gdyby coś takiego powstało, nigdy nie byłoby w stanie zbierać kompletnie kadry dydaktycznej i badawczej. Na razie próbuje się to zrobić na jednej uczelni, University of Austin. Ale to jedna szkoła, bez rozpoznawalności i prestiżu. Nie uda im się zniszczyć edukacji wyższej w USA.

Ale establishment naukowy już jest niszczone, rząd Trumpa bierze go głodem. Obcina im granty, zabiera finansowanie publiczne. Jest pan pewien, że absurdalność tej strategii powstrzyma kapłanów nowej ideologii przed jej kontynuowaniem?

– Myślę, że powstrzyma. Moim zdaniem oni zrozumieją, że amerykańskie bogactwo i siła tego kraju zależy w dużej mierze od tego, jak dobre są amerykańskie uniwersytety. Poza tym uważam, że prawicowi post-li-

Francis Fukuyama:

Chińczycy starwają tamy, budują mosty

AMYNIE

– Z tego głównie bierze się frustracja prawicy, nie z zaimków na wizytówkach kadry Harvardu – mówi słynny amerykański politolog.

beraliści nie nienawidzą uniwersytetów jako takich, ale przeszkadzają im po prostu niektóre aspekty ich funkcjonowania. Jeśli będą w stanie odtrącić kilka symbolicznych wygranych, to powinno im wystarczyć.

To porozmawiajmy o społecznym aspekcie tego zjawiska. Czemu ono ma tak wysokie poparcie wśród Amerykanów?

– Od razu panu powiem, że się z panem nie zgadzam. To poparcie naprawdę nie jest takie duże. Biorąc pod uwagę strukturę elektoratu, można powiedzieć, że z tymi postulatami identyfikuje się może 30 proc. wszystkich, którzy zagłosowali. A przecież frekwencja była niska. To oznacza, że ruch post-liberalny nie jest wcale aż tak popularny w amerykańskim społeczeństwie jako całość. Ludzie głosowali, kierując się rozwiązaniami proponowanymi przez kandydatów w konkretnych kwestiach. Głosowali w sprawie imigracji, inflacji, sytuacji ekonomicznej. To są poważne problemy Amerykanów i oni nadal będą je poważnie traktować. Nikt nie wyniósł Trumpa do władzy, bo chciał, żeby zniszczono Harvard.

Zresztą sam Trump nie jest w stanie oprzeć się sile marki, jaką mają te uczelnie. Mówi przecież o sobie, że jest tak bystry, że mógł spokojnie dostać się właśnie na Harvard...

Gdzie jednak nie dostał się jego najmłodszy syn, Barron.

– I widać, że Trumpa to drażni, ma dla niego znaczenie. Publicznie chwalił przecież Vance'a za to, że jest absolwentem Yale. Trump ma bardzo ambiwalentne podejście do uniwersytetów. Z jednej strony rozumie potęgę ich marki, podoba mu się prestiż, który je otacza. Z drugiej – łatwo mu je krytykować, bo on nie wywodzi się ze świata ukształtowanego przez Ligę Błuszczową: liberalnego, wykształconego, progresywnego.

Tylko czy plan zniszczenia uniwersytetów nie uzyska poparcia społecznego z innych przyczyn? Mam wrażenie, że wielu Amerykanom jest obojętne, co się stanie z uczelniami czy mediami, bo widzą je jako elementy systemu, który po prostu jest niewydolny, skoro nic im nie jest w stanie dać.

Współtworzę grupę badawczą, która przygotowuje rozwiązania na moment, kiedy konserwatyści zorientują się, że zaszedł za daleko

– Niewydolna część systemu nie odnosi się do uniwersytetów czy mediów. To prawda, w Ameryce mamy potężny problem z przedstawianiem obywatelom rozwiązań w polityce publicznej, które naprawdę by działały. Ale to coś zupełnie innego niż atak na media i uczelnie. Spójrzmy na dane ekonomiczne. Spośród wszystkich sektorów amerykańskiej gospodarki jeden z najwyższych spadków produktywności widać w budownictwie. I to widać gołym okiem, bo ten sektor jest znacznie mniej wydajny niż 30-40 lat temu. Przyczyną jest biurokracja, zbyt wiele regulacji, skomplikowane zasady planowania przestrzennego. Papierologia sprawia, że ciężko jest dzisiaj w USA zbudować właściwie cokolwiek.

Dam panu przykład. Administracja Bidena przeprowadziła przez Kongres ustawę o rozbudowie infrastruktury internetowej w najuboższych częściach kraju. Wydali na to 40 mld dol. I niech pan zgadnie, ilu abonentów udało się do tej sieci podpiąć, kiedy Biden odchodził z urzędu.

Ostrożnie powiem, że kilka tysięcy.

– Zero. A dlaczego? Dlatego, że rząd federalny po prostu nie umie budować infrastruktury, nie ma odpowiednich zdolności w tym zakresie – przyczyn jest cała masa. I kiedy Amerykanie mówią, że system nie działa, to odnoszą się najczęściej do tego typu problemów, a nie zaimków w stopkach mailowych pracowników uczelni.

Myślę, że każdy zdaje sobie sprawę z dominacji USA w rozwoju technologicznym – także ludzie Trumpa. Nie będą chcieli zniszczyć Doliny Krzemowej, bo w ten sposób zniszcziliby swoją przewagę technolo-

giczną. Dobrze pokazuje to kwestia sztucznej inteligencji. Niektórzy się jej boją, ale przecież nie zamierzają przestać inwestować w jej rozwój, bo tak czy inaczej wiedzą, że sztuczna inteligencja to przyszłość. Poza tym boją się Chin, tego, że Chińczycy nas prześcigną w innowacjach. Ale Pekin jest też lepszy, np. w budowaniu infrastruktury. Inicjatywa Pasa i Szlaku dowodzi tego najlepiej. Chińczycy stawiają tamy, budują lotniska, mosty – a my nie. Z tego też bierze się frustracja prawicy.

Jestem ciekaw, czy tę frustrację da się zagospodarować wewnątrz systemu demokratycznego – czy ona jednak musi zawsze być skierowana przeciwko demokracji.

– W przeszłości Amerykanie potrafili zbudować most Golden Gate czy Zaporę Hoovera w kilka lat. Nie ma wątpliwości, że demokracje są w stanie szybko i wydajnie realizować ambitne projekty. Jednak demokracje z lat 90. czy początku XXI w. straciły tę zdolność z powodu puchnącej biurokracji. A to da się przecież odwrócić.

Wiele rzeczy w tym zakresie już się zresztą toczy. Powstaje ruch społeczny skupiony wokół ekonomii dostatku, doktryny zaproponowanej przez Ezrę Kleina z „New York Timesa” i Dereka Thompsona z „The Atlantic”. Uważam że to rozsądna propozycja. Oni nie mówią, żeby pozbyć się regulacji w całości, tylko żeby je zmienić. Regulacje nie muszą, wręcz nie mogą być obezwładniające. Dobrym przykładem jest kryzys bezdomności w Kalifornii, gdzie mieszkań brakuje najbardziej. To mój stan, widzę to na co dzień. Nie budujemy wystarczająco dużo mieszkań, bo blokuje nas biurokracja. A biurokrację wspierają najczęściej osoby o poglądach progresywnych, które jednocześnie najbardziej chcą rozwiązać kryzys bezdomności.

Dlatego uważam, że ekonomia dostatku to program, który z łatwością mógłby zostać podłapany przez demokratów, tych przez duże „D” i małe „d”. Mogą to zrobić instytucje społeczeństwa obywatelskiego, albo Partia Demokratyczna pod nowym przywództwem.

Niech mnie pan poprawi jeśli się mylę, ale z europejskiego punktu widzenia ta debata nie przypomina już walki Demo-

FOT. MATERIAŁY PRASOWE IMPACT



*Francis Fukuyama

• amerykański politolog, filozof polityki, ekonomista. Wykładowca Uniwersytetu Stanfor-da. Związany z administracją prezydencką Ronaldą Reagana. Autor słynnego eseju „Koniec historii?”, w którym przewidywał zakończenie procesu historycznego wraz z upadkiem komunizmu na przełomie lat 80. i 90. Był gościem Impact’25 w Poznaniu.

Trump będzie obstawał przy swoim wbrew SN, wtedy złamie konstytucję w sposób widoczny gołym okiem, i naprawdę znajdziemy się w sytuacji kryzysowej. Jeszcze nie doszliśmy do tego punktu, ale nie jest wykluczone, że nastąpi to w ciągu paru miesięcy.

I wtedy uprawnionym stanie się stwierdzenie, że Stany Zjednoczone nie są już demokracją?

– Jest jeszcze jeden dalszy etap. Pierwszym ograniczeniem dla władzy Trumpa, które wciąż istnieją, są, jak mówiłem, sądy. Drugą są wybory. W Stanach niedługo, jesienią 2026, będą wybory połówkowe do Kongresu, potem kolejne wybory prezydenckie.

Pozwoli pan, że będę sceptykiem. Adam Przeworski, polsko-amerykański politolog, napisał niedawno w serwisie Substack, że nie wierzy w uczciwość kolejnych wyborów prezydenckich w USA. Jego zdaniem, gdyby Trump chciał je przeprowadzić, nie realizowałby programu, który jest wyborczym samobójstwem, zwłaszcza w gospodarce.

– W tym komentarzu zawiera się kilka rzeczy, które musimy omówić. Zaczalbym od tego, że moim zdaniem Trump kompletnie nie zdaje sobie sprawy z tego, jak bardzo szkodliwe dla wyniku wyborczego są działania jego administracji.

Serio? Aż tak?

– Tak. Jest absolutnie przekonany, że jeśli będzie dalej realizował swój program, nakładał cła, zmuszał inne kraje do posłuszeństwa, to naprawdę wprowadzi USA w złotą erę. Wierzy, że dzięki niemu wrócą miejsca pracy w zakładach produkcyjnych, dochody z podatków wzrosną i wszystkim będzie żyło się lepiej – choć nic z tych rzeczy się nie stanie. Trump tego nie rozumie, u niego to problem na poziomie poznawczym. Druga kwestia to przeprowadzenie wyborów. Jeśli wynik będzie na ostrzu noża, Republikanie już teraz ustawiają się w pozycji, w której mogą manipulować ostatecznym rezultatem. Trump niedawno podpisał dekret, który był właściwie zestawem instrukcji do przeprowadzenia kolejnego głosowania – na czele z wyeliminowaniem oddawania głosu za pomocą maszyn wyborczych. Nie byłoby głosowania korespondencyjnego, wcześniejszego – wszystkich tych rzeczy, które zdaniem Trumpa dały zwycięstwo Demokratom w 2020 r. On oczywiście mówi o „kradzieży”, ale wiadomo, że chodzi o triumf Bidena, który był odrzuceniem pierwszej kadencji Trumpa.

Republikanie przygotowują się więc na scenariusz, w którym, przy niewielkiej różnicy głosów mogliby sfalszować ostateczny wynik. Ale jeśli wyborcy odrzucą go przy urnie w sposób znaczący, nie uda mu się powstrzymać zmiany władzy.

Czy ten post-liberalny model ma szansę zaistnieć gdzieś indziej?

– On już istnieje gdzieś indziej, także w Europie. Program PiS i ich styl rządzenia ma wiele punktów wspólnych z trumpizmem. Niemieckie AfD jest jeszcze bardziej ekstremalne. Najważniejsze pytanie w tym kontekście dotyczy jednak tego, co dalej. Czy ten model jest w stanie przynieść trwale rządy, które dadzą ludziom stabilność i dobrobyt? Mam poważne wątpliwości. Proponowany przez tych polityków protekcyjizm gospodarczy

nie jest dobry dla nikogo. A ich wizja nacjonalizmu raczej sprowadzi na nich kłopoty.

Dlaczego?

– Trump chce przejąć Grenlandię. Jej mieszkańcy tego nie chcą. W ten sposób Ameryka ryzykuje wywołaniem konfliktu z sojusznikami, ale przede wszystkim pokazuje autorytarnym państwom na całym świecie, że one mogą robić, co chcą. Chiny mogą sobie zająć Tajwan, bo tak się przecież zachowują wielkie mocarstwa. W ten sposób skończymy wszyscy w świecie ogromnych niestabilności.

Świadomość tej niestabilności wystarczy, żeby ludzie przestali głosować na Trumpa i podobnych mu polityków?

– Nie wystarczy. Już wcześniej nie wystarczała. Ale nie o to w tym chodzi. Wyborcy najczęściej głosują, kierując się kwestiami w polityce krajowej. I tutaj cały ten projekt Trumpa nie będzie specjalnie atrakcyjny. Wyższe bezrobocie, wyższa inflacja, niski wzrost gospodarczy – i wojny na całym świecie. To nie jest rzeczywistość, w której wielu ludzi chciałoby żyć.

No właśnie. Niski wzrost gospodarczy – to jest fraza odmieniana przez wszystkie przypadki w Europie. Czy pana zdaniem liberalna demokracja z wolnorynkową gospodarką to system, który nawet po modyfikacjach jest w stanie jeszcze przynieść dobrobyt, czy jednak czas ogłosić śmierć tego układu i szukać nowych doktryn?

– Mario Draghi, były szef Europejskiego Banku Centralnego, już napisał, i to bardzo dokładnie, co Unia Europejska powinna zrobić, żeby mieć wyższy wzrost gospodarczy. Większość ekonomistów pewnie się z nim zgadza. Potrzeba mniej regulacji, więcej konkurencji, mniejszej awersji do ryzyka. Kierunek jest jasno określony. Unia jednak nim nie podąża, bo z politycznego punktu widzenia jest w niej zbyt wiele wewnętrznych interesów, które zostałyby naruszone w tym scenariuszu. Ale to wszystko jest możliwe w ramach demokracji liberalnej.

Jeśli spotkamy się za cztery lata, będziemy mogli rozmawiać o amerykańskich wyborach prezydenckich z 2028 r. jako o wyborach, które miały jakieś znaczenie?

– One będą miały ogromne znaczenie. Mogą nie pójść po mojej myśli, ale na pewno będą ekstremalnie ważne.

Ale czy będą mogły przynieść zmianę?

– Jasne, choć trzeba podkreślić, że okno na dokonanie tej zmiany jest bardzo wąskie. Nie uważam, żeby był możliwy powrót do świata sprzed 2016 r. Takiego liberalnego internacjonalizmu już nie będzie. Nawet po stronie Demokratów panuje przekonanie, że Ameryka ma poważne problemy. Partia Demokratyczna stała się partią wykształconych mieszkańców miast z klasy średniej, stracili kontakt z klasą pracującą. Bunt społeczny kiedyś zamieszkiał lewą część sceny, teraz przeniósł się na prawo. Przyszła opozycja będzie wyglądać inaczej niż tradycyjne ruchy sprzeciwu.

Nigdy już nie doświadczymy takiego świata, jak w poprzednich dekadach. Zresztą nawet jeszcze za czasów Obamy nastąpiło powolne wycofywanie się Ameryki z międzynarodowego zaangażowania. Rzeczywistość będzie bardzo odmienna od tej, do której jesteśmy przyzwyczajeni.

Zadałem to pytanie z konkretnego powodu. Wróć jeszcze raz do Adama Przeworskiego, bo jest autorem mojej ulubionej, tzw. minimalistycznej definicji demokracji. Napisał kiedyś, że „demokracja to ustrój, w którym partie przegrywają wybory”. Ktokolwiek sprawuje władzę, musi być w stanie przegrać. Republikanie będą w stanie przegrać w 2028 roku?

– Jeżeli Amerykanie będą chcieli odsunąć Republikanów od władzy, nic ich nie powstrzyma. ●

kratów z Republikanami, tylko sporu tych, którzy chcą zlikwidować państwo administracyjne jako całość, z tymi, którzy chcą go bronić. Mam rację? Jak się bronić przed kimś takim jak Peter Thiel czy J.D. Vance – ludźmi, którzy nie wierzą, że państwo da się reformować, więc należy je usunąć?

– Nie jestem wcale pewien, że oni chcą wyeliminować państwo z gry. Proszę spojrzeć na ich ruchy w zakresie obronności – włożyli dużo wysiłku, poświęcili sporo czasu na to, żeby rozbudować zdolności państwa na granicy z Meksykiem, poszerzyć kompetencje niektórych służb mundurowych. Z państwem siłowym, z aparatem przymusu nie mają więc żadnego problemu. Natomiast w przypadku reszty państwowych instytucji oni po prostu nie mają bladego pojęcia, co właściwie robią. Narzekają na ogromny dług publiczny, a sami zaraz go zwiększą w znaczący sposób, zwalniając masę urzędników z IRS, amerykańskiego fiskusa. Nagle okazało się, że najbardziej dochodową rzeczą, jaką możesz robić, będąc rządem, to pobór podatków. Więc administracja Trumpa chce zysków z podatków, ale jednocześnie jest gotowa zniszczyć instytucję, która te zyski generuje. To sprzeczność.

Sprzeczność jest znakiem rozpoznawczym tej ekipy, na razie się tym nie przejmują.

– A jednak prędzej czy później zorientują się, że nie są w ten sposób w stanie realizować swoich celów. Zderzą się z rzeczywistością.

Współtworzę nawet grupę badawczą zajmującą się przygotowaniem rozwiązań na moment, kiedy to się stanie – kiedy konserwatyści zorientują się, że zaszli za daleko.

Pan wierzy, że ten moment nastąpi?

– Jestem o tym przekonany. Konserwatyści w USA zorientują się, że zniszczyli tak dużo ze zdolności działania państwa, że nie są w stanie realizować własnych celów programowych. Kiedy to się stanie, będziemy gotowi na poważną rozmowę o tym, jak zreformować amerykańskie państwo.

Jak do tego wszystkiego ma się kwestia praworządności i konstytucjonalizmu? Jest wielu, zarówno wśród Demokratów, jak i antytrumpowych Republikanów,

którzy mówią, że Ameryka po zakończeniu tej kadencji nie będzie już demokracją konstytucyjną.

– To poważne zagrożenie, jak najbardziej realne. Trump powiedział niedawno w wywiadzie, że nie zgadza się z konstytucyjnym obowiązkiem zapewniania każdej osobie w USA uczciwego procesu sądowego. On przed całym narodem składał przysięgę, w której zobowiązał się do ochrony konstytucji, a teraz mówi, że w sumie nie do końca sam wie, co to znaczy.

Ta przysięga ma więc jeszcze jakieśkolwiek znaczenie?

– Na pewno nie dla niego, ale pytał pan, czy jesteśmy już w poważnym kryzysie konstytucyjnym. No to odpowiem, że jeśli mamy prezydenta, który nie wie, jakie są jego konstytucyjne obowiązki, to naprawdę mamy duży problem. Najważniejszy obrońca konstytucji nie rozumie swojej misji w tym zakresie. To jest miejsce, w którym aktualnie znajdują się Stany Zjednoczone.

Jak się przed czymś takim bronić?

– Są dwa sposoby. Po pierwsze – istnieją jeszcze sądy. One nie są w całości zależne od Trumpa. Wielokrotnie sędziowie orzekali już przeciwko niemu i jego administracji. Zdominowany przez konserwatystów Sąd Najwyższy też nie idzie zawsze po jego linii. Nie wierzę np., że jednoznacznie zabroni nadawania obywatelstwa dzieciom imigrantów, które urodziły się w USA. Ale jeśli właśnie ta instytucja powie Trumpowi, że czegoś nie może zrobić, a on zignoruje zakaz – wtedy będziemy w ogromnym kryzysie.

Do pewnego stopnia to już się przecież dzieje. Administracja demonstracyjnie olała wyrok Sądu Najwyższego w sprawie Kilmara Abrego Garcii, odesłanego do Salvadora pod zarzutem członkostwa w gangu MS-13. Sąd kazał ludziom Trumpa umożliwić jego powrót do USA, administracja powiedziała, że w razie czego podstawą samolot – i tyle.

– To skomplikowany przypadek, bo prawo jest napisane w niejednoznaczny sposób w tym zakresie. Ale wyobraźmy sobie, że dochodzi do konfrontacji z Sądem Najwyższym w kwestii właśnie obywatelstwa dla osób urodzonych na terenie USA. Jeśli

MAMA NIE CHCE O TYM ROZMAWIAĆ

Najbardziej ekstremalni polscy sportowcy



Bracia Godziek przekonali mnie, że to nie slogany szemranych coachów, jak zawsze szedłem, tylko prawda: w dowolnej dziedzinie trzeba codziennie wykraczać ze strefy komfortu.

Miłosz Kędracki

Podczas zeszłorocznego Rampage'u – najtrudniejszych, najbardziej elitarnych zawodach rowerowego freeride'u – Szymon „Szaman” Godziek zeskoczył z uskoku o znamiennej nazwie Price is Right.

Cena jest odpowiednia, ale może być wysoka: to 15 metrów swobodnego opadania, jak z dachu czteropiętrowego bloku. Długo, więc żeby nie było nudno, w trakcie zeskoku Szaman wykręcił backflipa. Tak. Opadając z piątej kondygnacji, zrobił salto w tył na rowerze! A to był dopiero początek jego linii. Frontflip (czyli salto w przód), 360 (rotacja w osi pionowej) na stromym zboczu i podwójne salto w tył. Jak mówi: „To nie szaleństwo, to matematyka na pełnym gazie”.

Wszystko zaczęło się dość niewinnie w miejscowości, o której mogę powiedzieć tylko, że leży pod Pszczyną. Najpopularniejsza kariera dla chłopaka z Susza, małej wioski na Górnym Śląsku. to praca „na kopalni”. W rodzinie Godzków tak pracował ojciec, dziadek oraz najstarszy z trójki braci Mateusz.

– Bo widzisz, wszyscy myślą, że nas jest dwóch, a to nieprawda, braci Godziek jest trzech, z tym że Mateusz to robot. Żartuję! – droczy się ubrany w skórzaną

ramoneskę Szymon, dodając z szacunkiem: – Pracuje w ratownictwie górniczym.

Kiedy przeskakuje schodki do rodzinnego domu, wygląda jak Iggy Pop wbiegający na scenę koncertu dla milionów widzów. I rzeczywiście, dla miłośników MTB, zwłaszcza w odmianach grawitacyjno-akrobacyjnych, jest jak gwiazda rocka.

Najważniejszymi igrzyskami jego domeny jest Red Bull Rampage. Wydarzenie organizowane tylko raz roku w Utah na skałach, które znamy z Looney Tunes. Tych kreskówek ze Strusiem Pędziwiatrem i nieszczyśnym Kojotem. Rysownicy Warner Bros nie przypadkiem wybrali te krajobrazy. Virgin w Utah to memiczny przykład stromizn, skalnych iglic i pionowych zboczy. A ze względu na łatwość formowania tutejszego żwiru okolice te stały się epicentrum rowerowego slopestyle'u na Ziemi.

U zarania śmiałkowicie decydowali się tylko na zjazd stromizną. Potem, żeby sprawę utrudnić, dołączyli zeskoki w przepaść. Wygrywał ten, kto przeżył, ustal albo mimo kraksy miał stylowy przejazd.

Wziąć udział w Rampage'u można tylko na zaproszenie organizatorów, którzy latami obserwują wychny potencjalnych zawodników, żeby odsiać jeszcze niegotowych. Powód jest prosty: nigdzie indziej nie występuje takie natężenie ryzyka – włącznie z ryzykiem śmierci – trudności i brutalności terenu. Szymon po raz pierwszy dostał zaproszenie na Rampage w roku 2014. Dziś na koncie ma siedem startów, w 2019 r. zdobył nagrodę publiczności za najbardziej widowiskowy przejazd, a w 2022 i 2024 zajął drugie miejsce!

Jego młodszy brat Dawid zajmował się długo BMX Dirt, czyli skokami na sztucznie formowanych z ziemi wybiciach i hopach. Był w tym świetny do tego stop-



Szymon: Ja na wysokości, nad przepaścią czuję się dużo lepiej na rowerze niż na nogach. Mam lęk wysokości



nia, że w 2022 r. zdobył złoty medal na X Games, czyli odpowiedniku olimpiady w sportach ekstremalnych. Głód sukcesów sprawił, że przesiadł się na rower z większymi kołami i tylko w ubiegłym roku wygrał i mistrzostwa świata MTB slopestyle w Whistler w Kanadzie, i wszystkie edycje kultowego Crankworx World Tour. W Polsce można go było zobaczyć, jak podczas zawodów Red Bull Roof Ride zeskakuje z dachu katowickiego Spodka. Podczas 16-metrowego lotu wykonał trik o nazwie cashroll i zwyciężył.

Czym jest cashroll? Zawodnik obraca się w powietrzu tyłem do kierunku jazdy, robi salto w tył, odwraca się o kolejne 180 stopni i ląduje jak gdyby nigdy nic.

To teraz wyobraź sobie, że futbolowy geniusz Messi albo mistrz F1 Max Verstappen mają równie zdolnego brata i razem wygrywają praktycznie wszystko, jak leci. No więc my mamy Godźków. Braci, którzy rządzą globalnie.

– W podstawówce biegaliśmy z kolegą po dachach, skakaliśmy po dachach, z balkonów. Ale ostatecznym sprawdzianem męstwa był dach przy garażu koło cze-reśni. Ma jakieś 3 metry i to był największy challenge, żeby stamtąd zeskoczyć na trawę – z cieniem wzruszenia za sztubackim uśmiechem wspomina Szymon.

Pytam Dawida, czy też z nimi biegał. – Trochę mniej. A tak w ogóle, to my za dzieciaka judo uprawialiśmy. Było sporo szarpania, dużo padów, ale się w pewnej chwili zainteresowałem rowerami.

Czyli to wszystko się zaczęło przez ciebie?! Jestem dość zaskoczony, a Dawid wyjaśnia: – Jestem 3 lata młodszy od Szymona i 6 lat od Mateusza, więc jako najmłodszy miałem poczucie, że najmniej potrafię i zabiegałem o uznanie. Chciałem robić coś fajnego, żeby z braćmi czy kuzynami móc się kolegować.

Dawid: Przez jakiś czas rodzice mieli tak, że nie oglądali relacji na żywo, dopiero powtórki. Jak już wiedzieli, że jest OK



• **Z LEWEJ:**
Szymon Godziek na zawodach Red Bull Rampage w Virgin w stanie Utah. Zdjęcie poklatkowe skoku z urwiska z saltem w tył (12.10.2024)

FOT. BARTEK WOLIŃSKI
/ RED BULL (2)

• **NA GÓRZE:**
Dawid Godziek i powietrzne ewolucje na zawodach Red Bull Roof Ride w Katowicach (1.07.2023)

FOT. DOMINIK CZERNY
/ RED BULL CONTENT
POOL (2)

Włącza się Szymon: – Jako młode chłopaki jeździliśmy z dużo lepszymi od nas kuzynami, mieliśmy też ekipę z Żor i od nich dużo się nauczyliśmy. A do Rybnika jak jeździliśmy! Tam była taka „hopa z dziurą” – Monstrum. Serce tak waliło, żeby to przelecieć.

– Ten strach nam towarzyszył w trakcie każdego wyjścia na rower. To był nasz chleb powszedni – uzupełnia Dawid.

– To było codzienne przełamywanie się. Każda sesja na rowerze to musi być jakiś postęp. To nie musi być całkiem nowy trik – dorzuca starszy brat.

Zastanawiam się głośno, czy rodzeństwo nie jest przypadkiem od tego hormonu uzależnione.

– Myślę, że mam ADHD i jak nie mam adrenaliny, to jestem megazamulony i potrzebuję stymulacji stresem – rzuca Szymon. Dawid: – Ja to próbuję regulować. Po sezonie, zimą, całkowicie się od tego haju dopaminowego odcinam. Wiem, że jak przyjdzie jakaś kontuzja albo czas, że już nie będę mógł jeździć, muszę umieć sobie ze sobą poradzić.

– Kiedyś poprosiłem o wsparcie psychologiczne mojego sponsora Red Bulla. Przeszedłem trochę sesji, ale nie do końca nadawaliśmy na tych samych falach, więc szukałem dalej, na własną rękę. Przesłuchałem masę podcastów i troszkę się przesycałem – ciągnie Dawid. – Ale moja partnerka studiuje psychologię, więc razem sobie w tych tematach krążymy. Okazało się, że Andżelika lepiej na mnie oddziałuje.

Na co Szymon włącza się w kontrze: – Ja nigdy nie odczuwałem konieczności pomocy. A jeśli już, to starałem się dochodzić do rozwiązania samodzielnie.

W 2015 r. Szymon nagle spowolnił postępy, a Red Bull postanowił przekuć to w marketing, kręcąc „Power of Mind”, film o wszystkim, czemu musi sprostać sportowiec uprawiający tak ryzykowną dyscyplinę. Przed kamerą starszy z Godźków mówi o konieczności przygotowania mentalnego. Jest jeszcze kanciasty, brzmi, jakby czytał z kartki, i trudno powiedzieć, czy młodziutki zawodnik serio chce poznać siebie i rzeczywiście próbuje się dowiedzieć od specjalistów, jak opanować emocje w ułamkach sekund, w obliczu katastrofy, czy też realizuje scenariusz PR-owców.

Koniec końców dochodzi do spotkania z Janem Supińskim, psychologiem sportowym Polskiego Ko-

mitetu Olimpijskiego. Dzieli ich generacja i podejście do sportu. Szymon uprawia dziedzinę z prze-drostkiem „free”, opartą na intuicji i chęci wyrwania się ze schematów. Doktor Supiński zajmuje się dyscyplinami, które rozwijały regulaminy od starożytności. I w jednym zdaniu konkluduje coś, co Szymon wyczuwa. Freestyle MTB, który rodzi się na naszych oczach, i gimnastyka sportowa, obecna na igrzyskach od zara-nia, łączy coś fundamentalnego: to skondensowany do kilkudziesięciosiekundowego wysiłku występ o niezwykle skomplikowanym układzie trików, każdy ryzykowny i wymagający szczególnej koncentracji.

Bingo! Młody rebeliant słucha, choć stara się pokazać, że wie lepiej. Psycholog PKOl skrupulatnie bada Szymona, a ten uzyskuje wyniki plasujące go w pierwszej dwudziestce piątki olimpijczyków i mistrzów świata. Po czym wyznacza Godźkowi cele i metody działania. – Psychikę też można trenować – kwituje. – Systematyczną pracą można ulepszyć koncentrację, radzenie sobie z lękiem, kontrolę napięcia.

Pomysł sponsora, jak zachęcić upartego chłopaka z potencjałem do jakiejś tam psychologii, wypalił.

Kyle Strait jest weteranem Rampage’u. Pierwszy raz stanął na rampie jako 14-latek, w zamierzchłym 2001 roku, miesiąc po WTC. Jako jedyny zaliczył wszystkie edycje. Ponad 1,8 metra 90-kilogramowej zwalistej wagi, kowbojski kapelusz, rumiana uroda zażywnego Kalifornijczyka – ale z drobnym Godźkiem ma więcej wspólnego niż tylko mistrzowski level. Obaj są ojcami i obaj mają córki.

Stevie Strait często pokazuje się na socjalach rodzi-ców – bo mama też jest riderką i influencerką. W jednym z filmików na widok tatusia robiącego backfli-pa kilkulatka z zachwytu klnie jak mały szewc. Ojciec przelatuje obok niej, rzucając: „Hi, baby!”.

Ot, sielankowa scenka z życia nowoczesnej outdo-orowej rodziniki w XXI wieku. Luz blues, zaraz wszyscy wskoczą w fantazyjnie pomalowanego pick-upa i pojedą na wegańskie smoothie. Ale ogląda się ją innym okiem, gdy wie się, że podczas treningów do Rampage’u 2022 Kyle zaliczył upadek.

Rozgrzewkowy prosty skok: wybiecie, lot bez żad-nych sztuczek, łatwe przyziemienie na dobrej na-wierzchni. I koziolkowanie kilkadziesiąt metrów po

kamienistym zboczu. Może za bardzo do-
ciążył przednie koło? Może trafiło na kru-
szyznę? Nieruchome ciało, histeryczne krzy-
ki w tle, parędziesiąt minut później pierwsze
wpisy: żyje. Ale trzy złamane kręgi. Cudem
uniknął paraliżu.

Cam Zink, wyrzeźbiony jak Brad Pitt
w „Podziemnym kręgu” przystojniak z Neva-
dy o jasnym amerykańskim uśmiechu, ma
na koncie 14 morderczych edycji Rampage’u.
Ale w 2022 r. drżała mu szczęka, gdy na me-
cie wyznawał, że zrobił to „for mummy and
daddy”, a jakby tego było mało, na spodniach
flamastrem wypisał dedykację „R.I.P.” dla
cioci, która niedawno odeszła. 36-letni koń!
– krzyczy, ale wybaczymy mu sentymen-
talizm, gdy na mecie podjeżdża do rodziny
i pyta dzieciaki: – Podobało się wam?

Ledwo chodzący synek wita tatę sekwen-
cją żółwików i piątek, ale córca, na oko
6-letnia, uderza w płacz. Jakby przeczuwa-
ła, co zdarzy się dwa lata później. W dół zbo-
cza rzucił się obolały, po serii skręceń kostek
i nadgarstków, ze złamanym na treningu że-
brem. Płynny skok, czyste lądowanie, wybi-
cie, obrót do tyłu, czyste lądowanie... I nagle
figurka w hełmie turla się po zboczu. Sześć
złamanych żeber i wklęsnięte płuco.

To jeszcze obrazek, też z zeszłego roku:
dwuletni Mathew Ripley czeka z mamą Sky-
lar na powrót tatusia. On podekscytowa-
ny, ona szeroko uśmiechnięta. A mi wyświe-
tla się absolutne przerażenie na twarzy cię-
żarnej Skylar, gdy dwa lata wcześniej Ty-
ler McCaul, tuż-tuż ojciec, rozwala się na
jej oczach.

Co roku po każdej takiej scenie wraca
do mnie pytanie: czy wolno narażać własne
dzieci na oglądanie, jak tatuś łamie nogi i rę-
ce albo kręgosłup, albo zostaje warzywem?
Albo i gorzej. Z drugiej strony, cóż poradzić,
tatuś jest w pracy. Czym różni się od fedrują-
cego kilkaset metrów pod ziemią „na grubie”
górnika z tiowca przysypiającego pod ko-
niec trasy z Portugalii? Może ich profesja
jest bardziej pożyteczna. Ale o tym, co plane-
cie robi czarne złoto, wiemy nie od dziś. Po-
dobnie jak te świeże owoce morza dostępne
20 godzin na dobę w osiedlowym dyskoncie
i kontenery chińskich durnostojek.

Węc w sumie tylko tym, że ich pracy,
w której ryzyko śmierci też jest wysokie, ro-
dziny nie obserwują live, nie ma komentato-
rów, fleszy, wywiadów. Ale zazwyczaj nie ob-
serwują też pasji, spełniania marzeń, przy-
gody, życia na własnych warunkach, inspi-
racji.

Pytam więc Godźków: Na szczycie rampy
czy platformie startowej nie jesteście sami.
Tam na dole albo przed telewizorem macie
bliskich. Czy na starcie myślicie o nich? Szy-
mon, ty masz małą córkę... i przerywam, bo
widzę, że trafiłem w spłot słoneczny. „Sza-
man” stroi miny, aby głęboką emocję zaka-
muflować, udając niezdecydowanie, czy ob-
rócić pytanie w żart, czy uderzyć w podnio-
słe tony.

Glupio mi, że przesadziłem, bo na ta-
kie pytania się nie umawialiśmy. Miało być
o zwycięstwach i tych wspianiałych chłop-
kach na ich szalonych maszynach.

Szymon duka jakieś niewyraźne słowa,
aż wreszcie z wilgotnymi oczami wyzna-
je na jednym oddechu: – Yyyy tak, mmmm,
wiesz co... No... nie, myślę... Rampage to są
najtrudniejsze zawody, jeśli chodzi o mental.
Tam wszyscy idziemy jak na wojnę, a z żol-
nierzami różnie bywa. Całujemy żony, przy-
tulamy dzieci i idziemy w bój – zrobić naj-
lepszy przejazd i wrócić!

„Trochę daleko idące”, przelatuje mi myśl
o tym porównaniu i nie mogę powstrzy-
mać sceptycznej miny, bo rozmocjono-
wany Szymon zastrzega: – Ja wiem, jak to
brzmi. I wiem, jak to wygląda: tatuś wycho-
dzi do pracy i nie wiadomo, czy zasiądzie-
my wieczorem do kolacji. Zakładam, że mo-
gę skończyć zawody w szpitalu, ale mimo
to będę próbował pojechać swoje 100 pro-
cent i pokazać, co potrafię. I wiesz, to działa.
W 2022 w przejeździe finałowym bez zasta-
nowienia zrobiłem rzeczy, których nie prze-
trenowałem, bo się ich zwyczajnie bałem
– i jechałem jak w transie, czując, że wszyst-
ko się uda. I zająłem drugie miejsce.



• Dawid i Szymon na trasie Piano Ride w Tomaszowicach pod Krakowem (21.09.2015)

Ustał cios w wyobraźnię i poczucie winy, to
cisnę dalej: – Ale najszcześliwszy wydawałeś
się, wykonując najniebezpieczniejszy trik,
czyli podrzucając córeczkę w powietrze na
mecie. – Tak! Jako pięcioletka weszła na po-
dium, została obłana szampanem, aż popła-
kała się przez to... i pamięta to do dziś – Szy-
mon szczerzy się ku horyzontowi.

Czyli co? Egoistyczny sadysta czy kocha-
jący ojciec walczący o utrzymanie na trud-
nym rynku medialnym? Więc rzucam:
– A jak wspominasz to, co wydarzyło się
rok później?

Szymon pochmurnieje: – Hm, no wte-
dy na szczęście byłem sam... Po raz pierw-
szy i ostatni byłem odcity, straciłem przy-
tomność na 10 sekund. A nie zostawiłem ni-
czego na lut szczęścia. Miałem tę samą linię
co przed rokiem. Przetrenowałem wszystko,
co chciałem pokazać. I zaliczyłem najwięk-
szą głębię w życiu oraz szpital po najprost-
szej rzeczy.

Pamiętam, że gdy oglądałem ten wypa-
dek na żywo, siedziałem jak sparaliżowany.
Widziałem, jak miliony innych widzów, nie-
ruchome ciało i przez głowę przelatowały
te same co im, myśli. Po co? Czy warto? Oni
wkładają w to całe serce, media robią szum,
my się emocjonujemy, jakby chodziło o stra-
żaka wynoszącego dziecko z płonącego wie-
żowca. Albo o „szczura z Azowstalu” w Ma-
riupolu. A ja? Ojciec dwójki? Co najlepszego
robię, udając Godźka, Straita i Zinka w bi-
keparkach?

A Szymon rzuca zwięźle: – Wiesz, ja na-
wet tego nie zarejestrowałem.

Wtedy z fotela aż podnosi się brat: – To ty
nie wiedziałeś, że cię odcieło?

– No... Zobaczyłem na powtórce. A pa-
miętałem prawie wszystko – że przy pierw-
szym triku trochę mnie przygięło, więc nie
dokończyłem combo [seria trików w czasie
jednego skoku]. Miałem zakręcić kierowni-
cą 360 stopni bez trzymania, złapać ją i za-
kończyć x-upem, czyli takim skrzętem skrzy-
żowanych ramion. Ale już leciałem nie tak,
jak chciałem. Czulem, że jestem krzywo. Wy-
lądowałem trochę w miękkie obok pierw-
szego lądowiska, bo to był skok z międzylą-
dowaniem. A że byłem krzywo, wystrze-
liło mnie trochę w bok i na drugim lądowaniu
wpadłem już całkiem poza krawędź przygo-
towanej linii. Tam już było bardzo grząsko.
Przeleciałem przez kierownicę i widzę, że le-
cę, mam rozłożone ręce, lecę w tę skalę. Ude-
rzyłem głową, a kolejny obrazek to jest: pa-
trzę na nadgarstek, który mam gdzieś indziej
niż zazwyczaj. I tyle.

Mówimy o ułamkach sekund, podczas
gdy mózg Szymona zarejestrował dziesiątki
wydarzeń i drobnych ruchów, które pod-
świadomie wykonywał, żeby wyjść z opresji.

Ponieważ siedzimy w salonie mamy chło-
paków, chcę się dowiedzieć, jak ona reagu-
je na takie sytuacje. Dociera do mnie faux
pas, kiedy zapada naprawdę głęboka cisza.
Obaj unikają kontaktu wzrokowego. Słysząc
tylko, jak ona krząta się za ścianą, szykując
ukochanym synkom śniadanie.

Wreszcie odzywa się Dawid: – No bardzo
źle. Szymon z wysiłkiem się uśmiecha i pro-
ponuje, żebym ją sam zapytał, ale natych-
miast się wycofuje. Nie, mama nie bierze
udziału w wywiadach. Mama nie chce o tym
rozmawiać. Z nikim.

Znowu mam wrażenie, że chłopaki zaraz
wyrzucą mnie za drzwi, ale ciszę przerywa
Dawid: – Przez jakiś czas rodzice mieli tak,
że nie oglądali relacji na żywo, dopiero po-
wtórki. Jak już wiedzieli, że jest OK.

Szymon też już opanował mimikę: – Wie-
my, jak oni to przeżywają, bo my tu przy do-
mu trenujemy, przychodzimy jeść. Wyczu-
wam w nich taki skurcz w organizmie, nie-
naturalny sposób, w jaki reagują na wszyst-
ko. To nie jest miły okres.

Kiedyś Szymon rzucił anegdotkę, że urzęd-
nik w skarbowce nazwał go cyrkowcem. Nie,
żeby robił jakieś triki w zeznaniu podatko-
wym, ale dlatego, że jego sztuczki ludzie po-
strzegają jak wyczyny linoskoczka w cyrku.

Masters of Dirt, seria widowisk, w któ-
rych po sezonie występuje co weekend,
zwiedzając niemieckojęzyczną Europę, to
show dla rodzin, podczas którego mistrzo-
wie pojazdów z jednym, dwoma i czterema
kółkami, skacząc z ogromnych, wysokich
czasem na 3-4 piętra wybić i ramp, robią tri-
ki, od których w organizmie widza urucha-
miają się te same atawistyczne reakcje co na
widok oczu drapieżnika w mroku. Wykonu-
ją w powietrzu wielokrotne rotacje dooko-
ła wszystkich osi, wypuszczają z dłoni i spod
stóp swoje pojazdy, żeby w ostatniej chwi-
li jakimś cudem ich dosiąść i wylądować na
kołach. Robią wielokrotne salta, kręcąc kie-
rownicami, obracając nad lub pod sobą całe
rowery. Kierowca motocykla wybija się tak,
by podczas salta pasażer zamienił się z nim
pozycjami i kierował maszyną w trakcie lą-
dowania. Brakuje tylko klaunów i tygrysów
skaczących przez płonące obręcze.

Skojarzenie z Cirque du Soleil przyszło
mi do głowy, jeszcze zanim przeszedłem,
jak realizowane są oba przedsięwzięcia. Bo
w zasadzie różnią się wyłącznie prezento-
waną materią. Zatrudniają podobnych lu-
dzi, tyle tylko, że aby wcisnąć widzów w fo-
tele, jedni posługują się linami, trapezami
i wahadłami, drudzy, rowerami, motocykla-
mi, quadami, monokółkami, a czasem sku-
terami śnieżnymi. Wykonawcy – a może już
artyści? – w obu przedstawieniach dysponu-
ją podobnymi talentami, a układu ich trików
nie projektują choreografowie, ale oni sami.
Wielokrotnie przekraczając bariery narzu-
cane przez ciało i wyobraźnię.

Kati Renaud, była tancerka Cirque, dziś
jedna z jego dyrektorów, tłumaczy w „Vanity
Fair”, że akrobaci „kochają adrenalinę, a my
zatrudniamy ich ze względu na ich miłość
do adrenaliny...”. A Roman i Vitali Tomanov,
gwiazdorzy najsłynniejszego cyrku świata,
wyjaśniają swoje podejście: – Nie myślimy
– a potem działamy.

Wyczuwam w tym ściemę z kokieterią,
dlatego postanawiam zapytać u źródła.

Dawid odpowiada bez zawahania:
– U mnie nie ma czegoś takiego jak spontan.
Są momenty, w których spontanicznie chcę
wykonać nowy trik, ale to się niedobrze koń-
czy. Dlatego na zawodach jadę tylko to, co
umiem z zamkniętymi oczami. Przygotowu-
jąc się, trenuję tylko tych dziesięć trików po-
trzebnych do zawodów i idę do hotelu od-
poczywać. A następnego dnia to samo. Żad-
nej dekoncentracji.

Szymon jest mniej pryncypialny: – Cza-
mi tak jest, jak cytujesz. Boję się przelamać
do jakiegoś triku na treningach, zostawiam
go na przejazd w finale – i wychodzi. Mo-
że dlatego, że zmieniły się warunki. Kiedyś
w slopestyle’u treningi były po to, żeby obla-
tać sobie przeszkody, a ewolucje, zawodni-
cy dołączali dopiero podczas startu, bo hopy
były inne. Generowały przeloty dłuższe, ale
bardziej płaskie...

– ... przeszkody ciągle rosły, robiło się nie-
bezpiecznie szybko – wtrąca Dawid – a triki
wcale nie były bardziej spektakularne...

– ...a dziś lata się na mniejsze odległości,
ale znacznie wyżej, żeby dłużej przebywać
w powietrzu. Nowe skocznie o skromniej-
szej, bardziej ludzkiej skali sprzyjają trikowi,
choćby podwójnym rotacjom, które są me-
gaefektowne.

Zawsze mnie zastanawia, co dla takich
supermanów oznacza „normalna odle-
głość”, „bezpieczna prędkość” i „ludzki wy-
miar przeszkód”, dlatego pytam, jakie prze-
loty realizują. – 8-10 metrów – czy to dużo?
– zastanawia się Dawid i rozgląda w poszu-
kiwaniu skali porównawczej: – No to takie
dwa pokoje jak ten salon u mamy, gdzie sie-
dzimy. Bezpiecznie. Wybicie ma 3,5–4 me-
try, wylatujesz na 5 metrów, czyli w su-
mie 9...

Oblicza beznamiętnie jak nauczyciel
przeprowadzający po raz setny tę samą lek-
cję z podstaw algebry, więc nie wytrzymu-
ję, że może to i ludzka skala, ale konsekwen-
cją błędu może być upadek z drugiego pię-
tra! Ale Dawid stanowczo oponuje: – Nie,
nie. Nie ląduję na płaskim, więc trzeba by się
bardzo postarać. – Albo zdecydowanie za
szybko polecieć i wylądować za zeskokiem
– wtóruje mu Szymon. Po czym unisono tłu-
maczą jak komu dobremu, że w najgorszym
razie konsekwencją może być wskok w lądo-
wanie. Które jest nie płaskie, ale wyprofilo-
wane zgodnie z trajektorią lotów, co znacz-
nie zmniejsza siłę impaktu.

Mówią to z takimi emocjami, jakby czyta-
li instrukcję obsługi telewizora, więc pytam
o rozwijane prędkości. Szymon: – Wycucie
prędkości to jedno, ale mierzyliśmy to, więc
wiem, że maksymalnie jedziemy 75 na go-
dzinę. W terenie, a linia ma raptem parę me-
trów szerokości, więc chyba to szybko.

No chyba – zgadzam się, zauważając, że
na drodze Pszczyna – Suszec, którą do nich
przyjechałem, inżynier ruchu ograniczył
prędkość do 70 kilometrów na godzinę, choć
ma aż 6 metrów szerokości, przewidywalną
asfaltową nawierzchnię i szerokie pobocza.

Pamiętacie „Lokomotywę” Brzechwy? Wa-
gony do niej podoczekpiali, *Wielkie i ciężkie,
z żelaza, stali,/ A w jednym krowy, a w dru-
gim konie, A w trzecim siedzą same gruba-
sy/ A czwarty wagon pełen bananów, A w pią-
tym sto sześć fortepianów,/ W szóstym arma-
ta – o, jaka wielka! Pod każdym kołem żela-
zna belka.*

W przypadku projektu, w który zaangażo-
wali się Red Bull, Prada i Dawid Godziek,
zamiast armat i bananów na kolejnych wa-
gonach stały wybicia i zeskoki, żeby jadą-
cy rowerem najmłodszy z braci mógł ska-
kać z jednego wagonu na drugi. Brzmi nie
dość, że glupkowato, to jeszcze banalnie? No
więc teraz wyobraź sobie, że pociąg rusza,
maszynista bardzo precyzyjnie rozpędza go
do 23 kilometrów na godzinę. Dawid patrzy
mu głęboko w oczy i... nie naciska na pedały.
Przemierza kolejne wagony, wykonując sal-
ta i fikuśne skoki, ale nie przesuwają się wzglę-
dem ziemi! To grunt usuwa mu się spod kół.
Magia? Fizyka?

Zasada względności Galileusza mówi, że
prawa fizyki działają tak samo w każdym

układzie poruszającym się jednostajnie. Kłasyk z lekcji? Sztuczka Dawida powinna stać się kanoniczną pomocą naukową w szkołach. – Ten przejazd to doświadczalne potwierdzenie zasady Galileusza – skwitował dr Dawid Myśliwiec w popularnym kanale „Uwaga! Naukowy Belkot”. – Suma wektorów wyniosła zero.

Jego imiennik fizykiem nie jest, ale prawa fizyki opanował do perfekcji i wykorzystuje je do poruszania się po ich krawędzi. My, obserwatorzy, odbieramy to jako przekraczanie zasad fizyki. Show nakręcony na żywo, bez użycia sztucznej inteligencji ani efektów specjalnych i sfilmowany jednym ujęciem robi niebywale wrażenie, zwłaszcza oglądany z lotu ptaka. Kamera splaszcza, a i tak mam ataki lękowe. A przecież wiem, że zza kierownicy roweru to wszystko wygląda wielokrotnie groźniej. Pytam więc Dawida, co czuje, wsiadając do „pociągu byle jakiego”. A on się uśmiecha, głosząc jak Blofeld, genialny przeciwnik Jamesa Bonda, kotka, który właśnie wskoczył mu na kolana.

– Zawsze wsiadamy do pociągu, który doskonale znamy. Którym jeździmy od 20 lat. Planując trik, umiem go sobie wyobrazić w każdej fazie. Wizualizuję sobie, że go ląduję i że wszystko jest git. Doskonale wiem, jak się skończy.

Film z zawieszonym w przestrzeni niczym Neo w „Matrixie” Dawidem ma 120 milionów wyświetleń, a licznik bije. Chociaż wiem, że to fizyka i nawet ją rozumiem, dla mnie to nadal lot w kosmos, a Dawid, wciąż głosząc czarno-białego kota, tłumaczy: – W moich oczach wszystko było jak zawsze, moja trasa się przesuwiała. Wyparłem to, że on odjeżdża, a ja stoję. Pomogło mi maksymalne zawężenie pola widzenia. Pytasz, skąd wiedzieliśmy, ile ma jechać pociąg? Najprostsza matematyka. Jeśli ja potrzebuje 23 kilometry na godzinę na przeskoczenie 3-4-metrowej hopy, no to pociąg musi jechać tyle samo, żebym pozornie stał w miejscu.

Szymon doskonale rozumie tę trudność, ponieważ jego zmagania na Rampage’u 2023 rozpoczęły się od niesamowitej formacji skalnej nazwanej Battleship. To skalna grzęda przypominająca dziobową część niszczyciela o szerokości... nie, ona nie ma szerokości, ona ma wąskość.

– Faktycznie – wraca do tamtych chwil Szymon – tam jest strasznie wąsko. Lądowanie miało półtora metra, więc pół biedy, ale potem wjeżdżałem na dróżkę szeroką na 40 centymetrów. Po lewej osiem metrów w dół i gdyby tam spaść, toby było jeszcze w miarę OK, ale po prawej... Z tego bym nie wyszedł, urwisko ponad 15 metrów.

Więc jak wskakiwałem na Battleshipa, starałem się utrzymać w głowie wyłącznie myśl, że to jest mała przeszkoda i gdybym natrafił na coś takiego w bikeparku, tobym nawet nie przyhamował, tylko bez zastanowienia ciągiem pojechał i skoczył. Nawet Brendog, czyli Brendan Fairclough, nieustraszony Bryt, z którym współdzieliłem tę linię, tam nie chciał za dużo spędzać czasu. Napisał w swoich socjalach, że to „the most disgusting” fragment, jaki w życiu przejechał. Był tak przerażony tą ekspozycją, że kiedy kopaliśmy i szykowaliśmy trasę, poprosił mnie, czy bym nie dokończył tego fragmentu, i uciekł, mówiąc, że to się wszystko rusza na wietrze. Kopaliśmy przytuleni do skały. Tam nie dało się poruszać bez roweru. Przy najmniej mi, bo na wysokości czuję się dużo lepiej na rowerze niż na nogach. Mam lęk wysokości.

Po takim wyznaniu muszę zapytać o dziecięce lęki. – Miałeś coś takiego?

– No ba. Kiedy w nocy szedłem z piwnicy na górę do mieszkania do góry, to zawsze się spodziewałem, że jakaś ręka złapie mnie za kostkę, więc zawsze biegłem po schodach.

Brat ze śmiechem odpowiada: – Ja przez tę czarną jak smoła piwnicę do dziś boję się ciemności. Też zawsze biegiem wracałem na górę.

To – amatorsko psychologizuję – może przelamywanie siebie w rowerowych trikach jest walką z dawnymi i obecnymi lękami?

Dawid staje się zasadniczy: – To, co robię na rowerze, nie jest próbą uniknięcia czegośkolwiek, tylko demonstracją, że potrafię zrobić coś strasznego. Coś, czego obawia się prawie cała populacja.

Na koniec zostawiłem sobie jeszcze jedno zasadnicze zagadnienie, które jednym usprawiedliwi to całe ryzyko, drugich tylko utwierdzi w przekonaniu, że sportowcy ekstremalni to nieodpowiedzialni egoiści. – Czy dla was to skakanie na rowerze to taka pasja, że skakalibyście nawet za darmo? Pytanie jeszcze wisi w powietrzu, a Szymon już wystrzeliwuje: – Tak!

Ostatnia głoska zlewa mi się z „Nie!”. To Dawid, który moją konsternację uśmierza: – Za darmo umarło.

Czerstwe, ale i tak wybuchamy śmiechem.

– Żartuję, ale trochę nie żartuję, bo na pewno nie robiłbym tego na takim poziomie. I nie chodzi tylko o brak możliwości, czasu i pieniędzy. Zwyczajnie zabrakłoby motywacji, żeby trenować na tak strasznie wysokim poziomie i narażać się na takie niebezpieczeństwo. Chodziłbym na rower bar-

dzo często, ale bez trików, bujałbym się na skateparku, na pumptracku...

– Ale salto w tył byś sobie czasem ciachnął? – podpuszcza brat. I potwierdza: na profesjonalnym poziomie ta zabawa angażuje poważne środki. Przygotowanie niektórych trików wymaga setek godzin przygotowań, powtórzeń i specjalnej infrastruktury – wybić czy gigantycznych pneumatycznych poduch do lądowań próbnych. Szymon opowiada o kosztach, angażowaniu trenerów, ilości energii i czasu, jakie pochłania doświadczenie detali, i o spustoszeniach mentalnych w trakcie prób.

Na to ja z drugiej mańki: szacuje się, że Rampage co roku ogląda od 2 do 5 milionów ludzi na całym świecie. Jest różnica, kiedy oglądają was miliony i czujesz ciśnienie ze strony widzów, i kiedy ogląda cię dziesięciu najlepszych kumpli? Szymon wykrzywia usta, kalkuluje coś w głowie i wzrusza ramionami: – Powiedziałbym, że nie ma różnicy. – Powiedziałbym, że jest – wchodzi mu w słowo Dawid. – Bo przy 10 kumplach szarpnęlibyśmy się na coś fajnego. Jak na przykład twister no hander to barspin.

Daję się złapać na prowokację i z niewyraźną miną, bo tej nazwy za dobrze nie kojarzę, ale jej niektóre człony tak, komentuję: – Brzmi jak przeciętny hardcore.

Gdy pytałem o mamę, Szymon nie miał w oczach piorunów. Teraz naprawdę się wścieka. – Przeciętny!? Stary, Dawid jest jedynym człowiekiem na świecie, który potrafi to zrobić!

Brat próbuje trochę ostudzić atmosferę tym swoim flegmatycznym głosem: – Faktycznie skróciłem nazwę. To jest tak naprawdę 1080 front flip no hand to barspin.

Baranieję. Czekaj. Co? Wykonujesz salto w przód i w jego trakcie trzykrotnie obracasz się wokół osi pionowej, i to bez trzymanki, bo kierownicę też puszczasz w rotację? Dawid tylko kiwa głową i głaszcząc kotka bratanicy.

I jesteś jedyny na globie? Przytakuje i spokojnie strzepuje kłaczki.

Szymon trochę ochłonął, ale jeszcze się indyczy: – I jeszcze długo będzie jedyny! Wyobraź sobie, że dosłownie kilkadziesiąt ludzi umie połączyć obroty w osi pionowej z rotacją poziomą, czyli zrobić twistera, a Dawid potrafi jeszcze w trakcie zrobić trik kierownicą jak nikt na Ziemi. Jak nikt!

Front flip, barspin, twister... To hermetyczny świat i choć nisza, w której funkcjonują Szymon i Dawid, to miliony fanów i dziesiątki milionów dolarów, na które w arkuszach kalkulacyjnych producentów rowerów, ubrań i gadżetów przekładają się wy-

czyny pasjonatów, to dla pozostałych miliardów Ziemian są praktycznie przeźroczystości. Nie mają kontraktów z pięcioma czy sześcioma zerami i letnich domów na tropikalnych ani nawet mazurskich wyspach, ich popularność ma się nijak nawet do tej, którą zapewnia gra w rodzimiej siermiężnej piłkarskiej Ekstraklasie.

Ale chłopaki udowadniają, zdaje się, że szczerze, że dla tych paru, parunastu milionów mniej odważnych – czy bardziej odpowiedzialnych? – lecz równie gorących sercem zajawkowiczów warto podjąć ryzyko przekraczające rozsądek, a nawet nadwerężające relacje z najbliższymi.

Czuję, że nie dowiedziałem się, co tak naprawdę drzemie w głowach braci Godziek, tylko delikatnie podrapałem naskórek, więc nie będę się mądrzył. Ale rozmowa z nimi wyjaśniła mi kilka spraw dotyczących mnie samego. Że to wcale nie slogany szemranych coachów, jak zawsze sztydziłem, tylko prawda: w dowolnej dziedzinie trzeba codziennie wykraczać ze strefy komfortu i co dzień realizować choćby mikroskopijny postęp.

Powtarzać czynności aż do osiągnięcia perfekcji. Umieć definiować procesy i dzielić je na etapy, zawężyć koncentrację do najważniejszych czynności dla aktualnego tu i teraz. Nie w trikach na krawędzi życia i śmierci, w jakiś biznesowych czy artystycznych przestworzach, ale zwykłym życiu, w pracy nad 12 projektami naraz, w negocjacjach ze współpracownikami, w niwelowaniu sporów z członkami rodziny.

Ale też – że warto być wiernym swoim marzeniom i mieć szacunek do samego siebie. ●



FOT. BARTEK PAWLIKOWSKI

Miłosz Kędracki

• założyciel i w latach 2002-19 właściciel „bikeBoardu”, kultowego miesięcznika rowerowego, pierwszego w kapitalistycznej Polsce czasopisma zajmującego się rowerami górskimi. Obecnie niezależny ekspert, konsultant i publicysta, dumny, że po blisko 30 latach w branży rowerowej wciąż może o sobie powiedzieć: MiłoznikRowerow. Na kanale YouTube o tej nazwie prezentuje testy rowerów różnego typu: od miejskich po najnowsze sportowe bolidy.

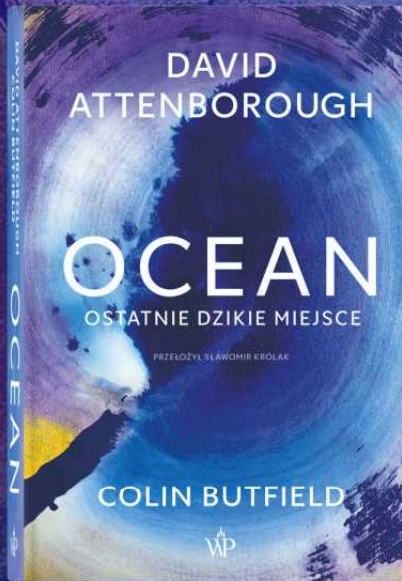
REKLAMA

Kraj/3437161

Pod powierzchnią wody kryje się przyszłość świata!

Ta książka przypomina wspólne nurkowanie z wybitnym ekspertem, w ciszy i z szacunkiem dla oceanicznych tajemnic.

ADAM ROBIŃSKI



WP
WYDAWNICTWO
POZNAŃSKIE

ZAMÓW KSIĄŻKĘ NA wydajenamsie.pl

Wydaje
nam się

Kto się boi *pornomiami*

Z MARTĄ ŁACHACZ,
KOORDYNATORKĄ SCEN INTYMNYCH
ROZMAWIA KRYSZYNA ROMANOWSKA



• Serial „Lady Love” (2024)
z Anną Szymańczyk w roli
Polki robiącej karierę
w branży porno na Zachodzie

FOT. MARCIN MAKOWSKI/MAX

Nie chcemy, żeby aktorzy musieli być silni. Chcemy, żeby mieli bezpieczną przestrzeń na podejmowanie świadomych decyzji co do swojego ciała.

KRYSZYNA ROMANOWSKA: „Dziewczyno, jestem z czasów, gdy po prostu rozbierasz się, kładziesz do łóżka i kamera jest włączona” – powiedziała Gwyneth Paltrow magazynowi „Vanity Fair”. Słynna aktorka na planie filmu „Marty Supreme” w reżyserii Josha Safdiego, nie chciała obecności koordynatora scen intymnych.

MARTA ŁACHACZ: Smutno to słyszeć. Gdzie tu człowiek? Paltrow potwierdza, że „za jej czasów”, czyli całkiem niedawno, nie było żadnych standardów. Sceny intymne kręciło się jak każdą inną scenę – bez wcześniejszych prób, bez ustalania granic. Aktorzy mieli po prostu zrobić swoje. Nikt nie myślał o ograniczaniu ekipy do osób,

które faktycznie są potrzebne do zrealizowania sceny. Ciała były nagie, bo nie było żadnych zabezpieczeń. Nagość była traktowana jako oczywista część pracy aktora. Nie było też przestrzeni na sprzeciw, bo sceny układano na planie i szybko przechodzono do ich realizacji.

Jeśli jakaś aktorka czy aktor mówili „nie”, to albo nikt ich nie słuchał, albo byli uznawani za „trudnych”, albo słyszeli, że na ich miejsce jest sto innych osób, które to, czego się od nich wymaga, zrobią bez dyskusji.

Oczywiście nie każdy plan filmowy był miejscem przekroczeń, wszystko zależy od ludzi, ale skala nadużyć jest ogromna, co pokazał ruch #metoo.

Dlatego dziś tak bardzo pilnujemy, żeby nic nie było realizowane z zaskoczenia. Bo nie chodzi o to, żeby nie pokazywać scen intymnych w filmach, tylko o to, by proces ich powstawania odbywał się w atmosferze bezpiecznej, świadomej, empatycznej, pełnej zaufania.

Paltrow tymi słowami zaszkodziła waszej branży?

– Kiedy ktoś tak znany mówi: „Nie potrzebowałam koordynatora, bo reżyser był super”, to daje sygnał, że wystarczy mieć „fajnego reżysera”, żeby czuć się bezpiecznie. A to nieprawda.

Nawet najlepszy reżyser nie zastąpi koordynatora, bo to zupełnie inna rola. Poza tym Paltrow mówiła to z pozycji ogromnej władzy. Ona może odmówić i może się wycofać, dziś nikt na niej nie wyrwie presji. Ale co z młodą aktorką czy aktorem, którzy nawet nie wiedzą, że jest ktoś taki jak koordynator scen intymnych i że mogą wymagać takiego wsparcia od produkcji? Dlatego uważamy, że nasza funkcja powinna być wpisana w ekipę od początku.

Słowa Paltrow wzmacniają narrację: „Poradzisz sobie, jak jesteś silna/y”. A my nie chcemy, żeby aktorzy musieli być silni. Chcemy, żeby mieli bezpieczną przestrzeń na podejmowanie świadomych decyzji co do swojego ciała i tego, co z nim robią w kontekście pracy aktorskiej. Bywa, że jeden z aktorów nie widzi potrzeby współpracy z koordynatorem. OK, ale przecież nie zawsze gra sam. Mówię wtedy: „Dajmy szansę wypowiedzieć się tej drugiej osobie”. Czasem nawet nie chodzi o konkretną scenę, ale w ogóle o samą atmosferę współpracy.

„Anora” Seana Bakera, jeden z najgłośniejszych filmów ostatnich lat, dostał Oscara, ale na planie nie pracował koordynator scen intymnych, chociaż pewnie urobiliby się po lokcie. Więc może pani zawód nie jest jednak potrzebny?

– W „Anorze” koordynatora nie było, bo Mikey Madison, 26-letnia aktorka grająca główną rolę, nie zgodziła się na to. Uznała, że sobie poradzi, że nie potrzebuje pomocy. Nie wiemy, czy na pewno, czy może została zmanipulowana, by podjąć taką decyzję. Ale w ogóle nie powinno być dyskusji o tym, czy koordynator jest potrzebny.

Po „Anorze” pojawiły się pytania, czy aktor może sam decydować o współpracy z koordynatorem, czy nie powinno być to jednak oczywiste. Nie kwestionuje się obecności kaskadera na planie, kiedy aktor ma skakać z dachu.

To nie my wyszliśmy z tą potrzebą, tylko rynek zauważył, że przez lata aktorzy byli zostawiani samym sobie w scenach, które wymagają obnażenia – fizycznego, psychicznego, emocjonalnego.

Dopiero Netflix zaczął certyfikować koordynatorów i ich obecność na planach filmowych tej platformy stała się obowiązkowa. Koordynacja scen intymnych to nie fanaberia, tylko realna potrzeba. Coraz więcej produkcji korzysta z naszych usług, jesteśmy obecni nawet przy kręceniu etud studenckich.

A co, jeśli za kilka lat aktorka z „Anory” powie, że czegoś żałuje? Że było za dużo i ktoś przekroczył granice?

– Cóż... Właśnie nasza obecność już na etapie przygotowań obniża ryzyko takich sytuacji. Ustalamy najważniejsze kwestie: o czym jest dana scena, jak zostanie zrealizowana, czy wymagana jest nagość, jakie są kostiumy, jakie zabezpieczenia miejsc intymnych. Oczywiście wszystko odbywa się z poszanowaniem zarówno wizji reżysera, jak i granic aktorów.

Jakie są najczęstsze argumenty za nieobecnością koordynatora na planie?
– „Nie potrzebujemy, damy sobie radę”, „Znamy się, ufamy sobie, jesteśmy profesjonalni”. Tylko że zaufanie to nie jest gwarancja bezpieczeństwa. Profesjonalizm też nie. Nawet najlepszy reżyser może nie zauważyć, że coś się komuś wymyka spod kontroli.

Inne argumenty: „To spowolni pracę”, „Przeszkadzacie”. Nieprawda. Koordynator przyspiesza pracę, bo wszystko jest ustalone wcześniej. Nie ma dyskusji na planie, nie ma improwizacji, każdy wie, co ma do zrobienia. To daje komfort i oszczędza czas.

Kolejny argument przeciwko: „To ingerencja w proces twórczy”. Nic podobnego, koordynator zna swoje miejsce i nie wchodzi w buty reżysera. Na nasz temat ogólnie krążą dziwne i nieprawdziwe mity, a my wciąż uświadamiamy, czym faktycznie jest koordynacja scen intymnych.

Denerwuje panią to, że wciąż jesteście lekceważeni?

– Raczej mężczy. Bo ile razy można się tłumaczyć z tego, że jesteś na planie? Kaskaderów nikt nie pyta: „Co ty tu robisz?”. Skoro jest na planie, to widocznie jest taka potrzeba. A my słyszymy: „Przecież oni się tylko całują, to po co przyjechałaś?”, „Wcześniej robiło się te sceny bez was i było OK”, itp., itd.

Nie jesteśmy od tego, żeby psuć twórcom wizję, ale by zrealizować film czy serial w sposób bezpieczny. Przecież są sceny naprawdę trudne, np. sceny gwałtu. I co, mamy je dalej kręcić bez zasad? Mam poczucie, że po obu stronach kamery brakuje wciąż wrażliwości i empatii. Wszechobecny wstyd również nie pomaga.

Druga sprawa to przezwiska, jakie nam nadają: „Pani od seksu”, „Pornonianie”, „Kontrola”. To ma nas ośmieszyć, ale ci, którzy to robią, tak naprawdę czują wstyd i lęk, z którymi radzą sobie, przerzucając emocje na kogoś innego, często właśnie na nas.

„Ostatnie tango w Paryżu” Bernardo Bertolucciego jest symbolem nadużyć – Maria Schneider leczyła się potem w klinice psychiatrycznej, filmową scenę gwałtu nagrano bez jej zgody. Michelle Williams o roli w „Blue Valentine” w reż. Dereka Cianfrance’a mówiła, że sytuacja była „spontaniczna”. W „Nimfomance” Larsa von Triera zagrano prawdziwy stosunek seksualny. Da się na ekranie rozpoznać film robiony z udziałem koordynatora scen intymnych czy bez niego?

– To nie jest oczywiste do zweryfikowania. Widz nie zna kulis. Stopniowo dowiadujemy się, głównie za sprawą #metoo, jak wiele było przekroczeń na planach filmów i seriali, i to na różnym etapie produkcji. Na ekranie tego nie widać.

Często seks na planie jest niepotrzebny, nie ma żadnego uzasadnienia, jak choćby w „Grze o tron”. Serial szybko wpadł w pułapkę: im więcej nagości, tym większe zainteresowanie. Widzieliśmy na ekranie mnóstwo seksu dekoracyjnego, bez funkcji narracyjnej. A przecież musi mieć sens, popychać fabułę, pokazywać przemianę.
– Pracujemy nad tym, by sceny seksu i nagości miały sens, dawały więcej informacji o bohaterach lub były istotne w kontekście całej fabuły. A nie były tylko przerywnikiem, ozdobnikiem.

Czy w taki sposób czyta pani scenariusze pod kątem scen intymnych? Od razu je sobie wyobraża, ich sens dla rozwoju akcji i to, jak wyglądają? Czy powstają



• „Ostatnie tango w Paryżu” (1972) z Marlonem Brandem (wtedy 48 l.) Marią Schneider (19 l.) wywołało skandal z powodu śmiałych scen. Kulisy ich kręcenia to też skandal

„Sceny intymne kręciło się jak każdą inną scenę – bez wcześniejszych prób, bez ustalania granic”

dopiero podczas rozmów z reżyserem i aktorami?

– Oczywiście, że je sobie wyobrażam, bo jak każdy mam wyobraźnię. Ale to wizja reżysera jest ważna, dlatego po lekturze scenariusza najpierw rozmawiam z reżyserem. To, co wymyślił, prowadzi nas przez cały proces przygotowań do realizacji sceny. A to, czy i jak ona się zmieni, zależy od wspólnej pracy twórców, aktorów i koordynatora. Dla mnie to najciekawszy etap mojej pracy – być i przyglądać się procesowi twórczemu.

Jak krok po kroku ustala się sekwencję sceny intymnej?

– Punktem wyjścia, jak mówiłam, jest wizja reżysera. Omawiamy każdą scenę, jej zasadność, pomysły realizacyjne i choreograficzne, nagość, zadania aktorskie etc. I z tą całą wiedzą idę do aktorów, przekazuję im opisy scen ustalone z reżyserem, rozmawiamy o nich, ustalamy zasady i granice. Potem wchodzimy w spotkania, próby. Czasami dodatkowo rysuje się storyboardy, czyli obrazek pokazujący, co będziemy widzieć w kadrze.

A całowanie? Czy można stworzyć scenariusz pocałunku?

– Jak najbardziej. Całowanie to scena intymna, a co więcej, taka, która musi się odbyć naprawdę. Tu pojawiają się pytania o intensywność pocałunków, czy splatają się języki, itp.

Jaka jest rozpiętość scen intymnych?

Czy to zawsze musi być seks?

– Absolutnie nie. Intymność to każda scena, w której ciało staje się nośnikiem emocji i jest wystawione na spojrzenie innych. To może być rozbieranie się, karmienie piersią, poród, badanie ginekologiczne, mycie się pod prysznicem, masturbacja, przemoc fizyczna, werbalna i każda inna – przekraczająca granice intymne.

Co się dzieje, jeśli aktorka nie chce pokazać jakiejś części ciała, a reżyser upiera się, że chce to mieć w kadrze?

– Nie zdarzyła mi się taka sytuacja. Zawsze znajdzie się rozwiązanie dobre i dla wizji reżyserskiej, i szanujące granice aktorów. To jest ta część negocjacyjna, która jest po stronie koordynatorów. Obraz filmowy daje nieograniczone możliwości. Można inaczej

ustawić kamerę, kadr, zagrać światłem. Poza tym bliskość między postaciami można pokazać na wiele sposobów i to nie musi być grane sztamowo – nagie ciała uprawiają seks. Można być blisko z kamerą, można grać odbicie w lustrze lub skupić się na detalach, jak np. splecione dłonie. Nie trzeba pokazywać całego aktu – wystarczy fragment, spojrzenie, oddech, dźwięk.

No dobrze, ale czy aktorzy nagle stali się bardziej wstydlivi? Przecież w ten zawód jest wpisany jakiś rodzaj ekshibicjonizmu – i emocjonalnego, i cielesnego.

– Nie. Aktorzy, jak wszyscy, mają prawo odczuwać wstyd, tylko wcześniej nikt ich o to nie pytał. Nikt nie dawał im przestrzeni, żeby powiedzieli: „Z tym mi niewygodnie”, „Tego nie chcę”. Grano mimo wstydu – często z różnymi lękami, które chowały się za profesjonalizmem.

To, co się teraz zmieniło, to przyzwolenie. Ruch #metoo pozwolił na stawianie granic. Ujawniono przemoc, ale też pokazano skalę normalizacji nadużyć. I dopiero wtedy się okazało, że to nie pojedyncze przypadki, tylko systemowy problem.

Dziś wstyd nie zniknął – ale jest uznany. Nie jest oznaką słabości, ale częścią czołowieczeństwa. Aktorzy nie stali się bardziej wrażliwi – po prostu wreszcie mają prawo przyznać, że mają swoje granice. I że gra nagości nie powinna się odbywać kosztem ich komfortu. Przecież jeśli masz zagrać coś intymnego, to zostanie to uwiecznione na zawsze, więc chcesz czuć wewnętrzną zgodę.

Mężczyźni na planie też się wstydzą?

– Tak. Boją się oceny, porównania, upokorzenia, zawstydzenia. Czasem po prostu nie chcą pokazywać klaty. Jako społeczeństwo przyzwyczailiśmy się, że to kobiety się wstydzą, a to nieprawda. Mężczyźni również potrzebują wsparcia, rozmowy, ustalenia granic i zgody.

Co mówią aktorzy, którzy pracowali bez koordynatora?

– W badaniu „Realizacja scen intymnych na polskich planach filmowych. Raport o stanie bezpieczeństwa” z 2021 roku współfinansowanym przez Polski Instytut Sztuki Filmowej wyszło, że dla ponad 90 proc. aktorów i aktorek kręcenie scen intymnych stanowi wyzwanie. Cztery osoby na pięć przynajmniej raz odczuwały brak bezpie-

czeństwa podczas realizacji scen symulowanego seksu. Wielu przyznaje, że zgodziło się na rzeczy, których później żałowało. Bo nie było z kim tego omówić, bo nie wiedzieli, że mogą odmówić, bo nie chcieli być problemem.

Słyszę dużo słów wdzięczności za wsparcie, jakie daję. Koordynacja powinna być standardem i wszyscy powinniśmy pracować bezpiecznie i profesjonalnie.

W którym serialu było najwięcej pracy?

– Zdecydowanie w „Lady Love” [polski serial platformy Max, bohaterka wyjeżdża z PRL-owskiej Polski i na Zachodzie robi karierę w branży porno]. Pięćdziesiąt scen intymnych, znałam każdą z nich na pamięć. Dosłownie. Kiedy na planie ktoś pytał: „Która to scena?”, odpowiadałam numeracją.

Ania Szymańczyk, która grała Lucynę, musiała dobrze poznać swoją postać. Rozmawialiśmy godzinami – z twórcami i producentami – szczerze i otwarcie, dzięki czemu powstała postać kobieca z krwi i kości. Jestem bardzo zadowolona ze współpracy i z efektów, ten projekt jest obecnie moją przygodą życia w roli koordynatora scen intymnych. Bardzo czekam na kolejne wyzwania.

Ale – jak wynika z badań Center for Scholars & Storytellers na Uniwersytecie Kalifornijskim w Los Angeles – widzowie z gen Z nie chcą scen seksu w filmach. Wolą platoniczne emocje. Łączy to pani z przepornogizowaniem rzeczywistości? Im więcej pornografii w sieci, tym mniej seksu w filmach i serialach?

– Obecnie pornografia jest na kliknięcie. Kino nie musi z nią konkurować. Nie ma to sensu. Gen Z nie szuka w kinie bodźca. Szuka emocji i sensu, a nawet miłości platonicznej. Czegoś, co zostanie z nimi na dłużej. Intymność to dla nich rozmowa, wyrażanie siebie i swoich potrzeb.

To bardzo ciekawe, że idziemy w tę stronę. Bo dotychczas mało jest takiej intymności w kinie jak rozmowa przed seksem, w jego trakcie czy po nim, podejmowanie tematu przyjemności i potrzeb seksualnych czy rozmowa o antykoncepcji. A to wszystko to intymność.

Lubię scenariusze, w których są postacie, dla których seksualność jest ważna. Wtedy mogę naprawdę zadziałać. Sięgam po swoje wykształcenie z seksuologii i seks coachingu. Pomagam stworzyć postać właśnie od tej strony: co ją kręci, jak odczuwa przyjemność, jak uwodzi, czy lubi swoje ciało, co łączy ją z seksem itp.

By aktor mógł stworzyć postać autentyczną dla widza, to musi ją rozumieć. Jak w filmie „Wstyd” z Michaeliem Fassbenderem. Nie chodzi o seksualność samą w sobie, tylko o pustkę, uzależnienie, o to, co się za tym kryje. Nie da się tego zagrać, jeśli nie rozumie się postaci. A moja praca polega na tym, by pomóc to zrozumieć. I stworzyć warunki, żeby można to było zagrać naprawdę. ●



FOT. DAWID ŻUCHOWICZ / AGENCJA WYBORCZA.PL

Marta Łachacz

• producentka filmowa i seksuolożka. Ukończyła produkcję filmową w Warszawskiej Szkole Filmowej oraz seksuologię praktyczną na Uniwersytecie SWPS. Przez wiele lat pracowała jako kierowniczka produkcji przy reklamach i filmach dla międzynarodowych marek. Obecnie działa jako jedna z pierwszych w Polsce certyfikowanych koordynatorek scen intymnych. Współpracowała przy ponad 45 produkcjach filmowych i serialowych, m.in. „Lady Love”, „Brokat”, „Wielka Woda”, „Rojst”.

TRZEBA MIEĆ NADZIEJĘ RADYKALNĄ



FOT. KRZYSZTOF ZATYCKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

• 13 maja br. na wrocławskim osiedlu Stabłowice 55-latek zastrzelił swoją rok młodszą byłą partnerkę. Potem popełnił samobójstwo

– **Jeden fakt ulega intensywnemu zwielokrotnieniu, przez co w konsekwencji staje się bardziej przerażający** – mówi prof. Waldemar Kuligowski.

Z PROF. WALDEMAREM KULIGOWSKIM
ROZMAWIA DOROTA WODECKA

Czy ostatnie akty przemocy nie składają pana do postawienia diagnozy, że przemoc i zło eskalują.

– Jeśli pyta mnie pani o to, czy odczuwam zagrożenie zmuszające mnie do wzmożonej czujności albo wręcz ucieczki, to nie, nie mam takich odczuć.

Mieszkam w Poznaniu, w dzielnicy postrobotniczej. Kiedy prawie 20 lat temu sprowadzaliśmy się tutaj, wieczorny powrót do domu obarczony był ryzykiem spotkania agresywnych mężczyzn będących pod wpływem alkoholu, którzy mogli próbować mnie ograbić albo pobić. Dziś nie odczuwam najmniejszego lęku przed chodzeniem po Wildzie o dowolnej porze doby. To jest moje subiektywne wrażenie, bo moja nastoletnia córka boi się wychodzić z domu po godzinie 22 na ostatni spacer z psem.

Nic dziwnego, jest kobieta.

– Dlatego podkreślam, że moje wrażenie wynika z mojego usytuowania w życiu społecznym. Chcąc jednak uniknąć posądzeń o subiektywizm, podeprę się statystyką.

W latach 30. ubiegłego wieku w Polsce dokonywano średnio prawie 3,5 tysiąca za-

bójstw rocznie. W roku 1999 było ich ponad tysiąc, w roku 2001 – 1325. W 2008 roku 759, a dwa lata temu, w 2023 – 568, czyli siedem razy mniej niż w latach 30. Z roku na rok liczba morderstw spada, my jednak nie czujemy się bezpieczniej, a pani zadaje pytanie, dlaczego jest tak źle. Twarde dane statystyczne nie świadczą wprawdzie o tym, że żyjemy w zrealizowanej utopii, ale jednak jest coraz bezpieczniej. Ktoś nas wprowadza w błąd i w konsekwencji czujemy niepokój.

Braun dewastujący bezkarnie prawo i normy współżycia międzyludzkiego, pacjent mordujący lekarza albo ratownika medycznego, student mordujący portierkę, odnalezione ciało zamordowanej kobiety, strzelanina we Wrocławiu i jej dwie ofiary – to są doniesienia zaledwie z kilkunastu ostatnich dni.

– Czyli średnio jedno doniesienie dziennie. Jedno nieszczęście dziennie w 40-milionowym kraju, gdyby wliczyć migrantów i uchodźców. Czy to jest dużo?

Wrażenie powszechności przemocy wynika z logiki mediów, w których ta sama informacja ulega zwielokrotnieniu.

W okresie międzywojennym – wróćmy do lat 30. – moglibyśmy przeczytać w gazecie, że na ulicy Krochmalnej ktoś użył noża i zabił obywatela takiego i takiego. W dzisiejszych czasach tamta jedna notatka opisująca jedno zdarzenie dostaliby tysiąc żyć. W gazetach papierowych, na portalach internetowych, w radiu i w mediach społecznościowych. Zdarzenie to byłoby podbijane na każdy z możliwych sposobów. Dzień po dokonaniu morderstwa będziemy mogli przeczytać o sprawcy, jego sąsiadach i rodzinie. Wypowiedzą się jego przedszkolanka, nauczyciel, trener, koledzy i znajomi. Telewizja wejdzie do budynku, w którym mieszka, albo do jego mieszkania.

Jeden fakt ulega intensywnemu zwielokrotnieniu, przez co w konsekwencji staje się bardziej przerażający. Każde z tych wydarzeń, pojedyncze, incydentalne, staje się wydarzeniem rozciągniętym w czasie, do którego dopisują się kolejne. Bo rzeczywistość każdego dnia w Polsce ma miejsce jedno z tego typu nieszczęść.

Nie chcę w czambuł krytykować mediów, ich rolą jest informowanie, a po pewnym dystansie czasowym krytyczna analiza wydarzeń.

Niestety wiele, a może większość mediów nie to stawia sobie za cel główny. Priorytetem jest klikalność, a ta rośnie na drogach szokowania i pobudzania w nas emocji. Media zwane społecznościowymi, bo tam głównie pojawiają się materiały kręcone przez przypadkowych świadków wydarzeń, wiodą w tym prym.

To z serwisów społecznościowych czerpiemy dziś częściej informacje. Skrolujemy je co rano albo przed snem, by sprawdzić, co się dzieje, kto co wrzuca i jak komentuje. To jest dziś prawdziwy, choć w dużej części zatruty krwiobieg informacji, które krąży w naszych głowach.

Doszlśmy do konstatacji, że jak zwykle winne są media.

– Dla balansu dodam, że dzięki nim nauczyliśmy się także przemoc rozpoznawać i nazywać. Dostrzegając ją w relacjach, które kiedyś wydawały się zwyczajne i akceptowalne, takie jak podwładny – przełożony, nauczyciel – uczeń i tak dalej. Przemoc domowa, uliczna, instytucjonalna, strukturalna... Osób przemocowych, agresywnych nie jest więcej niż niegdyś, ale takie mamy wrażenie.

Nie chcę powiedzieć, że to są puste w środku pojęcia, tylko że ich nazwanie może nam tworzyć obraz świata, który bez reszty wypełnił się przemocą i trudno jest znaleźć relację społeczną, która nie była-

by przemocowa. Gdyby zawrzeć rozpowszechnionym definicjom przemocy, które przekonują, że idzie o relacje społeczne związane z władzą, to dalebóg, właściwie prawie wszędzie można ją zidentyfikować.

Nie wspominał pan o grach komputerowych i filmach gloryfikujących przemoc. Psychologowie alarmują, że agresywne fikcyjne postaci mogą być inspirujące.

– Mamy dość długą tradycję paniki moralnej, która związana jest ze scenami przemocy w filmach. Pamiętam, jak mówiono, że uczą przemocy. Rzeczywiście, filmy z cyklu „Rambo”, z Sylwestrem Stallone w roli głównej, były oglądane przez młodzieżowe gangi, na przykład na Mauritiusie, jako instruktaż, jak uderzyć, jak założyć blokadę, jak unicestwić przeciwnika. Członkowie gangów wielokrotnie chodzili do kina, nasiłali przemocą i naśladowali ją w życiu codziennym. Zasadniczo jednak inaczej reagujemy na przemoc w filmach czy grach komputerowych, a inaczej w serwisach informacyjnych.

Tę pierwszą umiemy zneutralizować, rozmontować, wiemy, że jest udawana. Przemoc z serwisów internetowych i mediów społecznościowych może natomiast w nas uderzać jak obuchem, bo często do złudzenia przypomina estetykę newsów z serwisów informacyjnych.

Trafił pan na relacje wideo z kampusu Uniwersytetu Warszawskiego?

– Nawet jeśli bym trafił na nie przypadkiem, to na pewno bym ich nie oglądał. Swoją drogą jestem w stanie zrozumieć ludzi, którzy – widząc dramatyczne sceny rozgrywane się na kampusie – wyjęli telefon i filmowali zdarzenia. Byli nieprzygotowani na to, co widzą, nieprzygotowani do samoobrony, do zatrzymania rozjuszonego człowieka z niebezpiecznym narzędziem w ręku. Dzięki ich

filmom materiał dowodowy będzie pełniejszy. Nie potrafię jednak zrozumieć tego, co się dalej stało. Dlaczego zaczęli je upowszechniać?

Rozmawiał pan o tym ze swoimi studentkami i studentami?

– Tak i zderzyłem się z zupełnie innym obrazieniem na temat kampusów uniwersyteckich niż moje.

Bardzo długo nosilem w sobie wizję, że kampus uniwersytecki, a odwiedziłem ich wiele na całym świecie, jest miejscem idealnym, realizującym idee universitas. Pełne młodych ludzi, księgarni i bibliotek, galerii, zieleni, dużo trawników, których nie kosi się tak często jak gdzie indziej, są ławki i strefy well-being. Idealna wydzielona część miasta, ale nie getto.

Po tym, co stało się w Warszawie, rozmawiałem ze studentami i studentkami w Poznaniu i w Gdańsku. Powiedzieli mi, że ich zdaniem kampusy są miejscem średnio bezpiecznym.

Dlaczego?

– Wchodzą na nie zupełnie nieznane osoby, ktoś widział studentkę uciekającą przed kimś biegnącym za nią z nożem.

Zwrócili mi uwagę na rzecz, o której być może zapominamy w świetle strasznej zbrodni, że gdyby coś się stało, gdyby nastąpił jakiś atak albo wybuchł pożar, nie wiedzieliby, jak uciekać z budynku.

Na początku studiów mieliśmy szkolenie BHP.

– Traktowane po noga i z lekceważeniem, jak niegdyś szkolenie wojskowe. Wypadek w Warszawie dał im do myślenia. Rozglądają się, czy daliby radę na przykład wyskoczyć przez okno, sprawdzają, jak się te okna otwierają i co jest poniżej. Rozpoznają, gdzie są inne wyjścia z budynku, w razie gdyby ktoś zablokował wyjście główne.

Może się okazać, że efektem zbrodni na UW będzie to, że ludzie poświęcą więcej czasu i uwagi rudymentom bezpieczeństwa.

Pan jest racjonalnym optymistą, prawda?

– Możliwe, ale gdybym bardziej przyłożył się do odpowiedzi na pani pierwsze pytanie, to powiedziałbym też, że żyjemy w świecie, który się wyczerpuje.

Co to znaczy?

– Wyczerpują się zasoby czystej wody i powietrza, nieskażonej gleby i naturalnych lasów. Coraz mniej jest miejsc, gdzie moglibyśmy doświadczać i korzystać z dobrodziejstw nieskażonej natury.

Jesteśmy świadkami rozpaczliwych protestów spod znaku Ostatniego Pokolenia, a sfera polityczna w wersji globalnej również nie wygląda optymistycznie. Na całym świecie toczą się wojny, a niektórzy przywódcy zapowiadają kolejne. Jak zatem można się czuć bezpiecznie w świecie, który się wyczerpuje i bezpieczny nie jest?

No właśnie. Tym bardziej że tutaj statystyka na pewno nie okaże się pomocna.

– To wróć do 1990 roku kiedy każdego dnia w Polsce dochodziło do 1000 przestępstw więcej niż rok wcześniej. Każdego dnia! Czy zapamiętaliśmy ten rok jako najbardziej ponury pod względem przemocy? Wątpię. Mamy krótką pamięć, na którą dziś nakłada się coraz bardziej skracająca się perspektywa. Wszystko wydaje się terazniejszością albo bardzo odległą przeszłością, w zasadzie niegodną uwagi.

Skoro historia lubi się powtarzać, to wzrost populizmu i nacjonalizmów nie wróży niczego dobrego, a według badań odpowiada również za wzrost przemocy. – Odpowiadamy zaangażowaniem obywatelskim, rozrostem organizacji pozarządowych, nauczaniem o empatii, warsztatami równościowymi. Ostatnie lata to nadzieja i solidarność w tytułach kongresów, konferencji i festiwali.

Ale kiedy wybory wygrywa Trump, to tnie na te programy pieniądze. Czy jego rządy, przemocowe jakkolwiek by było, nie wpędzają pana w niepokój? Tudzież wyniki pierwszej tury wyborów w Polsce, kiedy po zsumowaniu prawica, również skrajna, zdobywa więcej niż połowę głosów.

– Trudno o odpowiedź inną niż niepokój, ale proponuję wspomnieć Brazylię, kraj zamieszkały przez ponad 200 milionów ludzi. Urzędujący w latach 2019-22 prezydent Jair Bolsonaro, który przyjął drugie imię Me-sjasz i głosił „teologię sukcesu”, był tropikalną kopią Donalda Trumpa. Kiedy po pierwszej kadencji przegrał wybory, nie uznał ich wyniku. Jego zwolennicy wdarli się do kongresu i sądu najwyższego, ale ostatecznie władzę w Brazylii sprawuje dzisiaj demokratycznie wybrany Luiz Inácio Lula da Silva. Wniosek? Agresywne działania tłumów inspirowanych przez charyzmatycznego dla siebie przywódcę można odwrócić, tak samo jak udało się przywrócić porządek demokratyczny w ogromnym, trudnym do rządzenia choćby z technicznego punktu widzenia kraju.

Gdyby skalę Brazylii przyłożyć do skali poszczególnych państw europejskich z Polską włącznie, to można by powiedzieć: okej, nie jest tak źle, jesteśmy w stanie sobie poradzić. Staram się myśleć, że aktualny kryzys to jedynie zmiana pogody, a nie klimatu.

Przypomina mi się prof. Wiesław Łukaszewski, psycholog społeczny, który powiedział, bym nie patrzyła w ciemność, bo ona przez to moje wpatrywanie się w nią i tak nie zniknie. Żałuję, że nie dopytałam go, co się dzieje z ludźmi wpatrującymi się w mrok.

– Kiedyś chodziłem co rano po bułki i mijałem kiosk z gazetami, w którym ludzie kupowali „Fakt”. Zastanawiałem się, jak można rozpocząć dzień od zetknięcia z czymś, co z definicji będzie opowiadało o przemocy, o zabójstwach, gwałtach, zdradach, machlojkach politycznych, bo przecież to są główne tematy tabloidów. Myślałem o tym, jak nastraja tak rozpoczęty dzień. Zakładam, że obcowanie z okropieństwami życia musi budzić afekt nieufności o charakterze makiawelicznym.

To znaczy?

– Że świat jest oparty na sile, przewadze i przemocy. A my musimy się z tym pogodzić i jakoś urządzić. Czyli będziemy na własną skalę urządzali mikroprzemoc tam, gdzie możemy, bo przecież tak jest urządzoney świat.

A ja się zastanawiam, czy niedostrzeganie ciemności nie jest ucieczkowe.

– A nie jest ucieczkowe wpatrywanie się w nią? Ludzie, którzy są uzależnieni od oglądania telewizji, w pewnym momencie przestają zadowalać się reklamami, prognozami pogody i telenowelami, tylko potrzebują zastrzyku wstrząsających informacji, którymi żyją. Z przemocą i z odbiorem przemocy jest tak, że ona musi eskalować. Potrzebujemy kolejnego, mocniejszego doznania, żeby w ogóle mogło na nas zrobić wrażenie. Może ciemność jest czarną dziurą, która nas wsysa i sprawia, że widzimy już tylko ciemność.

Czyli widzimy tylko to, w co patrzymy?

– W odpowiedzi przywołam opisy antropologiczne społeczeństw, które przez lata uchodziły za klasyczne przykłady przemocy.

Najbardziej znanym jest społeczeństwo zamieszkujące małą wyspę melanezyjską u południowo-wschodniego wybrzeża Nowej Gwinei. Wyspa nazywa się Dobu. Odwiedził ją i zbadał nowozelandzki antropolog Reo Fortune, a potem w popularny sposób opisała amerykańska antropolożka Ruth Benedict w głośnej książce „Wzory kultury”. Był to antropologiczny bestseller przełożony na kilkanaście języków, sprzedany w ponad milionie egzemplarzy.

Z opisu Fortune’a i Benedict wynikało, że Dobuańczycy to lud paranoików, których

■
Być może niektórzy mają przed okiem soczewkę, która została napełniona czarną farbą. I być może trzeba znaleźć inną soczewkę

sąsiedzi postrzegają jako ludzi niehonorowych, karmiących się okrucieństwem, zdradliwych i oszukujący innych. Nikt z okolicznych wysp nie chciał z nimi handlować, odwieźć ich, a już żenić się w żadnym wypadku. W latach 70. i 80. pojawiły się podobne opisy dotyczące Janomamów, czyli tubylców żyjących na północy Amazonii. Ich 20-tysięczna społeczność bez reszty miała być zdominowana przez mężczyzn używających tepej siły i przemocy.

Te dwa przykłady służyły do zilustrowania tezy, że być może z gruntu jesteśmy źli, a pewne sytuacje mogą nas skłaniać do tego, by przemoc stała się codzienną walutą w relacjach społecznych.

Niemal stulecie później na Dobu pojawiła się Susanne Kuehling. Postanowiła zbaczyć dobuańskie społeczeństwo od środka, z wewnętrznej perspektywy. Okazało się, że trafiła do zupełnie innego miejsca niż wcześniej opisywane. Zamiast przemocy i czarów były przyjaźnie i sojusze. Co więcej, Dobuańczycy byli obrażeni na sąsiadów, twierdzili, że padli ofiarą plotek i pomówień, bo nie są od nich ani lepsi, ani gorsi.

Zgaduję, że podobnie było z Janomami.

– Tak. Po książce Napoleona Chagnona, która opisywała ich jako społeczeństwo oparte na przemocy i sile, napisano kolejne dwie antropologiczne monografie. Jacques Lizot przedstawił ich jak rousseańskich „dzikich”, którzy żyją w deszczowym lesie, leżą w hamakach, zakochują się, całują się, okazują sobie bardzo dużo czułości. Bruce Albert z kolei widział w nich filozofów natury, którzy przyglądają się życiu roślin, zwierząt, mają dużą wiedzę na temat ruchu planet i bardzo rozbudowaną mitologię.

Jak wytłumaczyć różne bieguny tej samej opowieści.

– Być może niektórzy mają przed okiem soczewkę, która została napełniona czarną farbą. I być może trzeba znaleźć inną soczewkę i spojrzeć na świat trochę inaczej. Mnóstwo rzeczy jest w nim do naprawienia, ale DO NAPRAWIENIA, czyli do uratowania. Świat jest ciągle miejscem do życia. Błękitna planeta nagle nie stała się planetą pełną krwi, tym bardziej że – statystycznie rzecz biorąc – tej krwi też jest coraz mniej.

Ale zauważył pan, że żyjemy w czasie wyczerpanym. A to oznacza, że wyczerpuje się również nadzieja.

– Jako antropolog chętnie sięgam po wiedzę wypracowaną w ramach mojej dyscypliny. Mamy tu wiele historii małych, lokalnych społeczności zderzonych z machiną militarną i ideologiczną kolonializmu. Długo wydawało się, że tubylcy Dawid nie mają szans w starciu z agresywnym Goliatem, że dominująca przemoc nieuchronnie zmieni go w znikającą rasę. Ale było to złudzenie. Od końca lat 60. XX wieku w USA i Kanadzie następuje indiańskie przebudzenie. Jak niezwyklej lekcji odporności – obecnie mówimy często o rezyliencji – udziela ją te społeczności. Można przetrwąć genocyd, epidemie, akulturację, bezrobocie, wygnanie i środowiskową destrukcję ojczyzny, a potem się odrodzić i czerpać dumę z własnej historii. Jeśli przeszłość ma nas czegoś uczyć, to właśnie tego!

W odzyskiwaniu nadziei może pomóc też Stanisław Ossowski i jego myślenie o ojczyźnie i patriotyzmie.

Wyjaśni pan?

– Trudno jest myśleć o ojczyźnie, która ma ponad 300 tysięcy kilometrów kwadratowych i jest zaludniona przez miliony ludzi, których nigdy w życiu nie poznamy ani nawet nie zobaczymy na oczy. To jest ojczyzna ideologiczna. Ale gdyby myślenie o niej przenieść na grunt bardziej namacalny, mielibyśmy ojczyznę prywatną. Taką, którą możemy objechać rowerem, przepływać przez nią rzeka, w której się kąpaliśmy, rosną drzewa, z których jedliśmy owoce. Jest to wariant idei „myśl globalnie, działaj lokalnie”.

Wzniosłe hasła muszą mieć ostatecznie umocowanie, kotwicę, bardzo nam bliską.

I pan uważa, że podobnie jest z nadzieją? Szukajmy jej najbliżej siebie?

– Jesteśmy w stanie nadać Odrze osobowość prawną, potraktować ją jak osobę i coś w tym świecie uratować, a więc zmienić rzeczywistość na lepsze. Myślenie o tym, że w Polsce jest tysiące innych rzek, które są zagrożone i zanieczyszczone, a w dodatku teraz wysychają, może być paraliżujące. Jeśli skupię się na tym, co jest mi bliskie, co jest obok, co mam przeżyte, to mogę to ratować.

Więc myślimy o nadziei w mikrokategoriach. Dostrzegajmy ją w działaniu na rzecz spraw nam najbliższych, który rozszerzymy na rzecz sąsiadów, miasta, w którym mieszkamy i kraju.

Nadzieja nie jest stanem, ale działaniem?

– Dobra sugestia! Mogę tu wskazać dwa kierunki. Akademicka historia od kilkunastu lat wypracowuje afirmatywne podejście do przyszłości. Chodzi o odejście od zainteresowań katastrofą, apokalipsą, traumą, ofiarą, cierpieniem, pustką itd. Postrzegając przeszłość jako szansę, Ariella Azoulay pracuje z problemem konfliktu izraelsko-palestyńskiego. Zgromadziła obywatelskie archiwum fotograficzne zawierające materiały zdjęciowe z lat 1947-50 pokazujące współistnienie i współpracę Arabów i Żydów. Okazało się, że lokalna historia nie była skazana na katastrofę, mogła się potoczyć inaczej. Celem Azoulay jest pomyślenie o innych formach współbycia, takich, które nigdy nie zostały całkowicie wyczerpane.

Drugi kierunek każe spojrzeć w stronę Wielu Ciosów, wodza tubylczoamerykańskiego plemienia Wron. Opowiadając dzieje swojego narodu, stwierdził: „Odkąd odeszły bizona, serca moich ludzi upadły na ziemię i nikt ich już nie podniósł. Potem nic się już nie wydarzyło”. Znaczyło to, że historia jego ludu w sensie dosłownym się wyczerpała – wszak „nic już się nie wydarzyło” – podobnie jak nadzieja. Wiele dekad później trafił na te słowa filozof Jonathan Lear. I zbudował na nich ideę „nadziei radykalnej”.

Co sprawia, że nadzieja jest „radykalna”?

– Według Leara to fakt, że jest skierowana ku przyszłemu dobru, które na razie jest nieuchwytne, bo mający nadzieję nie dysponują jeszcze koncepcjami pozwalającymi na to, by je zrozumieć. Wrony przetrwali zagładę świata, jaki znali, i znaleźli siłę potrzebną do tworzenia swojej nowej historii. Nasz świat nadal jeszcze istnieje. ●



Waldemar Kuligowski

• (ur. w 1972 r.) – polski antropolog kulturowy, profesor nauk humanistycznych na Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza w Poznaniu, eseista, redaktor

Co drugi serial na świecie
kreci się teraz w Chinach.
Oglądają je miliony widzów
ze wszystkich kontynentów.
Dlaczego?

Marta Górna

Chiński wynałazek Duanjiu

Fabuly? Gangster ze słabością do płaszczy Armaniego zakochuje się w pielęgniarce lub bileterce z miejskiego tramwaju i używa przemocy, żeby zmusić ją do ślubu.

Prezes miliarder z korpo o niejasnej działalności wpada w miłosną obsesję na punkcie szarej myszy.

Pijacki one night stand kończy się happy endem, zwykła dziewczyna umiera z wyczerpania pracą i budzi się jako konkubina cesarza w innej czasoprzestrzeni.

Zemsta, fikolki fabularne, miłość. Wszystko to w minutę, bo tyle mniej więcej trwają odcinki serialowych mikrodrów znanych też jako duanjiu, chińskiego wynalazku, który właśnie podbija świat.

Wszystko dla pań

Z perspektywy zachodniego widza te serie to groteskowa jazda bez trzymanki. Odcinków bywa 100 albo więcej. Filmowane są w formacie do oglądania na telefonie: w metrze, na sedesie, na nudnym spotkaniu. Bohaterowie mówią po chińsku, ale noszą amerykańsko brzmiące imiona i nazwiska.

Aplikacje z serialami na telefon atakują widzów ze wszystkich kontynentów na Instagramie i Facebooku. Klika w nie o wiele więcej osób, niż jest się do tego przyznaje. Z apek: DramaBox, ReelShort, ShortMax i GoodShort czy ShortMax, korzysta już ponad 150 mln użytkowników na świecie. A drugie tyle ogląda te mikrodramy zmontowane do pełnometrażowych filmów nielegalnie np. w serwisie YouTube.

Stworzona w Dolinie Krzemowej aplikacja ReelShort była najczęściej ściąganą apką

na telefon w USA, w tyle zostawiła m.in. TikTok, wydawałoby się giganta. Zresztą fenomen mikrodrów zaczął się właśnie na TikToku w 2018 roku.

W tym świecie absurd goni absurd, a przemoc seksualna to wyraz miłości. Gwałt zostaje wybaczone, podobnie jak wleczenie za włosy, próba zabójstwa, podduszanie i spychanie ze schodów. W finale nawet najpodlejszy zbir, przy którym cesarz Neron to potulny muzykant, nawraca się dzięki sile uczucia.

W jedna z takich mikrodrów zatytułowanej „Miłość napada nagle” główna bohaterka zostaje zgwałcona przez bogacza, który był pod wpływem afrodyzjaku. Tak zaczyna się ich miłość, choć dla widzów z Zachodu bohater już w drugim odcinku powinien odsiadywać wieloletni wyrok.

Zazdrość jest w tych produkcjach romantyzowana, stalking również. Zachodnie media alarmują, że chińskie mikrodramy powielają stereotypy, a kobiety portretują jako histeryczki.

Tyle że to kobiety właśnie są celem tych produkcji. Być może, oglądając je, pośrednio realizują atawistyczne potrzeby bycia zdominowaną?

A może łatwiej przelknąć takie treści, bo przemoc dotyczy chińskich kobiet, wymyślonych bohaterek gdzieś w dalekich Chinach, a więc ich perypetie wydają się odległe i nierealne.

Dlaczego nie śpisz, chiński cenzorze?

Jaki jest sekret ich popularności?

To silne emocje od pierwszej sceny, w której bohaterki bywają porwane lub mordowane (wtedy wróć, by się zemścić).

Co widzka czy widz odczuja? Poczucie niesprawiedliwości, podniecenie seksualne, złość i niedowierzanie, a także, w finale, w którym zło zostaje przykładowie ukarane, satysfakcję. Co z tego, że fabuły mikrodrów to kicz w czystej postaci, a ich narracji brakuje punktu zaczepienia?

– Zmieniliśmy całkowicie strukturę opowieści – mówi serwisowi CNA dumny Joey Jia, dyrektor firmy Crazy Maple Studio obsługującej ReelShort. – Haczyk zarzucamy na samym początku historii. Jeśli nie przyłączymy widzów od razu, tracimy ich zainteresowanie.

Na łamach „Los Angeles Times” dodaje, że szefowie firmy błyskawicznie rozpoznają, które historie są w stanie zarobić pieniądze, a które „mają jakieś mankamenty”. Zastanawia się też, całkiem przytomnie, w jakim tempie przemysł mikrodrów może się jeszcze rozwijać, i ocenia, że na razie to „dziecko, które urosło za szybko”. Mimo to ReelShort zainwestowało w studio filmowe w Los Angeles i zamierza w tym roku podwoić liczbę dostępnych tytułów. To oznacza 500 nowych mikrodrów.

Chińscy cenzorzy obserwują ten postępujący fenomen i nerwowo ocierają pot z czoła. Bohaterowie mikrodrów wymuszają na swoich dziewczynach i żonach seks, przetrzymują je z miłości lub zemsty w piwnicach. Obowiązkowe są rozwody, zdrady i niedopowiedziane sceny seksu pozamałżeńskiego – penetrację sugerują np. ujęcia soku ciekącego po lodydze aloesu.

Bohaterowie mikrodrów robią to, czego robić raczej nie mogą postaci z oficjalnych, klepniętych przez cenzurę produkcji. A to dlatego, że mikrodramy w większości powstają poza granicami Chin, a udostępnia-

ne są często z zewnętrznych serwerów. Mechanizmy cenzorskie się więc ich nie mają, choć już w ubiegłym roku „Time” donosił, że chiński rząd szuka sposobu, jak się do nich dobrać na całego.

Na razie udało się cenzorom wymóc usunięcie z aplikacji tysięcy szczególnie szkodliwych, bo ich zdaniem promujących pornografię, mikrodrów. Rząd chce kontrolować przekaz, dopilnować, by prezentowały pozytywne wartości. Zwłaszcza że Chińczycy też mają do nich łatwy dostęp: mogą je oglądać np. na platformie Douyin, takim chińskim TikToku, z którego korzysta miesięcznie blisko 800 mln użytkowników.

W pięć lat przemysł produkujący mikroserie dorównał chińskiej kinematografii ze stuletnią tradycją. W 2023 roku był wart około 5 mld dol., a według szacunków na kolejne dwa lata – czyli w 2025 roku – kwota ta urośnie do 14 mld dol.

Pomiędzy łzami a śmiechem

Zobaczyć jedną taką produkcję to jak zobaczyć wszystkie. Po tytułach je poznać: „Ulegając ojcu byłego chłopaka”, „Po rozwodzie żyłam cudownym życiem”, „Podwójnie zdradzona, raz pomszczona”.

Algorytmy serwisów społecznościowych każdemu znajdą coś innego.

Użytkownikom dojrzałym proponują – opowieść o miłości w jesieni życia np. „Porzuciłam męża palanta i stałam się stylową mamą”, rozwodnikom – serial o pogodzonych małżonkach lub nowym związku, a wielbicielom fantasy – przygody archeolożki, która budzi się w sarkofagu starożytnej księżniczki.

Fragmenty wabiki umieszczane w sieci zwykle kończą się sprytnym chwytem: ucie-



W pięć lat przemysł produkujący mikroseriale dorównał chińskiej kinematografii, która ma 100 lat tradycji. **W 2023 roku był wart około 5 mld dol., a szacowano, że do roku 2025 ta kwota urośnie do 14 mld dol.**



◀ **„Love Between Fairy and Devil”. Znany na świecie chiński serial o wrótcie, która z największego czarnego charakteru robi sobie potulnego męża. Grają tu chińskie megagwiazdy Esther Yu i Dylan Wang**

▲ **„The Untamed”. Serial sprytnie przemycy wątki LGBT bez denerwowania chińskich cenzorów. Jedna z najpopularniejszych produkcji w Chinach w 2019 r., doceniona również przez zagranicznych krytyków**

▲ **„Pregnant by New Boss”. („W ciąży z nowym szefem”). Jedna z tysięcy mikrodrām o przemocy i uwiedzeniu, które są wstępem do... miłości. Takie „guilty pleasure” widzów na całym świecie**



Chiny – serialowa potęga

Chińskie platformy VOD za dopłatą udostępniają mikroprodukcje. Dorzucają je do oferty, w której są już minidramy – serie z odcinkami po 15 minut i seriale tradycyjne, z odcinkami po 40 minut lub dłuższymi.

Te ostatnie są różnej jakości: od wysokobudżetowych, świetnie napisanych i zrealizowanych na poziomie kinowym, który zawstydza Hollywood („The Rise of Phoenixes” czy „The Double”), przez sympatyczne średniaki („Love Between Fairy and the Devil”), po seriale wtórne i banalne.

Jest jeszcze osobna kategoria: seriale BL, od boy love, produkcje, które przez igielne ucho cenzury przeciskają wątki homoseksualne, w Chinach zakazane. Zwykle opowiadają o towarzyszach broni, bliskich przyjaciółach, którzy walczą ramię w ramię, a czasami patrzą na siebie w zwolnionym tempie przez opadające płatki kwiatów.

Szacuje się, że Chińczycy produkują rocznie ponad połowę globalnej masy serialowej. Topowe chińskie serwisy streamingowe, m.in. Youku, iQIYI czy WeTV, udostępniają miesięcznie kilkadziesiąt nowych produkcji: kostiumowych, przygodowych, obyczajowych i romansów.

Część z nich mimo napiętych stosunków chińsko-amerykańskich kupują też tacy giganci streamingu jak Netflix czy Max. Nie tylko dlatego, że w USA, Kanadzie i Wielkiej Brytanii żyje gigantyczna chińska diaspora. To się po prostu ogląda. Nie wiadomo jeszcze, jak dostępność chińskich seriali w USA będzie wyglądała po zaostreniu wojny celnej między Chinami a USA. Chiny już zapowiedziały, że w odwecie za podniesienie przez Trumpa cel na ich towary, ograniczą dystrybucji amerykańskich filmów, co dla

Hollywood może być znaczącym ciosem. Dodatkowo Trump zapowiedział też nałożenie cel na produkcje powstające za granicą, nikt jednak nie wie, co dokładnie ma na myśli i jaki wpływ będzie to miało na amerykańskie platformy VOD i ich biblioteki.

Fanowskie grupy chińskich produkcji na Facebooku zrzeszają od kilkuset tysięcy do kilku milionów użytkowników, którzy dzielą się kolejnymi tytułami, uwagami na temat fabuły, roztrząsają zachowania bohaterów i wzdychają do chińskich aktorów.

Na stronach poświęconym azjatyckim serialom użytkownicy dodają do każdej produkcji tagi, np. „przemoc seksualna”, „wymuszony pocałunek”, „dawni kochankowie”, „niezależna główna bohaterka”, „aroganci główny bohater” czy „spotkanie po latach”. Część widzów korzysta z nich jak z ostrzeżeń przed triggerami, inni tak właśnie wybierają kolejne seanse. Dzięki tagom łatwiej się odnaleźć w masie produkcji i wyszukać te, w których pojawiają się ulubione wątki.

Z kolei Chińczycy zachodnich produkcji nie oglądają i raczej nie potrzebują. Rozmiary ich przemysłu filmowego i serialowego sprawiają, że są samowystarczalni.

Bohaterki takie jak one

Aby napisać ten tekst, obejrzałam około 500 mikrodrām, 200 minidram i ponad 100 seriali klasycznej długości.

Najdłuższa mikrodrāmą, jaką widziałam, miała 152 odcinki. Mgliście pamiętałam, że opowiadała o parze, która po jednorazowym seksie odkrywa, że to miłość na całe życie. Występował w niej obecnie jeden z najpopularniejszych gwiazdorów mikrodrām: 25-letni Ma Xiaoyu, którego kobiety na całym świecie pokochały za rolę gangste-

miężona bohaterka właśnie ma się uwolnić z płonącego auta, właśnie ponownie spotyka dawną miłość lub umiera i ożywa w innej rzeczywistości.

Pierwsze odcinki są za darmo, kolejne trzeba wykupić, np. za dolara czy dwa.

„Los Angeles Times” podaje, że koszt wyprodukowania jednej mikrodrām to w porównaniu 100 tys. dol., choć zrealizować ją można też za 10 razy mniej, a tuż tego biznesu zaczęły już wykorzystywać przy produkcji sztuczną inteligencję.

Na podstawie jednego skryptu może powstać nawet kilkanaście produkcji, ale sukces kasowy często odnosi tylko jedna. Wszystko zależy od obsady, ścieżki dźwiękowej, a także staranności w wykonaniu na-

pisów. Bez nich widz ze Szkocji, Brazylii czy Polski będzie skołowany oglądając tylko kolejne historycznie odegrane sceny i fabularne przewroty.

Weterani aplikacji się nie dziwią, kiedy po raz kolejny oglądają opowieść o bogatym dyrektorze generalnym, który cierpi na tajemniczą śmiertelną chorobę, a uleczyć może go jedynie dziewictwo głównej bohaterki (najnowsza produkcja z tej szuflady to „Pomiędzy łzami a śmiechem”). Najpopularniejsze mikrodrām z ReelShort mają po 500 mln odtworzeń. Dla porównania: szeroko komentowany na całym świecie tradycyjny serial „Dojrzewanie” Netflixu odtworzono w serwisie 85 mln razy, i to uznawane jest za gigantyczny sukces.

ra zakochującego się w pielęgniarce i zmuszającego ją pistoletem do ślubu.

„Zniewolona miłość bossa mafii” to jeden z największych mikrohitów ostatnich miesięcy. Aplikacja FlickReels, która za niego odpowiada, nie podaje danych, ale tylko na YouTube w miliony idą wyświetlenia nielegalnie udostępnionego montażu ponad 60 odcinków.

Po tym maratonie wiem też, że z jednej strony chińskie seriale promują toksyczne zachowania i związki, a także przemoc seksualną, z drugiej – to w nich widziałam najsilniejsze bohaterki.

W roli Jiang Xuening, z liczącego 38 tradycyjnych odcinków hitowego serialu „Story of Kunning Palace”, występuje Bai Lu, jedna z najpopularniejszych aktorek w Chinach, specjalistka ról kobiet niezależnych, przebiegłych i uroczych oportunistek. W „Story of...” gra serialową scenarzystką, która przynosi się do stworzonego przez siebie świata. Zajmuje miejsce cesarzowej, która powraca do życia w wyniku reinkarnacji na wiele lat przed objęciem tronu. Brzmi nieco zawile, ale po kilku chińskich serialach można się do tego przyzwyczaić.

Jiang Xuening umiejętnie manipuluje otoczeniem i uczuciami mężczyzn, czasami udaje kobietę nieporadną, prosi o pomoc, gdy jej potrzebuje, a jej niezależność wynika nie z uporu, ale z wiary we własne możliwości. Za jej siłą kryje się instynkt przetrwania, a nie tania motywacja czy kiepsko podparta psychologicznie przemiana, jakimi karmi nas w ostatnim czasie Hollywood.

Kolejną kobietą postacią, przy której „silne hollywoodzkie bohaterki” wypadają blade, jest Feng Zhiwei ze świetnie ocenianego, nie tylko w Chinach, serialu „The Rise of Phoenixes” o pałacowych intrygach i polityce. 70 odcinków obejrzałam jednym tchem, choć dużym kosztem osobistym.

Do kategorii silnych kobiet pasuje też bohaterka „Historii perłowej dziewczyny”. To opowieść o prostej, ale szlachetnej poławiaczce pereł, która przechodzi piekło, żeby z niewolnicy stać się odnoszącą sukcesy bizneswoman. Duan Wu (gra ją kolejna gwiazda chińskiej telewizji, Zhao Lusi) ma wady, jest impulsywna, ale jako bohaterka rozwija się naturalnie. Czasami bunt skrywa pod tajemniczym uśmiechem i czeka na odpowiedni moment, żeby osiągnąć cel. W jej życiu ukończony to postać na drugim planie, wspierająca jej ambicje w drodze na szczyt i wyjątkowo, jak na chińskiego bohatera serialu, szanująca przestrzeń osobistą.

Nie spodziewałam się tak dopracowanych kobiecych postaci po chińskich serialach (zaczęłam od tych, w których zachowu-

ją się jak kilkulatki) i dzielę się tym z sinolożką Agnieszką Mikrut-Żaczekiewicz, która mieszka w Chinach, jest więc w sprawie seriali na bieżąco.

– Zapominamy o tym, że socjalizm, czy też komunizm, dał kobietom prawo do kształcenia – zwraca uwagę. – Poziom analfabetyzmu wśród chińskich kobiet na początku XX wieku wynosił 96 proc. W latach 20. zaczęła się ich emancypacja, o którą walczyli też mężczyźni, co miało sprawić, że Chiny będą bardziej nowoczesne. Kobiety zaczęły zdobywać wykształcenie, a w ostatnich dekadach edukują się jeszcze intensywniej niż wcześniej. I te wykształcone kobiety pragną oglądać na ekranie bohaterki podobne do siebie.

Przemoc jako brak ogłady

Skąd więc kobiety naiwne i bezbronne i bardzo popularna przemoc wobec nich? W kostiumowej minidramie „Part for Ever” główny bohater, przystojny watażka, pod wpływem afrodyzjaku rzuca się na córkę zamordowanego przez siebie wroga. W takt romantycznej muzyki obmacuje ją i całuje, choć po jej policzkach płyną łzy.

W chińskich serialach wątek afrodyzjaku, po którego wypiciu bohaterowie uprawiają seks głównie z inicjatywy czerwonego na twarzy mężczyzny, to częsty motyw.

Adina Zemanek, sinolożka i etnolożka, autorka licznych publikacji na temat obrazu kobiet w chińskiej popkulturze, tłumaczy, że motyw afrodyzjaków pojawia się w klasycznej, również erotycznej literaturze chińskiej, np. w „Kwiatach śliwy w złotym wazonie”, słynnej powieści z końca XVI w. (wydanie polskie 2001, Muza). Zaznacza jednak, że mechanizm pokazywany w serialach był i jest wciąż obecny także w literaturze zachodniej.

– Według amerykańskiej feministki Tanii Modleski oglądamy i czytamy nie tylko dla rozrywki, ale i satysfakcji, wyjaśnienia sobie pewnych problemów, które wydają się nierozwiązalne, albo tłumaczenia rzeczywistości. W tym wypadku mamy do czynienia z mężczyzną, który nie może nad sobą zapanować, ale nastaje na bohaterkę po zażyciu afrodyzjaku. Następuje fałszywa racjonalizacja problemu, który występuje w realnym świecie – tłumaczy sinolożka.

Dodaje, że problem przemocy wobec kobiet to w Chinach problem nie tylko serialowy. – Chińska kobieta ma być podporządkowana mężczyźnie i tradycyjnym wartościom. Ma być posłuszna, dbać o dom, dzieci i męża, a mężczyzna ma być prawdziwym mężczyzną. To wzmacniane jest też w dyskursie oficjalnym.

Chińscy cenzorzy obserwują ten fenomen i ocierają pot z czoła. Bohaterowie mikrodram wymuszają na dziewczynach i żonach seks, przetrzymują je z miłości lub zemsty w piwnicach.

Mikrut-Żaczekiewicz dorzuca, że w chińskich serialach kostiumowych i historycznych przemoc seksualna pokazywana jest też czasami jako brak ogłady: – Ten nieszczęsny afrodyzjak to próba zdjęcia winy z tego faceta. To jest przecież dobry człowiek, puścili mu hamulce, kiedy coś mu podano – ironizuje. – To jest dokładnie ten sam model promowany długo na Zachodzie, czyli romantyczny brutal. Ale wydaje mi się, że w serialach produkowanych po 2019 roku, mam na myśli te z akcją rozgrywaną się współcześnie, mniej jest takich scen. Choć nie mam oglądu całości, musiałabym spędzić przed telewizorem wiele tygodni, żeby obejrzeć wszystko – podkreśla.

Zemanek dodaje, że prawo zakazujące przemocy wobec kobiet obowiązuje w Chinach od 2016 roku. Aktywizm feministyczny jest natomiast potępiany, a media często promują tradycyjne wyobrażenia płci.

– Niech pani zwróci uwagę, że nawet w tych serialach z bohaterkami niezależnymi i zaradnymi w finale one ostatecznie kończą u boku swojego ukochanego, pokazane są z gromadką dzieci i to jest happy end – mówi. Jako przykład podaje produkcję „Naprawdę chcę się zakochać” z 2004 r., chińską wersję „Seksu w wielkim mieście”, ale z bohaterką przypominającą Samanthę, lecz ukazaną tylko jako szczęśliwa mężatka, która porzuciła wielkomiejski konsumeryzm, bez dzieci.

Faktycznie. Wspomniana przeze mnie Jiang Xuening też wszystko wybacza ukochanemu, w ostatnim odcinku przekomarzają się nad głowami swoich dzieci. Mężczyzna jest nawet dla tych silnych bohaterek nagrodą. Rodzina jest najważniejsza. Bohaterka została więc w pewnym sensie nawrócona.

Rozwód już nie jest tabu

W wielu rozgrywających się współcześnie serialach główny bohater romantyczny to

prezes dużej firmy, człowiek, który ma władzę i pieniądze. – W chińskich serialach mamy też do czynienia z przemocą ekonomiczną. Obejrzała pani tych seriali pełno, więc pani wie, że w Azji CEO to superromantyczny bohater, który pod wpływem miłości albo się zmienia, albo nie. Tutaj działa efekt patriarchalny: mężczyzna jest silny, ma kontrolę, co podkreśla oblaśnianiem bohaterki – mówi Mikrut-Żaczekiewicz.

Pyta mnie też, czy oglądałam jedną z najpopularniejszych chińskich dram, popularną również na Zachodzie dzięki dystrybucji na Netflixie. Chodzi o „Meteor Garden”: serial o nastoletnim bogatym brutalu, który zakochuje się w koleżance ze szkoły. Kiedy zostaje odrzucony, szarpie ją i popycha, całuje na siłę, męczy wybuchami zazdrości. Gdy brakuje mu argumentu, wylewa jej na głowę gorące danie, a potem uderza w twarz. – Nawet w Chinach podniosły się krytyczne głosy – mówi Mikrut-Żaczekiewicz. – Rozmawiano m.in. o tym, czy tak powinno wyglądać właśnie przygotowywanie młodych ludzi do życia.

To jednak już się zmienia. Coraz więcej chińskich seriali pokazuje kobiety, które miały przed głównym bohaterem chłopaka albo nawet męża.

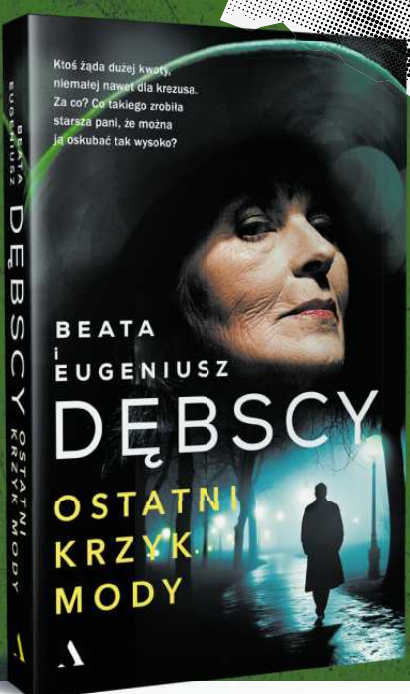
– Rozwód przestał być w Chinach tabu, szczególnie po 2019 roku i lockdownie – po nich wskaźnik rozwodów w Chinach był ogromny. Szacuje się nawet, że w 2022 roku rozwiodło się 3 mln par. Wcześniej rozwody były bardzo źle postrzegane, zwłaszcza przez starsze pokolenia, rodzice uznawali rozwód za wielki skandal. Teraz kobiety są wyedukowane, po rozwodzie mają pracę i gdzie mieszkać, mają swoje pieniądze i nie są już w żaden sposób ograniczane przez mężczyznę. Stąd też częstsze pokazywanie rozwodów w serialach – mówi Agnieszka Mikrut-Żaczekiewicz.

Pytam ją dlaczego w jednych serialach jest sporo pocałunków i scen prawie erotycznych, a w innych zostały one wyrażone wycięte.

– Chińska cenzura to w ogóle jakaś dziwna instytucja. Zależy od tego, na jaką komisię cenzorską się trafi. Sam zapis mówi, że nie można promować niepożądanych zachowań, ale co to właściwie oznacza? Czy chodzi o strzelaniny, czy o seks pozamałżeński? To dość nieprecyzyjne i daje dużo swobody. Stąd powstaje tak dużo seriali fantasy, w których bohaterka np. przenosi się w czasie lub do fabuły powieści. Z punktu widzenia partii [komunistycznej] w nierealnym świecie może sobie pozwolić na namiętny romans, ale zasadniczo jest przecież dobrą dziewczyną ze współczesności. ●

REKLAMA

Kraj/34374466



Ktoś żąda dużej kwoty, nie miałej nawet dla krowusa. Za co? Co takiego zrobiła starsza pani, że można ją oskubać tak wysoko?

BEATA EUGENIUSZ
DĘBSCY
OSTATNI KRZYK MODY

NAJBARDZIEJ WYSTRZAŁOWY DUET DETEKTYWISTYCZNY POWRACA!

TOMEK WINKLER I BABCIA ROMA ZNÓW NA TROPIE. PASKUDNA SPRAWA Z PRZESZŁOŚCI, SZANTAŻ I MODELKA NA EMERYTURZE, KTÓRA OKAZUJE SIĘ KLIENTKĄ Z PIEKŁA RODEM!

Mroczny Wrocław, czarny humor i cienie PRL-u. Tylko jeden, niepokorny detektyw może rozwikłać zagadkę. Na taki powrót Tomasza Winklera czekałam!

AGNIESZKA GRACA



CZYTASZ W PAPIERZE? ZAJRZYJ NA  KULTURALNY SKLEP PL WOLISZ EBOOKI / AUDIOBOOKI? ZAPRASZAMY NA  **publio.pl**

 Wydawnictwo
Agora

Ukraińcy i Polacy bez stereotypów

TAK POWSTAŁA
UKRAINA



Rzeczypospolitej nie były jednoznacznym dobrodziejstwem dla naszych wschodnich sąsiadów.

Tomasz Stryjek*

Uowa synteza dziejów Ukrainy lwowskiego historyka Jarosława Hrycaka „Ukraina. Wyrwać się z przeszłości” wydana niedawno w Polsce to fenomen w skali zdecydowanie szerszej niż historiografia tego kraju. Jest ona owocem całej drogi autora jako akademickiego historyka oraz uczestnika międzynarodowej debaty na ten temat. Naturalnie nie mogłaby być w pełni zrozumiana, gdyby została przeczytana bez wzięcia pod uwagę również jego roli intelektualisty publicznego w Ukrainie oraz osoby współtworzącej jej współczesny wizerunek na świecie.

Najprawdopodobniej nie ma w Polsce osoby, która by się interesowała historią Ukrainy oraz relacji polsko-ukraińskich i nie zetknęła z wypowiedziami Hrycaka na ten temat. Mając to na uwadze, podzielę się spostrzeżeniami nie tylko co do generalnego ujęcia przez niego dziejów jego kraju, ale także co

do tego, jak przedstawił on oddziaływanie Polski na Ukrainę w przeszłości.

Napisanie syntezy historii jakiegokolwiek kraju to dla historyków nie lada wyzwanie. Staje bowiem wtedy przed nimi pytanie, dzieje czego faktycznie mają być przedmiotem ich zainteresowania: ziemi określonej pewnymi granicami, ludzi ją zamieszkujących, państw, które ją obejmowały, narodu, który uważa ją za swoją ojczyznę, a może kultury, która się na niej ukształtowała? Każde z tych pojęć nasyca trudności definicyjnych, a ponadto ich znaczenie zmieniało się na przestrzeni wieków.

Historycy od zarania dziejopisarstwa zmagali się z tym wyzwaniem. W późnym XIX i niemal całym XX wieku powstawały syntezy oparte na różnych założeniach. Jednak ówczesni autorzy niemal bez wyjątku czynili głównym podmiotem dziejów naród, czyli, mówiąc językiem historiografii, reprezentowali paradygmat narodowy. W Europie Środkowo-Wschodniej miał on dwie główne odmiany – państwową, akcentującą rolę elit, i ludową, kładącą nacisk na rolę niższych warstw społecznych.

Historyk postępujący zgodnie z paradygmatem narodowym faktycznie – jakkolwiek by to się wydawało paradoksalne – wychodził od końca dziejów danego kraju i zmierzał do ich początku. W punkcie wyjścia tworzył obraz wywiedziony z teraźniejszego życia zamieszkującego dany kraj narodu oraz jego zbiorowych oczekiwań co do przyszłości i rzutował go „w głąb” przeszłości, szukając możliwości jego uzasadnienia.

W ten sposób powstawał schemat dziejów danego kraju zakładający wczesne powstanie oraz nieprzerwaną ciągłość istnienia narodu na przestrzeni nawet tysiąclecia. Historyk interpretował jego dzieje, nadając im taki sens, jaki jego zdaniem był potrzebny współczesnym.

W Polsce w XIX i XX wieku rezultat takiego postępowania bywał taki, że pierwszymi Polakami okazywali się Mieszko I, Bolesław Chrobry i otaczający ich wojowie.

Nie inaczej było z pisaniem syntez dziejów Ukrainy. Różnica z Polską polegała na tym, że w jej przypadku historycy częściej sięgali po odmianę nie państwową, lecz ludową.

W pierwszej połowie XX wieku w historiografii ukraińskiej powstały klasyczne syntezy reprezentujące szkoły historyków – ludową (narodnycką, Mychajło Hruszewski) oraz państwową (derżawnycką, Dmytro Doroszenko).

W końcu XX wieku swoją syntezę opublikowała też Natalia Jakowenko, której ujęcie nazywam kulturowym. Zgodnie z nim ciągłość dziejów Ukrainy wyrażała się nie poprzez ponadtysiącletnią genealogiczną kontynuację zamieszkujących ją mas ludzi mówiących dialektami jednego języka (narodnyky) ani nie poprzez tysiącletnie występowanie miejscowych elit przekazujących międzypokoleniowo sobie tylko właściwe tradycje rządzenia (derżawnyky), lecz przez ukształtowanie odrębnej od sąsiadów rusko-ukraińskiej jednostki kulturowej, czego po-

• **Ukraina. Międzynarodowy Festiwal Kultur na wyspie Chortyca na Dnieprze, w okolicach miasta Zaporozie. (29.08.2020)**

czątek miał miejsce później niż w tamtych przypadkach – u schyłku średniowiecza i zarania epoki nowożytnej.

Pierwszą swoją syntezę historii Ukrainy Hrycak opublikował już w 1996 r. Dotyczyła jedynie epoki nowoczesnej, czyli XIX i XX wieku, zatem okresu, w którym kategoria narodu wyszła na pierwszy plan w historii Europy. W bardzo ogólny sposób została przez autora skomponowana z syntezą Jakowenko obejmującą okres od czasów przedhistorycznych do końca XVIII wieku (1997).

Już wtedy Hrycak przedstawił alternatywę wobec ujęć występujących w syntezach klasycznych. Sięgnął po paradygmat modernizacyjny w studiach nad narodem i nacjonalizmem, który był szeroko dyskutowany w kręgach akademickich w końcu zeszłego wieku. Wykorzystał też inspiracje pochodzące od dwu historyków z diaspory zajmujących się Ukrainą – Iwana Łysiaka-Rudnyckiego oraz Romana Szporluka. Ten ostatni, wzięwszy na warsztat historię Ukrainy, wniósł istotne korekty do schematu powstawania narodów głównego przedstawiciela modernistów Ernesta Gellnera.

W syntezie z 1996 r. Hrycak wyszedł od twierdzenia Gellnera, że narody Europy Środkowej powstawały w XIX-XX wieku w wyniku oddziaływania procesu modernizacji przychodzącego z Zachodu, na który składały się: industrializacja, urbanizacja, biurokratyzacja i alfabetyzacja, a także objęcie przez państwa mężczyzn powszechną służbą wojskową. Na dalszym etapie miało miejsce wprowadzenie ich do polityki masowej przez nadanie powszechnego prawa wyborczego i skierowanie do walki w imieniu narodów w obu wojnach światowych.

Jednak Hrycak nie poprowadził swojego wykładu zgodnie z tym prostym szlakiem, lecz, rozwijając uwagi Szporluka, przekonywał, że naród ukraiński ukształtował się bardziej wskutek pośredniego niż bezpośredniego oddziaływania tego procesu na ludność graniczących ze sobą prowincji w cesarstwie rosyjskim oraz imperium Habsburgów.

U Gellnera masowa świadomość narodowa była wprost następstwem oddziaływania przemian składających się na proces modernizacji, natomiast Hrycak przyjął, że już samo zbliżanie się tego procesu do ziem ukraińskich silnie przyspieszyło proces narodotwórczy.

Skonstatowanie przez miejscowych inteligentów perspektywy nieuchronności rychłego skonfrontowania się Ukrainy z modernizacją skłoniło ich do realizacji projektu zorganizowania we wspólnotę zamieszkałej ją ludności. W ich strategii miało to stworzyć możliwość przyjęcia na własnych warunkach tego, co niósł ze sobą ten proces.

Argumentując w ten sposób, Hrycak położył nacisk na kulturowe i wyobrażeniowe aspekty procesu dziejowego (w czym szedł za Benedictem Andersonem, a nie Gellnerem). Zgodnie z tym ujęciem nowa Ukraina nie mogłaby się narodzić, gdyby nie sięgnęła do dziedzictwa starej Ukrainy kozackiej (XVI-XVIII wiek), a w pewnym stopniu także do średniowiecznej Rusi (X-XV wiek).

Interpretacja modernizacyjna Hrycaka i kulturowa Jakowenko, które w latach 90. stworzyły ze sobą całość właśnie dzięki ich przekonaniu o decydującym znaczeniu reinterpretacji dziedzictwa ruskiego i kozackiego przez koryfeuszy ukraińskiego odrodzenia narodowego w XIX wieku, przyniosły alternatywę dla interpretacji klasycznych. Jednak Hrycak przez następne ćwierćwiecze nadal stawiał sobie pytanie, czemu ma służyć synteza dziejów kraju i jak powinna być napisana ta, która dotyczy Ukrainy.

Ostatecznie jego obecne dzieło okazuje się w wielu punktach różne od poprzedniego, niemniej zasadniczy motyw jego napisania pozostał ten sam. Jest nim wyjaśnienie współczesnym odbiorcom, jak powstała Ukraina, co w jej dziejach było typowe, a co niezwykle, oraz w efekcie wskazanie im, do jakich postaw i symboli z przeszłości mogą sięgnąć, jeśli się z nią identyfikują.

Zatem nową syntezę Hrycaka łączy ze starą to, że nie została przygotowana przede wszystkim dla właściwego nauce akademickiej celu udokumentowania stanu wiedzy o dziejach Ukrainy. Autor wprost pisze w niej, że kieruje ją w pierwszym rzędzie do ludzi w Ukrainie urodzonych od 1991 r., którzy w nadal dynamicznie modernizującym się świecie potrzebują kompetentnego źródła rozumienia zachodzących w nim procesów oraz wskazówek, w jakim prawdopodobnie kierunku i pod



Jarosław Hrycak, „**Ukraina. Wyrwać się z przeszłości**”, przeł. Katarzyna Kotyńska, Joanna Majewska-Grabowska, Międzynarodowe Centrum Kultury, Kraków 2023



***prof. Tomasz Stryjek**

• ur. w 1964 r., historyk. Od wielu lat pracuje w Instytucie Studiów Politycznych PAN oraz w Collegium (od miesiąca Uniwersytecie) Civitas. Bada historiografię i politykę państw w krajach Europy Wschodniej i Środkowej. Wydał m.in.: „Jakiej przeszłości potrzebujemy przyszłość? Interpretacje dziejów narodowych w historiografii i debacie publicznej na Ukrainie 1991-2004”, „Ukraina przed końcem Historii. Szkice o polityce państw wobec pamięci”.

wplywem jakich czynników procesy te będą się toczyły dalej.

Wyznaje, że chce pozostać interpretatorem procesu modernizacji w epoce po postmodernizmie. Uważa bowiem, że świat zachodni, porzuciwszy w końcu zeszłego wieku paradygmat modernizacyjny i zrezygnowawszy z wyjaśniania w zgodzie z nim przeszłości oraz planowania przyszłości, nie proponował w zamiarze jednostkowym, jak i zbiorowym. Jest to śmiało credo osoby poddającej refleksji bieg dziejów oraz stan współczesnego świata, na które nie mogą sobie pozwolić historycy ściśle trzymający się swego akademickiego statusu i takiej też formuły pisania o historii.

Z tych przekonań Hrycaka wynika nieparadygmatyczny charakter jego nowej syntezy. Pozostaje ona historią jednego kraju, daje też pierwszeństwo wyjaśnieniu procesu kształtowania się Ukraińców jako narodu, ale nie ma w niej nie tylko jed-

Inaczej niż przed pomarańczową rewolucją Ukraina ma dziś wyrobionych wiele dróg do Europy. Ta prowadząca przez Warszawę nie odgrywa już tak ważnej roli

nej wielkiej teorii nadającej ramy interpretacji całej przeszłości, ale także teorii czy modeli dotyczących poszczególnych epok. Natomiast każde zjawisko czy proces wyjaśniane są w kategoriach socjologicznych i komparatystycznych.

Przykładem dystansu autora wobec używania wielkich teorii jest niewspomnienie w książce ani słowem o modelu kolonializmu w kontekście historycznych relacji między Ukrainą a Rosją, Polską i Austrią. W okresie, w którym w Ukrainie w kwestii relacji z Rosją w debacie publicznej nieustannie dyskutuje się na temat przeprowadzenia dekolonizacji symbolicznej, a nawet językowej, zignorowanie przez Hrycaka tej ramy interpretacyjnej może budzić wątpliwości, niemniej pozostaje dowodem indywidualnego rysu jego intelektualnej drogi.

Książka została napisana dla szerokiego grona czytelników, w związku z tym z jej lektury mogą mieć satysfakcję także początkujący adepci czytelnictwa historycznego. Konstrukcja całości jest oparta na klarownym podziale dziejów na sześć epok, a przekazywanie treści odbiorcom nieprofesjonalnym ułatwiają umieszczone w ich zakończeniach tematyczne podrozdziały przekrojowe. Poprzedza je rozdział wprowadzający o historycznym znaczeniu terminów Ruś, Ukraina i Ukraińcy oraz o napięciu między tradycją a nowoczesnością.

Podrozdziały specjalne dotyczą kwestii węzłowych w dziejach Ukrainy: rolnictwa zbożowego, pieśni ludowej, pogranicz, przemocy społecznej i politycznej oraz języka i zjawiska dwujęzyczności.

Jednak wspomniany brak paradygmatu nie oznacza, że w syntezie Hrycaka nie ma też tez generalnych. Dwie tezy współtworzą jej ostateczne przesłanie.

Po pierwsze, w XXI wieku świat nadal ucieka do przodu, w związku z czym w perspektywie długoterminowej w błędzie tkwią ci, którzy bojąc się przyszłości, zasklepiają się w przeszłości, jak Rosjanie pod rządami Putina, rację mają zaś ci, którzy organizują się zbiorowo, aby wziąć udział w tym, co nieuchronnie nadchodzi, jak Ukraińcy w dwu rewolucjach od 2004 r., obronie przed Rosją od 2014 r., wyborach prezydenckich i parlamentarnych w 2019 i walce z inwazją od 2022.

Autor nadal nie widzi dla Ukrainy innego wyboru niż aktywne uczestniczenie w modernizacji, chociaż głębiej dostrzega to, jak wiele dróg, w przeszłości i obecnie, odbiegających od zachodniego modelu rozwoju mogło i nadal może to uczestniczenie uskutecznić (multiple modernities). W świetle tej te-

zy sensu nabiera tytuł syntezy, w którym słowa „wyrwać się z przeszłości” odnoszą się do przełamania zbiorowym wysiłkiem przez Ukraińców przeszkód, niekiedy pochodzących z bardzo odległej przeszłości, na ich drodze do nowoczesności.

Czytelnik znajdzie w książce wiele poprowadzonych od podstaw wyjaśnień, z czego wzięły się te przeszkody. Autor, aby wyjaśnić źródło słabości produkcji wydawniczej i w konsekwencji włości życia intelektualnego Europy Wschodniej w porównaniu z Europą Zachodnią, wskazuje pośredni wpływ Bizancjum, który nastąpił przez pewien zbieg okoliczności dotyczący języków kultury.

Otóż Bizancjum przekazało krajom tej części kontynentu chrześcijaństwo w obrządku prawosławnym, natomiast nie przekazało im greki, gdyż w liturgii one jej nie potrzebowały, mając do dyspozycji zdecydowanie bliższy wiernym, ukształtowany na podstawie alfabetu Cyryla i Metodiego język staroцеркiewнословіанський. Ponieważ lwia część do-

robku Europy została zapisana w grece i łacinie, Rusini w Ukrainie, choć przyjęli chrześcijaństwo, nie uzyskali bezpośredniego dostępu do tego dziedzictwa.

Tymczasem w tej części Europy, która przyjęła chrześcijaństwo z Rzymu, przyjęto nie tylko religię, ale także łacinę jako język, w którym sprawowano liturgię. Tu w długiej perspektywie czasowej rozwój wspomógł to, że ludzie wykształceni, nauczyciel, a także, mogli bezpośrednio poznać spuściznę cywilizacji starożytnej i wczesnych chrześcijan. Natomiast to, że ludzie niewykształceni na Zachodzie nie rozumieli słów używanych w liturgii przez kapłanów, nie przeszkodziło mu w rozwoju, tym bardziej że później barierę tę zniósł reformacja.

Po drugie, zdaniem Hrycaka Ukraina od chwili, gdy zaczęła się wylaniać z Rusi, aż do obrony przed inwazją Rosji, rozwijała się przez przejmowanie wpływów oraz formułowanie odpowiedzi wobec wyzwań napływających do niej z Zachodu. W tym przekonaniu właśnie przejawia się w jego syntezie europejski oraz globalny wymiar jej dziejów.

I tak np. zasadniczym momentem w oddziaływaniu Zachodu było wciągnięcie Ukrainy do wymiany handlowej i powstałego w oparciu o nią globalnego podziału pracy, jaki w wyniku wielkich odkryć geograficznych ukształtował się między Starym a Nowym Światem oraz cywilizacjami azjatyckimi, a także w obrębie pierwszego z nich między Europą Zachodnią a Środkowo-Wschodnią.

Ukraina (wraz z Polską) stała się wtedy źródłem zaopatrzenia w produkty rolnicze Europy Zachodniej, która dzięki temu mogła przeznaczyć swoje zasoby do przeprowadzenia ekspansji kolonialnej, dokonania skoku rozwojowego i osiągnięcia pozycji światowego lidera postępu cywilizacyjnego.

W wyniku sukcesu gospodarczego Zachodu występująca od czasów rzymskich dysproporcja rozwojowa między nim a wschodnią częścią kontynentu jeszcze się pogłębiła. Formą wytwarzania produktów rolniczych w Ukrainie w XVI-XVII wieku stała się gospodarka folwarczno-pańszczyźniana (z tzw. wtórnym poddaństwem), a beneficjentem korzyści z ich eksportu na Zachód przede wszystkim szlachta na ziemiach ruskich Rzeczypospolitej.

W ramach oporu wobec niesprawiedliwości tego systemu gospodarczo-społecznego na szerokim pograniczu tego państwa z Rosją, Tatarami, Turcją i Mołdawią ukształtowała się Kozacyzna. Aby uzmysłowić czytelnikowi związek Ukrainy z procesami globalnymi, Hrycak wskazuje dwa wydarzenia z 1492 r.

Na dwu końcach tego wylaniającego się układu gospodarczego zostały zapoczątkowane procesy zmian: z jednej strony Kolumb odkrył Amerykę, z drugiej – pojawiła się pierwsza wzmianka w źródłach na temat Kozaków w Ukrainie.

Kolejną formą uczestniczenia Ukrainy w przemianach ogólnoeuropejskich było sprzymierzenie się Kozaków z pragnącym zachować odrębność Cerkwi w Ukrainie od Cerkwi w Moskwie prawosławnym metropolitą kijowskim. Nastąpiło to w początkach XVII wieku, gdy w Europie Zachodniej i Środkowej szczytu sięgnął proces konfesjonalizacji, czyli nadawania przez władców katolickich i protestanckich ich państwowi jednolitego charakteru wyznaniowego. Konsekwencją tego było wystąpienie Kozaków, części szlachty ruskiej i Cerkwi w Ukrainie przeciw Rzeczypospolitej w powstaniu z 1648 r.

Ówczesne elity ruskie powołały się na odrębną tradycję władzy wielkksiążęcej w średniowiecznej Rusi oraz swoje mityczne prehistoryczne pochodzenie jako zasadniczo inne od elit polskich. O budowie w Ukrainie Hetmańszczyzny, czyli państwa kozackiego (1648-1764), pisano już za życia jego twórcy Chmielnickiego, zarówno w Anglii, jak i w Hiszpanii.

Kwestia oddziaływania Polski na Ukrainę w syntezach dziejów Ukrainy Hrycaka zasługuje na kilka uwag, po pierwsze, w kontekście roli, jaką ten historyk odgrywa w procesie pojednania polsko-ukraińskiego. W kwestii zbrodni na Wołyniu w latach 1943-44 niezmiennie pozostaje on rzecznikiem pełnego przedstawienia, moralnej oceny oraz upowszechniania wiedzy o wszystkich działaniach obu stron konfliktu.

Świadectwem tego stanowiska w syntezie jest we wspomnianym podrozdziale o przemocy w historii Ukrainy umieszczenie przykładu zbrodni UPA na Polakach na Wołyniu obok przykładów śmierci Ukraińców w Hołodomorze w 1933 r. oraz Żydów w wyniku pogromów w Ukrainie w roku 1919 i 1941, a także przede wszystkim nazistowskiej eksterminacji w latach 1941-44.

Po drugie, polski czytelnik, przeczytawszy syntezę Hrycaka, może doznać pewnego zaskoczenia. Otóż może mu się wydawać, że o Polsce jest w niej napisane za mało i w sposób zbyt krytyczny, a w każdym razie nieupoważniający do wyciągnięcia wniosku, że całościowy bilans stosunków między dwoma krajami był pozytywny. Spróbuję wyjaśnić, z czego takie wrażenie może pochodzić.

W syntezie z 1996 r. rzeczywiście było napisane więcej. Jednak porównywanie objętościowe nie ma większego sensu, bo wtedy chodziło jedynie o ostatnie dwa stulecia, kiedy toczył się trudny proces rozdzielania ukraińsko-polskiego, obecnie zaś chodzi o całe dzieje Ukrainy. Trzeba zatem przyjrzeć się nie objętości, lecz argumentom stojącym za krytykami autora, oraz zobaczyć, jakie miejsce wyznaczył on Polsce i jej relacjom z Ukrainą w całej narracji w obu tych ujęciach.

W nowej syntezie przedstawił epokę pozostawania dużej części ziem współczesnej Ukrainy od połowy XIV do końca XVIII wieku pod władzą Korony Polskiej w sposób zbliżony do tych współczesnych ukraińskich historyków, którzy, jak Natalia Starczenko, współpracowniczka Jakowenko, wydobywały transmisję przez Polskę osiągnąć cywilizacji zachodniej do Ukrainy.

Niemniej bardziej od nich wypuklił to, że specyficzna recepcja tych osiągnięć w całym państwie doprowadziła do wynaturzeń, zgubnych w skutkach dla niego oraz dla stosunków społecznych. Pokazał, jak demokracja szlachecka po przekształceniu się w oligopol magnacki oraz powrót do feudalizmu w gospodarce ostatecznie źle przysłużyły się państwu i niższemu warstwowi jego ludności.

Zjawiska te wyraźnie gorzej niż na centrum odbiły się na jego peryferyjnych częściach, jak właśnie Ukraina. Hrycak pokazał, że inne postacie ówczesnego Zachodu niż ta „ubrana w polski kontusz” – których oddziaływanie na Ukrainę mogło równie mocno uprzedmiotawiać ją, jednak jednocześnie najprawdopodobniej zdecydowanie bardziej by ją modernizowało – jak najbardziej wtedy istniały, tyle że nie miały jeszcze do niej bezpośredniego dostępu. Ostatecznie w świetle jego ujęcia per saldo rządy Rzeczypospolitej nie były jednoznacznym dobrodziejstwem dla Ukrainy.

Natomiast współczesne opinie Hrycaka na temat oddziaływania Polski na Ukrainę w epoce nowocze-

snej – poprzez inspiracje polskiego ruchu niepodległościowego wobec narodowego ruchu ukraińskiego w XIX wieku, pokonanie przez Polskę Zachodnioukraińskiej Republiki Ludowej w 1919 r., nieudaną próbę koordynacji działań II RP i Ukraińskiej Republiki Ludowej w 1920, dyskryminacyjną politykę wobec Ukraińców władz Polski w dwudziestoleciu międzywojennym, walkę i zbrodnie masowe w latach 1939-47, wreszcie wzajemne zbliżenie do siebie kręgów emigracyjnych i dysydenckich w latach 70.-80. XX wieku – nadal tak samo doceniają momenty współpracy, jak i piętnują przejawy niesprawiedliwości i krzywd, podobnie jak w jego poprzednich publikacjach.

Opinie Hrycaka pozostają wyważone i nie prowadzą do zakwestionowania ani ogólnego znaczenia Polski w dziejach Ukrainy, ani w szczególności jej roli jako kraju transmitującego do niej osiągnięcia cywilizacji europejskiej. Jedyne, co w jego ujęciu oddziaływania Polski na Ukrainę uległo zmianie w stosunku do syntezy sprzed 30 lat, to miejsce, jakie ta kwestia zajmuje w całej narracji. Jeśli bowiem u niego historia Ukrainy z poziomu dziejów jednego z narodów w Europie Środkowo-Wschodniej w 1996 r. przez ćwierćwiecze „wspięła” się do poziomu historii globalnej, to w narracji musiały się też zmienić miejsca zajmowane przez wszystkie pojedyncze kraje. Dotyczy to nie tylko Polski, ale też innych sąsiadów Ukrainy – z jednej strony Austrii, Węgier, Rumunii, a z drugiej – Rosji.

Różnica ta jest na swój sposób paralelna w stosunku do zmian, jakie zaszły w położeniu państwa ukraińskiego od 1991 r. Jako uczestnik stosunków międzynarodowych przeszło ono drogę od takiego, które w latach 90. było przedmiotem polityki mocarstw i dopiero co nawiązało oficjalne relacje z sąsiadami, do takiego, które bierze udział w grze o kierunek rozwoju całej Europy oraz nową równowagę sił na świecie.

W związku z tym ujęcie Hrycaka stanowi urealnianą alternatywę w stosunku do ujęcia tych polskich interpretatorów wspólnej historii, którzy nie dostrzegli tej zmiany. Inaczej niż w okresie do pomarańczowej rewolucji [2004-05], Ukraina ma już dziś wyrobionych wiele dróg do Europy, z których ta prowadząca przez Warszawę nie odgrywa już tak ważnej roli.

Nie dostrzegłszy tego czy dostrzegłszy, ale nie chcąc pogodzić się z tym, interpretatorzy ci podnoszą wyłącznie pozytywne oddziaływania Polski na Ukrainę w przeszłości, a niektórzy nawet propagują tezę o ukształtowaniu na ziemiach Rzeczypospolitej „cywilizacji kresowej” rzekomo równie korzystnej dla przedstawicieli wszystkich wyznań i grup społecznych.

Obecne ujęcie Hrycaka nie spodoba się przedstawicielom poglądu o zasadniczym kulturotwórczym i narodotwórczym wpływie Rzeczypospolitej i Polaków na powstanie narodów ukraińskiego, białoruskiego i litewskiego. W Polsce, w sytuacji inwazji Rosji na Ukrainę i wezwań do konsolidacji całego regionu, pogląd ten jeszcze wzmocnił swą reprezentację nie tylko w debacie publicznej, ale nawet w niektórych kręgach akademickich.

Nie jest on do utrzymania na gruncie historiografii, której podstawową misją zawsze było przedstawianie przeszłości ludziom współczesnym za pomocą jak najbardziej bezstronnych obrazów. Rozmija się on też zasadniczo z obecną pozycją państwa ukraińskiego i ze zbiorowymi emocjami Ukraińców.

Na koniec zwrócę jeszcze uwagę owym piewcom wielkości i wyjątkowości Rzeczypospolitej, że Hrycak jest tym ukraińskim historykiem, który słowem nie wspomniął o kolonializmie w interpretacji historii relacji polsko-ukraińskich. Niech spojrzą na to z tej perspektywy, dziś bowiem ujęcie właśnie kolonialne tych relacji (nie tylko relacji rosyjsko-ukraińskich!) może się stać w konkurencji o zdobycie popularności wśród ukraińskiej opinii publicznej najważniejszym rywalem dla przedstawionego w omawianej syntezie obrazu.

Jeśli uzyskałoby ono tam szeroki poklask w wersji, która uznaje model relacji europejskich metropolii z zamorskimi koloniami z XVI-XVIII wieku za wprost adekwatny do relacji w ówczesnej Rzeczypospolitej między centrum a peryferiami, dialog o historii Polaków i Ukraińców mógłby znaleźć się w tak głębokim impasie, że zaiste wielkim problemem stałoby się jego przełamanie. ●

Tytuł tekstu - „Wyborcza”.

WIERSZ POLECA ANDRZEJ ZAGOZDA

Ben Okri*

Pustka

Rozmawiałem z budowniczym
mostów i zapytałem
jak stworzył konstrukcję
łąączącą dwa zwalczające się
żywioty. Oto jego odpowiedź.
Czym jest most?
Podzielonym łądem czy szczeliną
pomiędzy? Większość widzi złączenie
wymuszone koniecznością
i kompromisem, wzajemnym
szacunkiem lub współżyciem.
Ale jego interesowała przestrzeń
oddzielająca dwie krainy,
które być może są jedną nadzieją.
Myślenie o próżni
sprawiło, że stworzył
wyjątkową, godną starego mitu
koncepcję. Zbudował
most ujmujący
pustą przestrzeń.
Przechodząc go
czuje się grozę kołysania
wiatru i wysokości,
wyjącą przepaść. Nikt
nie może przejść mostu bez
szacunku, ostrożnego trzymania się
lin po obu stronach,
bez świadomości piękna,
głębin i skał,
bezlitosnej pustyni dookoła.
Najdziwniejsza w moście
jest biegnąca przez środek
szczelina. Połówki nie stykają się ze sobą.
Szczelina sprawia, że twardy materiał
rozprzestrzenia ciepło.
Nie zasługuje na nią
żaden z łądów, tylko wściekłość
i pustka pomiędzy.
To wskroś niej spada historia.
Potrzebujemy nowego mostu, nie takiego,
który połączy niezdolnych do pojednania
ludzi, ale takiego, który codziennie
będzie im przypominał w jaką pustkę
mogą spadać. I że nie ma
końca temu spadaniu, ani teraz, ani
po kres historii. Być może
szaleństwo sprawi, że wzniosą
most jakiego nigdy wcześniej
nie zbudowano. Nie most
pokoju, lecz przerażenia dla świata,
w którym nigdy nie może zapanować pokój.

przeł. Krzysztof Czyżewski

*Ben Okri - ur. w 1959 r., pisarz i poeta nigeryjski, tworzący w języku angielskim. Kształcił się w Wielkiej Brytanii, w latach 1983-85 był spikerem w BBC. Autor nagradzanych powieści (m.in. Nagrodą Bookera), napisanych w poetyce realizmu magicznego; były wydawane także w Polsce. Wiersz ukazał się w „The New York Review of Books” w lutym 2024 r.



FOT. METS/AVEND/CC-BY-SA 3.0



Historyk NIE JEST WRÓŻKĄ

Z dymu czy z kości niczego nie wyczyta.

Z PROF. EWĄ DOMAŃSKĄ ROZMAWIA WOJCIECH SZOT

FOT. MAKSYMILIAN KACHENKO/GETTY IMAGES/ISTOCKPHOTO

WOJCIECH SZOT: Czego historyk może się nauczyć w domu pogrzebowym?

PROF. EWA DOMAŃSKA: Przekroczenia kulturowo-społecznej refleksji nad śmiercią w stronę jej biologicznej materialności, zmierzenia się z tabu martwego ciała, obserwacji postępu technologicznego w dziedzinie tanatopraksji, a także śledzenia zmian w praktykach pogrzebowych i formach upamiętniania zmarłych. Domy pogrzebowe odwiedzałam, pracując nad książką „Nekros. Wprowadzenie do ontologii martwego ciała” (PWN, 2017). Przedmiotem mojego zainteresowania nie było – jak by powiedział Martin Heidegger – „bycie-ku-śmierci”, lecz „bycie-ku-martwemu-ciału”.

Zajmowałam mnie status martwego ciała, jego biologiczne przemiany oraz zmiana społecznego stosunku wobec ludzkich szczątków. Interesowałam się także alternatywnymi formami pochówku, takimi jak ekopochówki, oraz problematyką bezpieczeństwa genetycznego. Dlatego podczas swoich badań przyglądałam się pracy domów pogrzebowych. Nauczyłam się tam pokory i spokoju wobec obecności martwego ciała oraz szacunku wobec osób, które tam pracują.

Interesuje mnie również przełożenie rozważań naukowych na użyteczność społeczną.

Gdy ponad dwie dekady temu zaczęłam zajmować się tym tematem, było ono podejmowany marginalnie. Dzisiaj istnieje już wiele inicjatyw, jak Instytut Dobrej Śmierci, oraz publikacji przedstawiających aktualne badania dotyczące zjawiska śmierci, opieki nad martwym ciałem i różnych form pochówku. Społeczeństwo bardzo powoli oswaja się z tematyką martwego ciała i szczątków. Promowane są praktyki dobrej śmierci, czuwania przy zmarłym, przygotowania ciała do pogrzebu przez bliskich oraz świadomego wyboru formy pochówku.

W Polsce pojawiły się już informacje na temat *douli* umierania (czy położnych śmierci) – osobach, które profesjonalnie wspierają umierających oraz ich rodziny. Nasze społeczeństwo się starzeje i częściej będziemy mieli do czynienia z umieraniem niż z rodzeniem się. Dlatego wszystkie te zagadnienia są bardzo ważne i przyszłościowe.

Powiedziała pani kiedyś, że „historia zaczyna się w grobie”.

– Gdy w roku 2000 pojechałam na konferencję naukową do Buenos Aires, spotkałam się tam z matkami *desaparecidos*, tj. osób, które „zaginięły” podczas wojny domowej w Argentynie (1976-82). Zostałam zaprowadzona do ESMA (Escuela Superior de Mecánica de la Armada) – miejsca, w którym przetrzymywani byli ludzie uznani za wrogów reżimu. Wówczas nie było to jeszcze muzeum jak dzisiaj; nadal widoczne były ślady kaźni. Widziałam również ekshumacje grobów masowych. Owa agresywna materialność przeszłości zrobiła na mnie głębokie wrażenie i skierowała moje badania na zagadnienie ontologii martwego ciała oraz na globalny ruch ekshumacji politycznych.

Zaczęłam też dostrzegać, że humanista nie może się skupiać tylko na swojej wąskiej dziedzinie, nawet jeżeli robi to w perspektywie interdyscyplinarnej, ale tylko w jej ramach. Wiedza z zakresu antropologii fizycznej, gleboznawstwa, biologii czy chemii jest zasadnicza, żeby spojrzeć na martwe ciała i groby masowe w sposób holistyczny. Moim zdaniem jednym z najpoważniejszych błędów, jakie obecnie mogą zrobić humaniści, jest ignorowanie postępu wiedzy w naukach przyrodniczych.

Czyli śmierć to przyszłość?

– Zdecydowanie, i to z różnych względów. W miarę narastających konfliktów, katastrof ekologicznych i pandemii będziemy się coraz częściej konfrontować z widokiem martwych ciał i masowych grobów.

Z innej strony: nie fascynują mnie rozmowy o nieśmiertelności. Biologicznie rzecz ujmując, nieśmiertelność byłaby przekleństwem. Być człowiekiem – przynajmniej tak, jak to dzisiaj rozumiemy – to móc umrzeć. I ta możliwość – podobnie jak prawo do naturalnej dekompozycji ciała – powinna być uznana za jedno z fundamentalnych praw człowieka.

A jak przyszłość będzie opowiadała przeszłość?

Czasem się zastanawiam, jak przyszłe pokolenia będą patrzeć na to, co napisałem.

– Każda wiedza ma charakter historyczny, zwłaszcza nauka, która zmienia się coraz szybciej. Poszłabym dalej i zapytała: Kto w przyszłości będzie tworzył wiedzę o przeszłości i dla kogo? Historycy nie ograniczają się już do klasycznych narracji; tworzą historie wizualne, dźwiękowe; przekazują wiedzę poprzez podcasty, performance’y czy blogi.

Badacze, którzy zajmują się *animal studies*, coraz częściej mówią o możliwości komunikowania się ze

zwierzętami, co w przypadku człekokształtnych było już wcześniej praktykowane za pomocą języka migowego. Pojawiły się jednak nowe perspektywy. Google tworzy model sztucznej inteligencji, który może pozwolić na porozumiewanie się z delfinami. Nietrudno sobie wyobrazić, że w przyszłości technologia pozwoli na to, że komunikacja międzyludzka i międzygatunkowa będzie przebiegać neuronalnie.

Człowiek traci epistemiczny monopol na tworzenie wiedzy. Już od dłuższego czasu współtworzymy ją przy użyciu komputerów, obecnie z pomocą AI, a w przyszłości sposobów tworzenia i przekazywania wiedzy będzie dużo więcej. Co to wszystko ma do opowiadania historii? Może po prostu nie będzie opowiadana? Może będzie odgrywana przez hologramy na holodkach znanych z filmu „Star Trek”. A może wiedza historyczna będzie „wgrywana” bezpośrednio do mózgu poprzez bezprzewodowe interfejsy neuronalne połączone z komputerem. Wiedza przestanie być własnością jednostkową i będzie współdzielona w ramach zbiorowej bazy wiedzy ludzkości. W takiej rzeczywistości tradycyjne formy nauczania – szkoły, uniwersytety, książki – staną się anachronizmami.

To spekulacje wsparte jednak wizjami znanymi z książek i filmów *science-fiction*, które są bardzo potrzebne. Wiedza powinna być przyszłościogenna. Pisząc o przeszłości, szukam w niej prototypów możliwych przyszłości. To ważne, nawet jeśli są one ograniczone czasowo i przestrzennie.

Wie pan, że historycy nie mają wyobraźni?



Często słyszę pytanie o to, czy widzę różnicę między studentami w Stanach Zjednoczonych a tymi w Polsce. Jeżeli chodzi o potencjał i wiedzę – nie widzę żadnej. Wydaje mi się wręcz, że jesteście bardziej kreatywni. Polska kształci rebeliantów. Polacy są niepokorni – i to nam daje dużą przewagę

Naprawdę?

– Niestety, często jej nie mają, bo nikt ich tego nie uczy. To nie jest zdolność czy umiejętność, która figuruje w efektach kształcenia na kierunku historia. A przecież jesteśmy w momencie, w którym nauka ma wskazywać alternatywne scenariusze przyszłości. Myślę, że historycy mają tu do odegrania bardzo ważną rolę, ale bez wyobraźni niewiele powiedzą o przyszłości – o przeszłości w interesujący sposób zresztą też nie.

Jednocześnie historycy w Polsce nie mogą narzekać. Wydaje się, że u nas prawie wszyscy interesują się historią.

– Pytanie, jaką historią. Raczej spopularyzowaną, a nie akademicką. Coraz większe zainteresowanie budzi historia publiczna promująca partycypacyjne tworzenie wiedzy, odpowiadająca i spełniająca oczekiwania społeczne. Jednocześnie obserwujemy niebezpieczne zjawiska takie jak: rosnąca popularność mitologii typu Wielka Lechia czy turbosłowianie.

Historia to opowieść, niekoniecznie fakty.

– Dla profesjonalnego historyka historia to narracja o przeszłości oparta na faktach ustalonych na podstawie badań źródłowych za pomocą określonych metod naukowych. Bardzo wspieram popularyzację wiedzy, ale bronię wiedzy naukowej opartej na solidnym rzemiośle.

Historia opiera się ona na umiejętności zarówno krytyki źródeł, jak i wyjaśniania oraz interpretacji zjawisk i procesów historycznych. Czyli metodologia. Problemy pojawiają się, gdy osoby zainteresowane pozyskaniem informacji na dany temat idą do archiwum nieprzygotowane i traktują źródła jako prawdę objawioną. W istocie historia jest trudną dyscypliną wymagającą uważnej krytyki, metodologicznej precyzji i filozoficznej refleksji. Można mi w tej sprawie zarzucić konserwatyzm, ale stoję zdecydowanie w obronie kompetencji i umiejętności badawczych historyka.

Nie uważam oczywiście, że tylko historycy mogą stworzyć kompetentną wiedzę o przeszłości. Dosko-

nałym przykładem są reportaże. Gdy są oparte na rzetelnie prowadzonych badaniach archiwalnych, mogą przekazywać wiarygodną wiedzę o przeszłości. Dobrym przykładem jest choćby „Cudowna” Piotra Nesterowicza.

Z wypowiedzi wielu historyków przebija jednak obawa przed „infekowaniem” nauki przez osoby spoza cechu.

– Nie zgadzam się z takim myśleniem, ale pewne zagrożenia istnieją. Wiedza stała się towarem. W efekcie za wartościowe uznawane jest to, co się sprzedaje. Mamy wiele przykładów złych książek o historii, które z tego powodu, że się sprzedają i znalazły czytelników, zostały uznane za wartościowe.

Są też pozytywne przykłady – jak choćby książka Jana Sowy „Fantomowe ciało króla” czy „Ludowa historia Polski” Adama Leszczyńskiego. To nie są książki pozbawione wad – historycy recenzowali je często bardzo krytycznie, ale ich zaletą i wartością jest m.in. to, że obaj badacze oferują nam ciekawą wizję przeszłości. Można być specjalistą od jakiegoś wąskiego tematu, ale warto też myśleć w kategoriach historii panoramicznej oferującej wizję przeszłości. Mogą być błędne, mogą wzbudzać kontrowersje, ale wywołują dyskusje. Nie każdy zgadza się np. z tym, że tzw. Kresy były kolonią Rzeczypospolitej, ale już samo zaprezentowanie takiej interpretacji jest cenne, bo wywołuje zainteresowanie społeczne.

Można się z Leszczyńskim nie zgadzać, ale dzięki temu, że wybuchła dyskusja o poddaństwie i „ludowej historii”, zwiększyło się zainteresowanie historią. Bo wbrew pozorom jest ono u nas dość powierzchowne, oparte na obchodach rocznicowych albo napędzane ideologicznymi sporami. Pozostaje pytanie, kiedy popularyzacja wiedzy zamienia się w jej komercjalizację i co jest ważniejsze. To, żeby sprzedać opowieść, a więc tak ją skonstruować, by odpowiadała oczekiwaniom „konsumenta”, czy żeby jednak być w zgodzie z nauką, często wbrew temu, co by chciał przeczytać u nas potencjalny klient. I kolejne: gdzie jest granica między popularyzacją a populizmem intelektualnym?

Ciekawym przykładem są na pewno „Chłopki” Joanny Kuciel-Frydryszak. Niezwykła wręcz skala popularności nie wzięła się przecież znikąd.

– Rzeczywiście, „Chłopki” wpisują się w dobrze rozpoznany proces ogólnoswiatowy badania losów zwykłych ludzi, tzw. historii oddolnych, a ostatnio w „zwrot indygeniczny”, tj. wzrastające zainteresowanie dziejami ludności rdzennej. W Polsce nie mamy wprawdzie „indygenów”, ale mamy mniejszości, grupy podporządkowanej społeczności lokalne. Ponieważ przez wieki historia oficjalna związana była z królami, dowódcami, klasami właścicieli, to chłop stał się kimś na kształt tubylca. Zatem historia chłopów stała się czymś w rodzaju naszej historii „indygenicznej”. Łączy ona historię lokalną, historię oddolną i grup marginalizowanych czy wykluczonych z poszukiwaniem tożsamości i sprawiedliwości dziejowej.

Młodzi badacze coraz częściej rozważają historię z perspektywy marksizmu. Widzimy też powrót do kategorii klasy społecznej.

– Tak, ale nie wynika to z politycznych nacisków, ale z autentycznego zainteresowania młodych teoriami emancypacji oraz z chęci dociekania swoich chłopskich korzeni, z których są dumni. Jest jednak w tym niebezpieczeństwo.

Emancypacyjny w swych założeniach „zwrot ludowy” w pewnym momencie wpisał się w antyintelektualną politykę PiS. „Wybryki” artystów i intelektualistów publicznie były obnażane i piętnowane jako zagrożenie dla „zdrowej tkanki społeczeństwa”. Rzecz jasna patologie istnieją, ale twórcy kultury, akademicy i nauczyciele powinni być wspierani. Każde społeczeństwo, które chce się rozwijać, musi inwestować w kulturę i edukację. U nas te inwestycje wciąż są za małe, a status naukowca, profesora czy nauczyciela jest niski. Za mało jest w Polsce świadomości tego, że inwestycja w edukację to inwestycja w przyszłość i w budowanie społeczeństwa, które będzie konkurencyjne intelektualnie.

Obawiam się, że jesteśmy na progu antyświecenioowego zwrotu. Społeczeństwo coraz częściej podważa naukę jako źródło rozwoju, a docenia oligarchów technologicznych, w których widzi potencjalnych zbawicieli.

– Od 25 lat współpracuję z Uniwersytetem Stanforda i często słyszę pytanie o to, czy widzę różnicę między studentami w Stanach Zjednoczonych a tymi w Polsce. Jeżeli chodzi o potencjał i wiedzę – nie widzę żadnej różnicy. Wydaje mi się wręcz, że jesteśmy

bardziej kreatywni. Wie pan, Polska kształci rebeliantów. Polacy są niepokorni – i to nam daje dużą przewagę.

Chodzi o to, że umiemy kombinować?

– Nie o to chodzi. Może – pozwolę sobie na esencjalizację – w naszej mentalności tkwi opór wobec opresji władzy; mamy – choć to się zmienia – odwagę cywilną i intelektualną, a także romantyczne „cierpiętnictwo” i skłonność do poświęcenia „za miliony” (Konrad). To opór wykształcony przez dekady doświadczania opresji zaborów i totalitaryzmów. Gdy zaczęłam wyklądać na Stanfordzie, to usłyszałam, że mam nauczyć studentów, jak się buntować.

Oczywiście Amerykanie uczą się krytycznego myślenia, zresztą w sposób znacznie bardziej dogłębny i systematyczny, niż robimy to na studiach w Polsce, ale to nie to samo, co wychodzenie poza schematy myślenia. Mamy predyspozycje, ale nie mamy pieniędzy, żeby inwestować w ich rozwijanie.

Zawód nauczyciela z jednego z najbardziej pożądaných spadł na koniec listy „najbardziej wymarzonych zawodów”. Z jednej strony mówimy o upowszechnianiu, popularyzacji nauki, a z drugiej jesteśmy w momencie, gdy sama nauka wraca do nisz.

– Posiadanie wiedzy przestaje być wartością. Studenci pytają mnie, czy mogą używać sztucznej inteligencji. Oczywiście, że możecie, a nawet powinniście – odpowiadam. Ale pod jednym warunkiem – nie zapominajcie o tym, że macie wolną wolę, macie swój styl pisania, unikalną podmiotowość. Z powodu lenistwa intelektualnego, na którym zeruje sztuczna inteligencja, nie rezygnujcie z siebie. Zresztą, żeby sztuczna inteligencja była nam pomocna, to trzeba mieć wiedzę, choćby po to, by wiedzieć, kiedy ChatGPT halucynuje. Trzeba mieć dużą wiedzę, by współpracować z Chatem.

Nie da się ukryć, że dzięki sztucznej inteligencji wiele procesów, jak np. odczytywanie rękopisów, może w przyszłości się okazać dużo mniej czasochłonnymi.

– Dlatego uważam, że każdy student na pierwszym roku powinien przejść kurs tego, jak pracować ze sztuczną inteligencją. Nie musi przecież wiedzieć, co można, a czego nie można robić z Chatem. Co jest etyczne, a co nie? Przesłanie studentom wypracowanych na uniwersytetach uchwał czy regulacji w sprawie wykorzystania AI w procesie kształcenia nie wystarczy. Konieczne są ćwiczenia praktyczne. Dotyczy to zresztą także pracowników naukowych.

Pod koniec 2022 roku ukazało się „Wprowadzenie do metodologii historii” pod redakcją Jana Pomorskiego i pani profesor. Wybuchła niespotykana w skali dyskusja wśród historyków. „Przegląd Historyczny” w 2023 roku wydał nawet specjalny numer poświęcony wyłącznie tej książce, a w kolejnym roku opublikował kilkanaście kolejnych głosów w dyskusji.

– Książki publikuje się również po to, by mieć recenzje. Nie ma nic gorszego niż książka, która przechodzi bez echa, zwłaszcza gdy włożone zostało w nią tyle pracy i energii, co we „Wprowadzenie...”, które powstało dzięki współpracy 23 autorów. Polemika naukowa jest podstawą istnienia nauki, a krytyczna dyskusja może być ostra, ale styl, który zaprezentowali nasi krytycy, był tak zaskakujący, że wielu autorów książki po prostu w ogóle odmówiło wchodzenia w polemikę. To były agresywne ataki, które nie zachęcały do dyskusji.

Recenzenci starali się nie tylko podważyć autorytet uznanych w Polsce i za granicą autorzytetów w zakresie metodologii historii oraz teorii i historii historiografii – obszarów, w których nie są specjalistami. Atakowali też dziedzinę, to znaczy metodologię historii, oskarżając metodologów o ideologizowanie i destrukcję naukowej historii. Proszę mnie nie pytać, dlaczego tak się

stało, bo sama tego do końca nie rozumiem. Oczywiście, że oczekiwaliśmy na uwagi krytyczne. Można zrobić drugie wydanie, poprawić błędy, ale atmosfera tej dyskusji nas zadziwiła.

Jedenastu autorów „Wprowadzenia...” napisało obszernie odpowiedzi na recenzje. A kilku recenzentów napisało odpowiedzi na odpowiedzi. I tych, szczerze mówiąc, już nie mogłam doczytać, zwłaszcza gdy zobaczyłam, że są w nich ujawniane informacje z rozmów prywatnych...

W świecie, w którym podważa się wartość wiedzy oraz społeczną wartość pracy humanistów, tego rodzaju spory i animozje pokazują naukę i naukowców od najgorszej strony. Nie zachęcimy do pracy badawczej ani nie oczekujemy szacunku wobec naukowców, zachowując się wobec siebie w ten sposób. Naukowiec musi mieć pewne cnoty intelektualne. Jedną z nich jest odpowiedzialność. I to nie tylko za to, co mówi czy publikuje, lecz także odpowiedzialność za instytucję, w której pracuje, i za dziedzinę, którą uprawia. Żeby polska nauka stała się częścią globalnej wymiany myśli, wikłanie się w partykularne spory, które podważają dziedzinę, bez której tworzenie innowacyjnej wiedzy historycznej nie jest możliwe, uważam za sabotaż naukowy.

Pamięta pan dowcip o piekle, gdzie przy kotłach z Polakami nie musiał stać diabeł, bo Polacy sami się do niego wypychali? Moim zdaniem dobrze obrazuje on brak solidarności, przedkładanie partykularnych interesów nad dobro środowiska, dyscypliny, a nawet polityki naukowej państwa oraz skłonność do ściągania w dół tych, którzy się wyróżniają lub próbują wyjść ponad przeciętność.

Jakiej nauki, a zwłaszcza jakiej nauki historycznej potrzebujemy?

– Rzetelnej, otwartej, odważnej.

Jestem przywiązana do „Dziejów” Herodota. W pierwszym akapicie pisze on: „Herodot z Halikarnasu przedstawia tu wyniki swych badań, żeby ani dzieje ludzkie z biegiem czasu nie zatarty się w pamięci, ani wielkie i podziwu godne dzieła, jakich bądź Hellenowie, bądź barbarzyńcy dokonali, nie przebrzmiały bez echa (...)”. Hellenów i barbarzyńców – już Herodot, choć był Grekiem – wiedział, że w historii potrzebny jest balans, żebyśmy otrzymywali rzetelną wiedzę historyczną. Dzisiaj, w epoce influencerów i medialnych narracji, metodologia i teoria historii są jeszcze bardziej potrzebne, by utrzymać naukowy status historii i reflektować nad etyką zawodu historyka.

Pytania, na które musimy sobie w badaniach historycznych dzisiaj odpowiadać,

to nie tylko: „co, kto, gdzie, jak i dlaczego”, lecz także „po co” i „dla kogo”. Zadają je doktorantom. Jeśli ktoś formułuje projekt badawczy, powinien umieć na te pytania odpowiedzieć. Potrzebujemy wiedzy zaangażowanej, projektów, za którymi oprócz przyrostu wiedzy na jakiś temat, idzie działanie w sferze publicznej – wystawa w muzeum, strona internetowa, gra komputerowa czy film. Oczywiście – jak to jest w moim przypadku, same badania i dydaktyka akademicka może być formą aktywizmu. Odkrywanie nowych źródeł i ustanawianie nowych faktów jest bardzo ważne, ale to dopiero początek. Warto zadawać sobie pytania o to, jak społeczeństwo może wykorzystać wiedzę, którą mu oferujemy. Pytanie, co z tego będą miały przyszłe generacje – również warto zadać.

Jednak – zdaje się – historycy stawiają często opór przed nowinkami ze świata.

– Historycy zazwyczaj są zachowawczy i ostrożni wobec nowinek. Dzieje się to często z korzyścią dla samej historii. Jeśli szuka się bardziej awangardowych, innowacyjnych idei, trzeba iść do antropologów, archeologów, historyków sztuki czy socjologów. Dzięki temu w humanistyce panuje balans. Niestety, owa zachowawczość ma także swoje negatywne strony. Coraz częściej słyszę od reprezentantów innych dyscyplin, że odżegnują się od historyków, bowiem historia jest tak metodologicznie i teoretycznie konserwatywna, że hamująca rozwoju ich dyscyplin. Twierdzą tak na przykład archeolodzy. Historia pozostaje twierdzą nauki przywiązanej do specyficznego rozumienia tego, co, jakimi metodami i w imię jakich pryncypiów powinni robić historycy. Inne nauki idą dalej, szybciej dostosowując się do zmian, jakie zachodzą w świecie. Historia jest ariergardą humanistyki, ale może polec pierwsza na arenie zachodzących w nauce i akademii zmian.

Trzeba balansować pomiędzy awangardą a tradycją. Gdy mówimy o krytyce antropocentryzmu, to przecież nie chodzi o to, by wszyscy historycy zajęli się zwierzętami albo roślinami. Chodzi też o refleksję nad samym słowem „antropos”. O zastanowienie się nad tym, jak zmieniało się rozumienie tego pojęcia i kto jest obecnie pełnoprawnym „antropos”, a kto wciąż pozostaje na marginesie. Historycy mają czasami skłonność do przesady. Jak słyszą „krytyka antropocentryzmu”, to wyobrażają sobie zmasowany atak na człowieka, a przecież krytyka ta stanowi na przykład podstawę refleksji nad stale obserwowanymi procesami dehumanizacji i ich nowymi wcieleniami. Bez zmierzania się z najnowszymi tenden-

cjami w badaniach humanistycznych – i nie tylko – rozwój historii nie jest możliwy.

Historia jest w trudnej sytuacji, ponieważ wszystkie najbardziej nowatorskie idee podważają fundamenty myślenia historycznego. Krytykowana jest idea postępu, antropocentryzm i eurocentryzm historii, sekularyzm, kartezjańska racjonalność, obiektywizm, dążenie do prawdy. To wszystko jest dzisiaj poddawane krytyce. A historycy często reagują, mówiąc, że to bzdury, a oni wiedzą, jak uprawiać swoją naukę. To niczego nie załatwia.

Od historii, jak pani mówi, „nauczyła się tego, że historia jest o zmianach”. A do czego może nam się przydać znajomość historii? Niekiedy myślimy, że pomagają ona w uniknięciu błędów lub przewidzeniu przyszłości, ale...

– Najważniejsza i wciąż aktualna lekcja historii to świadomość, że zmiana jest jej istotą. To zmiana stanowi fundament zarówno naszego istnienia, jak i sposobu, w jaki myślimy o przeszłości.

Historyk nie jest wróżką, więc z dymu czy kości niczego nie wyczyta. Historia może pokazać, jak żyć razem w konfliktach i jak przetrwać w tym skonfliktowanym świecie. Wydaje mi się, że nie doceniamy adaptacyjnej funkcji historii. Przecież poznając ją, uczymy się pewnych konkretnych strategii przetrwania. Jak wybuchła pełnoskalowa wojna w Ukrainie, to pierwszą rzeczą, którą zrobiłam, to przystosowałam piwnicę. A skąd wiedziałam, co powinno się w niej znaleźć? Ze wspomnień osób, które przeżyły w warunkach wojny.

Jak to rozumieć?

– Zaczniemy od tego, że historia raczej tworzy konflikty, niż je neutralizuje. Przeszłość to przecież arena konfliktów – międzyludzkich, a także międzygatunkowych i pomiędzy człowiekiem a środowiskiem. Dla historyków konflikty i kryzysy są siłą napędową historii. Natomiast biolodzy, jak na przykład Lynn Margulis, kierują nas na inny sposób myślenia – że ewolucja opiera się na symbiozie. Jak może z tego skorzystać historyk? Otóż historię też możemy widzieć jako ciąg symbioz, co rzecz jasna wcale nie wyklucza konfliktów, ale przedstawia nasze myślenie na inne tory.

Konrad Wojnowski zwracał uwagę na pozytywne skutki katastrof – każda katastrofa uruchamia mobilizację społeczną i zachowania solidarnościowe. Dlatego przemawia do mnie idea historii potencjalnej, którą opisywała Ariella Azoulay. Przeglądając się konfliktowi izraelsko-palestyńskiemu, Azoulay – urodzona w Tel-Awivie, jak sama o sobie mówi „arabska Żydówka i palestyńska Żydówka pochodzenia afrykańskiego” – zaproponowała, by spróbować o historii palestyńsko-izraelskiej opowiadać, szukając momentów współpracy między Arabami i Żydami. Celem badań historycznych jest zatem według Azoulay nie tylko rozliczenie, ale także pojednanie i zobaczenie w przeszłości „niezrealizowanych możliwości”, które mogą być użyteczne dla „stworzenia innej przyszłości”. Niestety, to, co wydarzyło się w ostatnim czasie, podważyło mój optymizm wobec tego projektu.

Czy humanistyka zmieni świat? Nie wiem. Ale wiem, że powinniśmy pielęgnować krytyczną nadzieję i świadomość, że choć w ograniczonym „tu i teraz”, ale mamy wpływ na otaczającą nas rzeczywistość. ●

Ewa Domańska

• Profesor nauk humanistycznych na Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza w Poznaniu, członek korespondent PAN, profesor wizytujący na Stanford University. Zajmuje się metodologią, teorią i historią historiografii, nowymi tendencjami w badaniach humanistycznych, humanistyką ekologiczną oraz relacjami między ekobójstwem i ludobójstwem.



Ostatnią jednostką Wehrmachtu, która skapitulowała przed aliantami w 1945 roku, była załoga stacji meteorologicznej Haudegen na archipelagu Svalbard. Cztery miesiące po oficjalnym zakończeniu wojny.

Joanna Banaś

Kapitulacja miała osobliwy przebieg. Kiedy załoga norweskiego statku poławiaczy fok „Blaasel” dotarła do niemieckiej stacji 3 września, gospodarze tak wspaniale ugościli przybyłych, że dopiero następnego dnia nad ranem kapitan alianckiej jednostki Ludwig Albertsen przypomniał sobie, że Niemcy muszą się poddać. Nie bardzo wiedział, jak to powinno wyglądać. Z pomocą przyszedł mu dowódca niemieckiej jednostki porucznik Wilhelm Dege, który zapytany o to przez Norwega roześmiał się, a potem położył na stole swój pistolet i powiedział: „Poddaję się”. Potem potwierdził kapitulację na piśmie.

Dla niemieckiej załogi koniec ich misji był smutnym przeżyciem. Ale nie z powodu kapitulacji, lecz dlatego, że musieli opuścić stację. Później zapewniali, że służba na Dalekiej Północy była dla nich przygodą życia.

TAJNA MISJA NA KOŃCU ŚWIATA

Haudegen była jedną z 15 niemieckich wojskowych stacji meteorologicznych działających na Dalekiej Północy od 1941 roku. Oprócz wysp norweskiego archipelagu Svalbard (największą z nich jest Spitsbergen) pracowały także na północnych wybrzeżach Grenlandii Wschodniej, na należącym do Kanady półwyspie Labrador czy w Ziemi Franciszka Józefa, rosyjskim archipelagu na Morzu Barentsa.

Przekazywały dowództwu armii lądowej, marynarki i lotnictwa raporty pogodowe. Prognozy były orężem w działaniach bojowych. Dlatego w czasie wojny stacje meteorologiczne wrogich armii, były przez

wrogów likwidowane, a statki meteorologiczne zatapiane. Niemcy wiedzieli, że gdyby alianckie samoloty przebiły się przez pokrywę chmur lub w pobliżu pojawiłyby się okręt wojenny wroga, operacja zakończyłaby się niepowodzeniem. Dlatego misja na Arktyce była tajna. Tak bardzo tajna, że Kriegsmarine miała tylko raz w miesiącu informować krewnych młodych żołnierzy, że mają się dobrze, bez podawania szczegółów i możliwości przekazania im informacji zwrotnej. Później się okaże, że w obliczu kapitulacji Niemiec dowództwo marynarki zniszczyło też dokumenty pozwalające ją zlokalizować.

Haudegen pozostała ostatnią stacją arktyczną Wehrmachtu po tym, jak w listopadzie 1944 roku utracili stację na Ostgrönland zlikwidowaną przez Amerykanów, a w grudniu statek meteorologiczny „Zugvogel”.

POGODA W SŁUŻBIE WOJNY

Latem 1943 roku 18-letni kapral Siegfried Czapka służył jako radiooperator w Paryżu w stacji meteorologicznej Kriegsmarine, co sobie chwalił. Ale gdy odczytał tajne ogłoszenie o poszukiwaniu ochotników radiotelegrafistów do służby w „bardzo zimnej okolicy”, od razu się zgłosił.

Podobnie Heinz Schneider, kapral radiooperator marynarki w rejonie Cherbourg. Zakwalifikowali się do zespołu i pojechalina szkolenie do czeskich Karkonoszy. W stacji Goldhöhe (Zlaté návrší) na wysokości 1400 m w gronie 60 ochotników doskonalili jazdę na nartach, wspinaczkę, uczyli się budowy domów z lodu, tworzenia prognoz pogody. Sanitariusze uczyli ich udzielania pomocy medycznej: wyrywania zębów, opatrywania postrzałów, a nawet amputowania odmrożonych kończyn.

Gdy w Karkonoszach zrobiło się zbyt ciepło i okolica przestała przypominać

Arktykę, ekipę przeniesiono na wysokość 3 tys. m w Alpy Ötztalskie (Włochy), gdzie od maja 1944 roku strzelcy alpejscy uczyli ochotników poruszania się, walki i obrony w terenach górskich. Działo się to, gdy Niemcy na wszystkich frontach byli w odwrocie, alianckie naloty zamieniały niemieckie miasta w gruzowiska, a przez Włochy Amerykanie szli na północ Europy. Kurs musiał być skrócony, bo wielu wykładowców zostało powołanych na front. Uczestnicy szkolenia dostali ostatni urlop przed wyjazdem.

Cel misji pozostawał nieznan. 10 marynarzy najlepszych podczas szkolenia poznało go dopiero przed samym wyjazdem, we wrześniu 1944 roku, gdy z 1800 skrzyniami ważącymi 80 ton czekali w norweskim porcie Tromsø na transport.

Mieli płynąć 1000 kilometrów na północ, do archipelagu Svalbard na Oceanie Arktycznym. Dowódca wyprawy porucznik Wilhelm Dege, doktor nauk przyrodniczych, każdego z osobna pytał, czy na pewno chce wziąć udział w niebezpiecznej misji. To nie była zwykła procedura w Wehrmachcie, ale i Dege (1910-79) nie był zwykłym porucznikiem.

Po studiach pedagogicznych początkowo uczył w szkole, jednocześnie studiując geografię, geologię i prehistorię w Münster. W latach 30. organizował wyjazdy badawcze na Spitzbergen, które zaowocowały doktoratem o geomorfologii półwyspu Andrée Land we wschodniej Grenlandii. Wcielony do Wehrmachtu w 1940 roku dostał przydział do Norwegii, gdzie był m.in. tłumaczem. W Niemczech nie było wówczas nikogo, kto wiedziałby więcej o Spitsbergenie i Arktyce. Dege został oczywistym liderem kolejnej stacji meteorologicznej.

Wcześniej jako ekspert uczestniczył w przebudowie trawlera „Carl J. Busch”, który wiózł na Svalbard sprzęt i prowiant dla załogi Haudegen, na statek nadający się do prowadzenia badań naukowych, klimatycznych i oceanograficznych.

• Członkowie załogi stacji meteorologicznej Haudegen na archipelagu Svalbard w Arktyce. W środku jej dowódca porucznik Wilhelm Dege FOT. LEIBNIZ INSTITUTE FOR REGIONAL GEOGRAPHY, ARCHIVE FOR GEOGRAPHY, WILHELM DEGE PAPERS

Okręt podwodny U-354, pierwotnie przeznaczony jako eskorta wyprawy, został odwołany podczas ostatnich przygotowań do misji „Haudegen” – był potrzebny do walki z alianckim konwojem. Zatonął 24 sierpnia podczas ataku na kanadyjski lotniskowiec „HMS Nabob”.

By nie zniweczyć przedsięwzięcia wartego 2 mln reichsmarek (czas gonił, zbliżała się zima), musiał go zastąpić inny okręt. Był nim U-307, który miał przewieźć personel stacji i eskortować „Carla J. Buscha”. Oba okręty wypłynęły z Narviku 10 września 1944 roku. Udało im się ominąć blokadę brytyjskiej marynarki wojennej i trzy dni później dotarły do Rjipfjorden, kotwicząc w zatoce Wordiebukt.

Na początku trzeba było jednak opłynąć okolicę, aby upewnić się, że nie ma tam żołnierzy lub okrętów alianckich, i sporządzić mapę terenu. Dege zdecydował, że stacja powstanie na Nordaustlandet (Ziemia Północno-Wschodnia), drugiej co do wielkości wyspie archipelagu Svalbard (największą jest Spitzbergen), ciut powyżej 80. równoleżnika.

ZDĄŻYĆ PRZED ZIMĄ

Zaczęło się opróżnianie ładowni „Carla J. Buscha”. Oprócz prowiantu w 1200 skrzyniach, polarnych ubiorów, śpiworów, sań i sprzętu biwakowego z żołnierzami przypłynęło 7 ton węgla, materiały budowlane i wybuchowe, łącznie 3 tys. artykułów wartych 1,25 mln reichsmarek. Wyzwaniem okazało się wydobycie na brzeg 250-litrowych beczek z paliwem.

Skrzynia nr 3 mieściła racje alkoholu. Miesięczne na osobę przypadały 3 litry francuskiego wina, 1,5 litra koniaku, litr jałowcówki, 0,75 litra likieru w różnych smakach – odnotował Dege w dzienniku.

Z budową obozu musieli się śpieszyć. Dzień był już bardzo krótki – słońce zniknęło już 18 października, odtąd jaśniej było w nocy, gdy świeciły księżyc i zorza polarna. Poradzili sobie w zaledwie dwa dni. Użyli modułów Knoespela, nazwanych od nazwiska ich pomysłodawcy Hansa-Roberta Knoespela, ornitologa i badacza Arktyki, który kierował poprzedniczką Haudegen, stacją meteorologiczną Kreuzritter. Działała na Spitsbergenie od października 1943 do czerwca 1944 roku. 30 czerwca, gdy po załogę stacji podpłynął już u-boot, który miał ją ewakuować, Knoespel zginął przy próbie rozbrojeni miny-pułapki zagrażającej marynarzom.

Na podstawie doświadczeń z innych stacji moduły dla Haudegen zostały ulepszone – miały bardziej spadziste, podwójne dachy, podwójne podłogi i płyty pilśniowe zamiast drewna.

Nad barakami Dege rozpostarł białe siatki maskujące. Rozstawiono gniazda karabinów maszynowych i zaminowano teren wokół stacji. Oprócz instrumentów meteorologicznych ekipa wiozła broń i amunicję: dwa karabiny maszynowe, karabiny, pistolety, broń myśliwską, 32 tys. nabojów, 300 granatów ręcznych, 350 granatów przeciwczołgowych.

Następnie marynarze rozpakowali urządzenia do badań pogody oraz sprzęt radiowy. W grudniu 1944 roku załoga stacji zaczęła nadawanie komunikatów pogodowych. Dane z instrumentów obserwacyjnych były pobierane co trzy godziny przez całą dobę, ale wysyłane pięć razy dziennie, w określonych godzinach. Dzień pracy na stacji rozpoczynał się o 7.30, a kończył o 18. Od 20 ci, którzy nie pełnili służby wartowniczej, mieli wolne. Muzykowali na przy-

wiezionych przez siebie instrumentach, śpiewali, czytali książki i popijali.

Zimowanie w warunkach arktycznych jest trudne dla uczestników wypraw nawet w dzisiejszych czasach, gdy telefony satelitarne i internet umożliwiają kontakt z bliskimi. Problemem zwykle jest nadużywanie alkoholu i osobiste konflikty, ale Dege zdołał utrzymać morale i dyscyplinę w grupie. Nauczyciel z wykształcenia i pasji uczył młodych żołnierzy literatury niemieckiej, geografii, filozofii, fizyki, muzyki i matematyki. A gdy wiadomo było, że po kapitulacji Niemcy będą musiały się zmienić, wprowadził też zajęcia z demokracji, podczas których uczyli się dyskutować.

Gdy temperatury spadły do ponad -40 st. C, wiały huraganowe wiatry, a wszystko przykryły hałdy śniegu, brodacі żołnierze zbudowali sobie saunę i wyjadali bogate zapasy żywności. Mieli do dyspozycji produkty, o których Niemcy przegrywający wojnę mogli w 1944 roku tylko pomarzyć. Przewidziano 6 tys. kcal na żołnierza dziennie. Na każdego przypadało każdego dnia 1,4 kg żywności, łącznie z alkoholem i papierosami. Ale i tak narzekali – na niedobór warzyw i owoców. A przede wszystkim na brak piwa.

Podczas misji Haudegen powstało ponad tysiąc czarno-białych zdjęć i kilkadziesiąt kolorowych slajdów. Na zdjęciu z Bożego Narodzenia widać ubraną choinkę i rządęk granatów przymocowanych do ściany tuż przy stole.

Grupę podzielono na dwie części, dowódca jednej z nich zawsze spał w ubraniu, gotowy do interwencji. Wyszukoleni do walki przez cały rok ani razu nie widzieli wroga. Zabijali jedynie renifery – dla mięsa – oraz niedźwiedzie polarne (w sumie cztery) – ze strachu. Podchodziły tak blisko, że Dege kazał ludziom chodzić nawet za potrzebą parami i z bronią. Zdarzało się, że z wychodka do stacji biegli ze spodniami w garści, bo pojawiły się niedźwiedzie.

FLAGA ZE SWASTYKĄ

Z czasem komunikaty radiowe docierające do stacji stawały się coraz bardziej przynębiające. Dwóch żołnierzy z Drezna było w szoku na wieść o zbombardowaniu ich miasta w lutym 1945 roku.

Na początku marca dowództwo Kriegsmarine zapytało, czy załoga dałaby radę po raz drugi przezimować. Dege potwierdził – zabrali prowiant na 18 miesięcy, a więc polując, przeżyliby dwa lata.

24 kwietnia 1945 roku Dege złożył wniosek o lądowanie samolotu w celu dostarczenia zapasów na kolejne zimowanie.

2 maja do Haudegen przyszedł komunikat radiowy, że Hitler „poległ”. Radiooperator Heinrich Ehrich lojalny wobec Führera poprosił o zgodę na wywieszenie flagi Trzeciej Rzeszy spuszczonej do połowy masztu. Nikt się nie sprzeciwił, ale był to jedyny raz, gdy swastyka powiewała nad stacją.

Tydzień później, w dzień kapitulacji Trzeciej Rzeszy, żołnierze w Haudegen rozlali butelkę jałowcówki. Jak wspominał w 2004 roku Siegfried Czapka, trzeba było przetrwać nową sytuację, a ziołowa wódka idealnie się do tego nadawała. Picie szampana sugerowałoby radość, a oni po prostu się bali o swoją przyszłość i los rodzin w Niemczech. Dege skontaktował się z aliantami w celu poddania bazy, ale w oczekiwaniu na ewakuację pracowali normalnie – jako Station XO2 nadal zbierali dane i przesyłali do Tromsø zdobytego przez Brytyjczyków komunikaty pogodowe, choć już nieszyfrowane.

Niemiecka załoga Kriegsmarine, która pracowała nadal w Tromsø, ale pod nadzorem aliantów, zapytała ich kilkakrotnie, czy sobie radzą. Potem zapadła cisza. Trwała ponad miesiąc. Radiooperator Rolf Wieck wspominał później w filmie telewizji MDR, że powody milczenia były zrozumiałe: wszyscy usuwali wtedy miny na morzach Północnym i Bałtyckim.

Chociaż załoga Haudegen miała zapasy, to jednak czekanie na jakiś sygnał było nużące. Wreszcie 25 sierpnia dostali wiadomość, że odbierze ich norweski statek, jednak będą musieli się poddać przed kapitanem jednostki. Statek polawiaczy fok „Blaasel” pod dowództwem Ludwiga Albertsena przybył 3 września wieczorem.

KAPITULACJA WYSOKOPROCENTOWA

Jeśli chodzi o pierwszy kontakt z Norwegami, to istnieją dwie relacje. Według jednej Wilhelm Dege i jego zastępca Josef Reyer na brzegu powitali Norwegów po angielsku, ale norweski kapitan ich nie zrozumiał. Dege przeszedł więc na norweski, by zaprosić marynarzy na kolację. Według innej opowieści obaj dowódcy od razu padli sobie w ramiona, bo znali się z przedwojennych wypraw badawczych na Spitsbergen.

Tak czy owak, siedmiu Norwegów z załogi statku „Blaasel” zasiadło przy wspólnym stole z Niemcami. Po suto zakrapianej imprezie dopiero nad ranem 4 września doszło do opisanego na początku kapitulacji.

„Blaaser” wypłynął jeszcze tego samego dnia – musieli się śpieszyć, żeby lód nie skuł zatoki. Podróż nie była wygodna, w siedmiu norweskich kajutach pomieścić musiało się dodatkowych 11 żołnierzy. Do tego panował sztorm.

Do Tromsø dotarli 13 września. Niemcy zostali natychmiast aresztowani, a ich bagaże przeszukane. Brytyjczycy zabrali filmy, mapy i wyniki badań naukowych prowadzonych na miejscu. W obozie jenieckim siedzieli do grudnia, zanim zostali odesłani do Niemiec. Zgraną drużynę podzieliła żelazna kurtyna – część mieszkała w NRD, część w RFN. Latem 1952 roku kierownik stacji odzyskał prywatne notatki, rok później – zapiski służbowe.

Wilhelm Dege od 1954 roku wydał wiele książek poświęconych zarówno stacji, jak i życiu na Dalekiej Północy. Od 1946 roku wrócił do pracy nauczyciela, a od 1962 przez 14 lat wykładał w Wyższej Szkole Pedagogicznej w Dortmundzie.

Dziewięć lat po śmierci Degego, w 1985 roku, jego synowi udało się odnaleźć dziennik ojca zakopany przez niego przed ewakuacją na terenie stacji. Przekazał go do Leibniz-Institut für Länderkunde w Lipsku. Są tam także inne dokumenty i zdjęcia wykonane podczas pracy stacji.

Dla Czapki Arktyka stała się pasją na całe życie, napisał nawet czterotomową historię wypraw do Arktyki – od antyku do współczesności.

W 2004 roku stacja MDR przy okazji kręcenia filmu dokumentalnego „Krieg in der Arktis” zawiozła na Spitsbergen dwóch uczestników wydarzeń, przyjaciół: Czapkę (spod Drezna) i Schneidera (z Łużyc). Wtedy w obszernej bibliotece stacji były jeszcze książki zdadne do czytania, a na ścianach pokoju kierownika stacji widoczne były wymalowane przez niego kwiatki. Zachowała się też skrzyneczka z akcesoriami do naprawy butów, za co odpowiadał w stacji Schneider.

W kolejnych latach zabudowania ulegały degradacji z powodu trudnych warunków atmosferycznych, działalności zwierząt i kradzieży. W 2010 roku rząd norweski zamknął teren stacji.

Dane wysyłane przez stację Haudegen po latach dostarczyły cennych informacji specjalistom od prognozowania pogody i zmian klimatu. ●

Korzystałam m.in. z artykułów: Daniela Nietzta, „4. September 1945: Als auf Spitzbergen die letzten Wehrmachtsoldaten kapitulieren” (mdr.de); Eike Frenzel, „Die vergessenen Haudegen” (Spiegel.de); Martina Tostego, „Haudegen – eine deutsche Wetterstation auf Spitzbergen während des Zweiten Weltkriegs” (blog.leibniz-ifl.de), oraz książki Jaka P. Mallmanna Showella, „Swastikas in the Arctic”.

Jasne strony dziejów

Siła rozumu

Wojsko na ogół potrzebuje ludzi młodych i silnych, którzy nie dzielą włosa na czworo, ale subtelniaczki oraz cherlawcy też mogą się przydać.

Brzeziecki

Inspirujący wywiad z prof. Wojciechem Kuleszą, psychologiem, który zbliżając się do pięćdziesiątki, postanowił przejść szkolenie wojskowe opublikowany w „Dużym Formacie”, ale także nowa książka Agnieszki Lichnerowicz „Idzie wojna?”, pokazując, że coraz bardziej naszą uwagę przyciągają możliwe formy radzenia sobie w chwili konfliktu zbrojnego, który, jak się okazało, wcale nie jest tak niewyobrażalny w naszym regionie, jak sądziliśmy dwie dekady temu.

Hurtowe zakupy uzbrojenia to efektowny, ale nie wystarczający element budowy bezpieczeństwa kraju.

Jeden z polskich dowódców w stanie spoczynku mówił niedawno, że Polska inwestuje w żołnierzy i ich wykształcenie ciężkie pieniądze, ale gdy odchodzą z wojska, nie ma na nich pomysłu. To się chyba już zmienia. Oczywiście o jakości armii – mimo coraz lepszej techniki – decyduje wykształcenie i fizyczne zdolności żołnierzy.

Nie każdy może być jednak Rambo, choć jak widać w Ukrainie, wraz z przeciąganiem się walk armia obniża kryteria wiekowe i sprawnościowe.

Dzisiaj w Polsce mamy ostre sito – choroby przewlekłe, epizody depresyjne wykluczają ze służby. Czy jednak społeczeństwa, a także armie, nie dzielą się dziś bardziej na tych zdiagnozowanych i tych, którzy po prostu nie chodzą do lekarzy, bo się np. wstydzą?

Są jednak dziedziny, w których typy zdecydowanie nie-militarne także mogą się w wojsku i na wojnie przydać. Zwłaszcza w obecnych czasach, gdy wojna kognitywna nieraz zastępuje albo wyprzedza wojnę kinetyczną. Wtedy nie liczą się przewlekłe choroby, kłopoty ze zrobieniem 20 pompek czy krótkowzroczność, ale innowacyjność, niestandardowe myślenie i łączenie kropek we wzory, które większości ludziom nie przysłyby do głowy.

W czasie II wojny światowej Brytyjczycy powołali w ramach MI 5 sekcję BIA, w której służyli ludzie pozbawieni jakichkolwiek szans na kariery wojskowe, ale chcący pomóc w pokonaniu Hitlera. To oni prowadzili z Niemcami wyrafinowaną wojnę umysłów, tworząc fikcyjny świat, w którym zmyślone operacje wojskowe aliantów angażowały realne siły III Rzeszy. Wśród ludzi sekcji BIA

znalazł się człowiek niewidzący na jedno oko, inny, cierpiący na paraliż z czasów dzieciństwa, utykał. Byli w tej sekcji także ludzie już wiekowi oraz kobiety, dla których normalna kariera wojskowa była nieosiągalna.

To Brytyjczycy podrzucili Niemcom wiosną 1943 roku, jeszcze zanim sekcja BIA rozkręciła działalność, ciało „majora Martina”, który wyłowiony z morza miał w mundurze obok biletów do teatru, listu od ukochanej także korespondencję dowódców sugerującą, że na Morzu Śródziemnym alianci raczej zaatakują Sycylię, a nie Sycylię. To także Brytyjczycy stworzyli sztuczną armię, która szykowała się do inwazji z dala od Normandii, przez co Niemcy przeczuli doborowe dywizje w rejon, których nikt naprawdę nie zamierzał atakować.

Gdy w 1940 roku Brytyjczycy stanęli w obliczu inwazji niemieckiej, byli w beznadziejnej sytuacji. Osamotnieni, bez sojuszników mogli liczyć na przychyłność prezydenta USA i rozbitków z Europy, w tym Polaków. Potencjał rozpędzonej niemieckiej maszyny wojсковej wydawał się nieograniczony, Brytyjczycy musieli siłę mięśni i stali, zrównoważyć siłą rozumu.

Calder Walton w znakomitej książce „Imperium tajemnic”, pisał, że służby Wielkiej Brytanii wiele zawdzięczały temu, iż potrafiły przemykać oko na ułomności wielu ludzi, którzy w czasie pokoju nie znajdowali się w ich szeregach. To dało wywiadowi kreatywność i pomysłowość w niespotykanej do tej pory skali.

Strategiczna decepca stosowana przez Brytyjczyków uchroniła życie wielu tysięcy żołnierzy.

Wojna rosyjsko-ukraińska, jeśli wierzyć przynajmniej części ekspertów, pokazała, że rozwój techniki i elektroniki wcale nie unieważnił tradycyjnych, XX-wiecznych sposobów walki, które wciąż okazują się całkiem przydatne i skuteczne. Wciąż także przeszkody naturalne, jak rzeki i bagna, stanowią istotne punkty obrony. Możliwe więc, że cyfryzacja wojny, algorytmy sztuczna inteligencja, także wcale nie zniwelują znaczenia naturalnej, ludzkiej pomysłowości. Czy o tym myślą nasi stratedzy? ●

Andrzej Brzeziecki – historyk, dziennikarz, publicysta

Moment *nieśmiertelności*

Tamten mecz zmienił nie tylko moje życie, ale życie bardzo wielu ludzi – wspomina polski bramkarz. 20 lat temu na Atatürk Olimpiyat Stadyumu w Stambule odbył się najbardziej zadziwiający finał piłkarskiej Ligi Mistrzów.

Dariusz Wołowski

DARIUSZ WOŁOWSKI: 25 maja 2005 roku stałeś się jednym z najbardziej rozpoznawalnych piłkarzy na świecie.

JERZY DUDEK: Nie myślałem o tym wtedy. W ogóle nie zdążyłem pomyśleć – emocje były zbyt silne. Tyle się wtedy wydarzyło, że nawet do dziś trudno objąć to myślą. Kilka lat po finale w Stambule spotkałem trenera Milanu Carlo Ancelottiego, który wciąż nie mógł zrozumieć, co się stało na stadionie Ataturka. Mówił, że prowadził zespoły w setkach meczów i już nigdy nic podobnego go nie spotkało. Że wtedy jego drużyna zagrała pierwszą połowę perfekcyjnie, że już żadna inna, którą prowadził wcześniej lub później, nie osiągnęła takiego poziomu i, że Liverpool nie miał prawa odwrócić losów tamtego meczu. Jeśli mówi to tak wielki trener, który odnosił sukcesy w Juventusie, Milanie, PSG, Chelsea, Bayernie Monachium, Realu Madryt to nawet nie wypada się spierać. A jednak to się wydarzyło.

Wciąż nie mogę sobie wyobrazić, co się musiało dziać w szatni Liverpoolu w przerwie. Zapewne przed spotkaniem mieliście jakiś plan, tymczasem po 45 minutach przegrywaliście 0:3. I wszystko wydawało się stracone.

– W szatni był chaos, temperatura wrzenia. Może to lepiej, bo mogła nas dopaść apatia. Tymczasem krzyczeliśmy jeden przez drugiego. Tylko nasz trener Rafa Benitez zachowywał spokój. On nie był wielkim mówcą, ani motywatorem, ale znakomitym strategiem. W tej chwili beznadziei przekonywał nas, że nie wszystko stracone, trzeba tylko wykonać w drugiej połowie jego założenia taktyczne. Jego szkocki asystent powiedział: „musicie strzelić bramkę jak najszybciej, potem drugą, wtedy oni zaczną się denerwować, poczną ją presję”.

Wtedy brzmiało to trywialnie, a nawet śmiesznie, ale było dowodem, że jeszcze ktoś w nas wierzy. A gdy wracaliśmy na boisko, kibice Liverpoolu zaśpiewali hymn „You’ll never walk alone”. Ciarki mi przeszły po plecach. Nasz kapitan Steven Gerrard przywołał nas do siebie i przemówił raz jeszcze. Pierwsza jego przemowa nie utkwiała mi w pamięci, ale druga poruszyła do głębi.

Co takiego mógł powiedzieć?

– Fani Liverpoolu to w dużej części robotnicy, wierni klubowi, oddani. Steven powiedział, żebyśmy popatrzyli na nich, na tych ludzi ciężko pracujących, którzy nie są przecież bogaci, a przebyli tysiące kilometrów, żeby być z nami. Że musimy im dziś coś za



• **Jerzy Dudek broni decydującego karnego strzelanego przez Andrija Szewczenkę. – Potem spotykaliśmy się często, przez empatię nie zaczynałem tematu finału ze Stambułu. Ale Andrij pytał: „jak tego dokonałeś?”**

FOT.DUSAN VRANIC/AP/EAST NEWS

to dać, pokazać, że jesteśmy godni tego klubu i takich kibiców. Bez względu na wynik, musieliśmy coś zrobić.

Sam Gerrard dał przykład nie tylko słowami, ale też czynami. W 54. min zdobył gola na 1:3. Ty kiedy uwierzyłeś w to, że jeszcze nie wszystko stracone?

– Właśnie po голу Stevena. Zwłaszcza, że dwie minuty później Czech Vladimir Šmicer zdobył drugą bramkę. Dzień przed finalem miał 32. urodziny, wiadomo było, że odchodzi z klubu, właściwie miał nie grać, ale kontuzja Harry’ego Kewella sprawiła, że w pierwszej połowie Benitez wpuszcł go na boisko.

Hiszpan znany był z tego, że nigdy w dwóch kolejnych meczach nie wystawiał tej samej jedenastki. Rotował składem jak szalony, ustawiał zespół w zależności od wad i zalet przeciwnika. Przed finalem z Milanem zwracał nam uwagę, że to zespół doświadczony, mający w składzie piłkarzy dojrzałych, którzy nie wytrzymają morderczego tempa, jeśli my je narzucimy. Nasz plan runął w pierwszej minucie po голу Paolo Maldiniego, który przecież w tych rozgrywkach nie zdobył wcześniej ani jednej bramki. Potem rywal był bezlitosny i wykorzystał na zimno kolejne błędy. Po 45 minutach mógł uważać się za zwycięzcę. Ale już w 54. min, po голу Šmicer, wszyscy czuliśmy, że dzieje się coś wielkiego.

Po godzinie gry był remis! Xabi Alonso trzeci raz pokonał bramkarza Milanu Didę.

– Wtedy psychologicznie Milan znalazł się w podobnej sytuacji, w jakiej my byliśmy w przerwie. Ale to była drużyna najwyższej klasy. Do rozstrzygnięcia meczu potrzebne były dogrywka i rzuty karne.

Nie byłoby rzutów karnych, gdyby w bramce Liverpoolu nie stał Jerzy Dudek. Interwencja po strzale Andrija Szewczenki w ostatnich sekundach dogrywki uznana została za numer 2 w historii piłki. Wyżej oceniono tylko paradę Anglika Gordona Banksa po główce Pelego w meczu Brazylia – Anglia na mundialu w Meksyku. Tyle, że w 1970 roku broniący tytułu Anglicy i tak przegrali, a Bra-

zylijczycy sięgnęli po mistrzostwo.

– Moja interwencja była instynktowna, ale to nie do końca była wyłącznie kwestia szczęścia. Kiedyś powiedziałem, że miałem farta, na co obriszył się nasz trener bramkarzy. Rzeczywiście po treningu mieliśmy zwyczaj, że 30 razy kopał piłkę z najbliższej odległości w moją stronę, a ja instynktownie próbowałem ją wybić. W ten sposób ćwiczyliśmy refleks, poprawialiśmy mój czas reakcji. Interwencja po strzale Szewczenki była więc także nagrodą za ciężką pracę.

W ogóle w sporcie jest tak, że sam nie wiesz, kiedy twoja harówka na treningach zostanie nagrodzona. Może nigdy? Trzeba po prostu to kochać, mieć bzika lub pozytywną obsesję na punkcie swojej dyscypliny i nie oczekiwać niczego w zamian. Im mniej oczekujesz, tym bardziej prawdopodobne, że dostaniesz nagrodę, bo przy zbyt wysokich oczekiwaniach możesz nie udźwignąć presji. Szczęście nie pojawia się z niczego. Ja na swoje zapracowałem właśnie tamtego wieczoru.

Nie żał ci było Szewczenki? Strzelał karnego jako ostatni, a twoja kolejna udana interwencja musiała być traumą dla Ukraińca.

– Nie będę hipokrytą, żał mi nie było. Lubię go i cenię bardzo, ale to był mój dzień. Potem spotykaliśmy się często, byliśmy ambasadorami Polski i Ukrainy w walce o Euro 2012, przekazując UEFA, że warto dać nam szansę zorganizowania imprezy. Przez empatię nie zaczynałem tematu finału ze Stambułu, ale Andrij pytał: „jak tego dokonałeś?”. Chodziło mu oczywiście o interwencję z dogrywki. Mówił, że to on miał być bohaterem wieczoru, wystarczyło, żeby piłka wpadła wtedy do siatki, a on z Milanem podniósłby najcenniejsze trofeum w klubowej piłce.

Odpowiadałem, że miał kilka wielkich wieczorów w karierze, choćby ten z 2003 roku kiedy w finale Ligi Mistrzów Milan – Juventus pokonał Gianluigiego Buffona z karnego decydującego o zwycięstwie. Za to 25 maja 2003 roku był moim dniem, dniem Stevena Gerrarda i innych graczy Liverpoolu. A także tysięcy naszych kibiców. „Nie bój się ciemności, po burzy

niebo jest złote” – to fragment z hymnu klubu.

Podczas karnych wykonywałeś na linii bramkowej słynny „Dudek dance”.

– Ludzie tańczyli „Du the Dudek” naśladując moje ruchy. Z czasem to nawet polubiłem [Dudek dwa razy odrzucił propozycję udziału w „Tańcu z gwiazdami”]. Ten mecz zmienił mnie, mój wizerunek, stałem się kimś rozpoznawalnym. Gdy wracałem do Polski na pokładzie samolotu powitał mnie kapitan, na komunię syna, którą chcieliśmy zorganizować dyskretnie, przybyły zastępy dziennikarzy i kibiców. W Liverpoolu czekał na nas milion fanów, kiedy jechaliśmy przez miasto odkrytym autobusem.

Czasem wracam do zdjęć z tamtych czasów. Ten mecz zmienił moje życie, ale też życie wielu innych ludzi. Przecież jako old boye Liverpoolu spotykamy się co roku, na nasze mecze przychodzą tłumy i temat finału z 2005 roku powraca. Jesteśmy jak oddział żołnierzy, który w czasie wojny przeżył razem jakąś ciężką bitwę, lub akcję specjalną. Związani ze sobą na zawsze.

Karne to loteria?

– I tak i nie. Loteria, do której jednak warto być przygotowanym. Kiedyś legendarny holenderski bramkarz Hans van Breukelen doradził mi, żebym założył sobie dziennik i tam notował, jak piłkarze wykonują karne. Miał doświadczenie, w finale Pucharu Europy z 1988 obronił decydującą jedenastkę w starciu PSV Eindhoven z Benfiką Lizbona, a zaraz potem został mistrzem Europy z Holandią, broniąc w finale z ZSRR karnego Igora Bielanova.

Ja taki dziennik prowadziłem, ale potem przestała to być prywatna sprawa bramkarza, analizowaniem i opracowywaniem sposobów strzelania karnych przez rywali zajęły się sztaby szkoleniowe i trenerzy. Przed finalem w Stambule dostałem dyskię z informacjami na temat, jak gracze Milanu wykonują jedenastki. Był tam między innymi karny Szewczenki z finału w 2003 roku.

Pomogło?

– Wtedy w Stambule przeżywaliliśmy wszyscy wielkie emocje.

Miałem mętlik w głowie. Poprosiłem naszego trenera bramkarzy, żeby ręką pokazywał mi, w który róg zawodnik Milanu powinien strzelać. Podbiegł do mnie Jamie Carragher, który ma w głowie całą historię piłki nożnej i zaczął przekonywać, żebym wywierał presję na graczach Milanu. „Pamiętasz, jak zachowywał się Bruce Grobbelaar w finale z 1984 roku?” – krzyczał. Pochodzący z Zimbabwe bramkarz Liverpoolu w decydującej serii jedenastek udawał między słupkami, że slania się na nogach ze zmęczenia, czym peszył strzelających graczy Romy. Miałem robić to samo. Stąd wziął się Dudek dance. Mój moment piłkarskiej nieśmiertelności (śmiech).

Do dziś postawa Liverpoolu w finale w Stambule jest wzorem piłkarskiej niezłomności.

– Tamten mecz przywoływany jest zawsze na dowód, że cuda w sporcie się zdarzają, tylko nie wolno tracić wiary. Wielu trenerów przypomina o tym swoim piłkarzom w różnych beznadziejnych sytuacjach. Jeżdżę po świecie i przekonuję się, że to, czego dokonaliśmy dwie dekady temu, zapisało się nie tylko w naszych sercach i w kronikach Liverpoolu, ale w historii piłki nożnej. Wydarzenia ze Stambułu budują legendę klubu z Anfield Road, doświadczonego takimi tragediami na Hillsborough i Heysel, gdzie życie straciło 97 i 39 ludzi. Ten pierwszy dramat sprawił, że w Anglii zniknęły ogrodzenia oddzielające trybuny od boiska.

Tuż po wielkim wzlocie Beniteza odsunął cię od podstawowego składu Liverpoolu.

– W sierpniu doznałem ciężkiej kontuzji łokcia. Do bramki stanął sprowadzony do klubu rodak Beniteza Pepe Reina. Nie było między nami złej krwi, ale wyładowałem na ławce, a on grał. Wcześniej, przez cały sezon 2004-2005 czytałem w prasie angielskiej, że trener chce mnie zastąpić, ale gdy go o to pytałem, odpowiadał, że to plotki.

Mimo wszystko do dziś uważam Beniteza za jednego z najlepszych trenerów, z jakimi pracowałem. Zna się na swoim fachu, choć relacje z ludźmi ma trudne. W 2007 roku ponownie doprowadził Liverpool do finału Ligi Mistrzów. Rywałem znów był Milan. Zespół z Mediolanu wygrał 2:1, choć tym razem byliśmy lepsi. Ja patrzyłem na to z ławki. A zaraz potem opuściłem Anfield Road i odszedłem do Realu Madryt. A na Santiago Bernabeu też często zagadywano mnie o niewiarygodny mecz w Stambule. ●

Jerzy Dudek

• (ur. 1973) – były bramkarz m.in. Liverpoolu, Realu Madryt i Feyenoordu. Wygrał m.in. Ligę Mistrzów, Puchar Anglii oraz Puchar Ligi Angielskiej, mistrzostwo Hiszpanii i Puchar Króla oraz mistrzostwo Holandii. 60 razy wystąpił w reprezentacji Polski, z którą awansował do finałów mistrzostw świata 2002 r.

Era

KIDNAPERERA



Od roku 1961 do końca 1972 uprowadzono w Stanach Zjednoczonych 159 samolotów pasażerskich. Czasami dwa tygodniowo.

Iwona Ślabuszevska-Krauze

Wloch Raffaele Minichiello w 1969 roku porwał samolot lecący do San Francisco i kazał pilotom lecieć do Rzymu. Za dwa dni miał stanąć przed sądem za napad na sklep i chciał uniknąć kary. Porwanie powiodło się lepiej niż napad, podczas którego pijany zasnął między pudłami ze sprzętem elektronicznym – nie dość, że doleciał do Rzymu, to w dodatku został tam bohaterem. A Włochy odmówiły wydania go władzom USA.

Pojawili się porywacze, którzy wyskakiwali z samolotu z okupem na spadochronie, licząc na miękkie lądowanie gdzieś w środku dżungli. Podczas jednego takiego skoku dolary wypadły porywaczowi i poruły na cztery strony świata.

ZDESPEROWANI

Zanim w portach lotniczych pojawiły się bramki magnetyczne, skanery ciała, urządzenia prześwietlające bagaż, karty pokładowe z kodem QR i woreczki strunowe na tubki past do zębów, wejście na płytę lotniska i do samolotu było banalnie proste. Pasażer nie napotykał żadnych przeszkód, choćby tak oczywistych jak kontrola dokumentów. Niektóre linie lotnicze pobierały opłatę za bilety, kiedy pasażer siedział już w samolocie. Podróżujący doświadczali prawdziwych luksusów – kawior na porcelanowej zastawie, kraby z Alaski czy darmowe drinki.

Bagaż był nietykalną rzeczą osobistą i biada temu, kto ośmieliłby się do niego zajrzeć.

Otwierało to drogę do powietrznego kidnapingu. W Stanach Zjednoczonych od roku 1961, kiedy doszło do pierwszego porwania, do końca 1972, który to rok był ich kulminacją, uprowadzono 159 samolotów pasażerskich. Czasami dochodziło do dwóch porwań w tygodniu. W ciągu ostatnich pięciu lat tego okresu porywacze bezwzględnie wykorzystywali opór linii lotniczych przed wprowadzeniem jakichkolwiek obostrzeń dotyczących kontroli na lotniskach.

Swoje dolożyły media – telewizje relacjonowały akcje ratunkowe na lotniskach, pokazując przy okazji zrozpaczone rodziny pasażerów. Cały kraj z zapartym tchem śledził te wydarzenia na ekranach telewizorów. Porywacz czuł na sobie wzrok wszystkich, był panem sytuacji. Dla sfrustrowanych outsiderów czy ludzi zaburzonych była to gra warta świeczki.

Psychiatra David Hubbard, który w latach 60. stworzył portret psychologiczny amerykańskiego porywacza, zwrócił uwagę na łączące wszystkich podobne przeżycia z dzieciństwa – wielu miało despotycznych ojców, nierzadko alkoholików, byli też słabsi fizycznie od rówieśników i wolniej się rozwijali. Naturalne było, konstatował lekarz, że chcieli doświadczyć poczucia własnej mocy i sprawczości. Uprawdając samolot, demonstrowali swoją wściekłość i rozczarowanie, a jednocześnie oczekiwali szacunku, zrozumienia, zauważenia. Samolot był dla nich symbolem nieograniczonej wolności.

Wśród porywaczy byli weterani wojny w Wietnamie, hazardziści, naukowcy, biznesmeni, zawodowi oszuści, matki z dziećmi przy piersi, odrzuceni kochankowie, pacjenci klinik psychiatrycznych, nastolatki oraz faceci w kowbojskich strojach.

Niektórzy porywali z powodów politycznych, głównie w pierwszym etapie epidemii. Inni, bo chcieli dotrzeć do odległego miejsca – na Kubę, do Szwecji czy Izraela, aby tam zacząć wszystko od nowa.

Gdzieś można znaleźć wspólny mianownik tych różnorodnych na pierwszy rzut oka motywacji porywaczy – niemal wszyscy ci ludzie byli zdesperowani i przekonani, że nie mają innego wyjścia. Tak jak wspomniany Raffaele Minichiello, który nie znalazł lepszego pomysłu na wydostanie się z osobistych tarapatów.

PORYWACZ NASZ PAN

Era piractwa powietrznego nie wzięła się znikąd. American dream przeżywał swój schyłek. Społeczeństwo miało dość wojny w Wietnamie i serwowanych mu idealistycznych hasel niemających pokrycia w życiu. Czas wiary w system, który obiecywał dobre państwo i dostatnie życie, kończył się. Niektórzy skreślali wówczas na ścieżkę hedonizmu, inni radykalizmu.

W szczytowym momencie powietrznej epidemii porywacze tak się rozochocili, że żądane okupy sięgały niebotycznych sześciocyfrowych kwot. Stawiali twarde warunki,

a linie lotnicze się nie targowały. Urowadzone samoloty musiały latać w odległe rejony świata, tankując po drodze paliwo i startując ponownie w powietrze.

Pasażerowie panicznie obawiali się porwań, ale linie lotnicze nadal nie były gotowe na zmiany. Oplacanie okupów wiązało się z mniejszymi kosztami niż zatrudnienie ochrony, wdrożenie systemu prześwietlania rentgenem bagażu czy zainstalowanie bramek wykrywających metal. Była to wyrachowana kalkulacja – zarządy linii lotniczych przede wszystkim obawiały się oskarżeń o ograniczenia wolności i utraty zaufania pasażerów, którzy mieliby się poddać tym wszystkim uciążliwym procedurom. Przerażała ich wizja kolejek do kontroli i protestów. Dlatego spełniały żądania porywaczy, nawet te najbardziej ekstrawaganckie i kosztowne.

Pilotów wyposażono w dodatkowe mapy, żeby mogli bezpiecznie polecieć w każdy zakątek świata. Dostali rozmówki amerykańsko-hispańskie, aby porozumieć się z kubańskimi porywaczami – bo porwań na Kubę było najwięcej. Stewardesy miały sprawdzać zakamarki samolotu i apteczki pierwszej pomocy w celu wykrycia potencjalnych ładunków wybuchowych. Główne przykazanie brzmiało: spełnić każde życzenie za cenę bezpieczeństwa pasażerów.

Epidemia porwań stała się na tyle głośna, że na drugiej półkuli towarzystwo Lloyd's of London za dodatkowe 70 dolarów zaczęło oferować ubezpieczenie od porwania pasażerom lecącym do Stanów Zjednoczonych. Z góry zakładano, że samoloty będą porywane tylko przez kubańskich zwolenników albo sfrustrowanych nieudaczników. Tymczasem epidemia piractwa powietrznego bujnie się rozwijała.

John Daily, psycholog i członek grupy do przeciwdziałania porwanom, stworzył formularz, który ułatwiał wylapywanie z tłumu podróżnych potencjalnego porywacza. Personel miał zwracać szczególną uwagę na zachowanie pasażerów przy odprawie, zwłaszcza na unikanie kontaktu wzrokowego czy nadmierną lub zbyt małą troskę o bagaż. Podejrzani byli sprawdzani wykrywaczem metalu, podobnie jak ich bagaż. Formularz profilujący zaczęto testować w 1969 roku i faktycznie udało się w ten sposób wyeliminować część zagrożeń. Wytypowane do sprawdzenia osoby nie miały nic przeciwko dodatkowej kontroli, a wręcz były zadowolone, że wreszcie coś się w sprawie bezpieczeństwa robi. System był jednak dziurawy, a formularz był jedynie połowicznym rozwiązaniem.

OPERACJA „SYZYF”

Roger Holder i jego partnerka Catherine Kerkow nie zostali przez personel lotniska

wytypowani do sprawdzenia. Bez problemu 2 czerwca 1972 r. wnieśli na pokład samolotu tykającą walizkę i uprowadzili samolot Western Airlines lot 701. Nie dość, że zostały spełnione wszystkie ich żądania, to jeszcze media na całym świecie ekscytowały się ich „wyczynem”, bo pobili rekord dystansu pokonanego przez uprowadzoną maszynę.

Cathy Kerkow miała wtedy zaledwie 21 lat, była hipisującą pięknoscią, miała długie czarne włosy i wspaniałą figurę. Szaleńczo zakochała się w czarnoskórym Rogerze Holderze, wysokim i szczupłym mężczyźnie z elegancko przystrzyżonymi baczkami. Ukrywał się, ponieważ wcześniej pod fałszywym nazwiskiem wystawiał czeki bez pokrycia. Kiedy się poznali, mieli wrażenie, że ich drogi już wcześniej gdzieś się przecięły, Holder uznał to za znak, że powinni razem dokonać czegoś wielkiego.

Operacja „Syzyf” miała polegać na uwolnieniu więzionej w Kalifornii Angeli Davis, komunizującej czarnej działaczki i profesorki filozofii. Holder chciał ją wymienić na pasażerów, których zamierzał puścić wolno, liczył też na spory okup. Mieli zamiar dolecieć do Wietnamu Północnego, gdzie Davis miałaby otrzymać azyl polityczny. Zakładał, że będzie bardzo szczęśliwa, mogąc w ten sposób opuścić Amerykę. Lotem do Hanoi chciał też zwrócić uwagę na bezsens wojny w Wietnamie.

Sam był synem żołnierza marynarki wojennej i weteranem wojennym. W Wietnamie szybko awansował. Chciał zostać tam jak najdłużej, i to w najbardziej wymagającej jednostce. Pewnego dnia został jednak złapany z marihuaną, zdegradowany do szeregowca i odesłany do domu. Był przekonany, że armia nie doceniła tego, co zrobił dla kraju. Postanowił odegrać się na państwie, które tak brutalnie ukarało go za małe przewinienie.

Z Hanoi porwany samolot miał polecieć do Australii, gdzie porywacze chcieli poprosić o azyl i pozwolenie na wybudowanie domu. Mieli sprowadzić do Australii córki Holdera – był żonaty z koleżanką ze szkoły, z którą miał bliźniaczki. Plan porwania był ukrywany przez Holdera do ostatniej chwili, nawet przed partnerką.

Przygotowując porwanie, wykorzystał znajomość z jedną ze stewardes, dzięki której latał za darmo na krótkich dystansach i sprawdzał procedury stosowane w liniach lotniczych. Analizował doniesienia o innych uprowadzeniach. Stworzył co najmniej siedem strategii porwania samolotu i napisał listę alternatywnych celów podróży na wypadek komplikacji.

Kiedy wreszcie opowiedział Cathy o swoim planie, była wniebowzięta, zadała tylko jedno pytanie: „W co mam się ubrać?”.



• **Pilnowany przez policję samolot pasażerski na międzynarodowym lotnisku Stapleton w Denver, porwany w styczniu 1972 roku** FOT. DENVER POST VIA GETTY IMAGES

SUKCES PRZEZ ŚMIERĆ

Holder liczył na to, że to, co zrobi, spotka się z uznaniem społeczeństwa, a Angela Davis wyrazi mu dozgonną wdzięczność. Tymczasem Angela nie miała pojęcia, że jej sprawa posłużyła jako pretekst do porwania samolotu. Poinformowana o tym kategorycznie odcięła się od wszelkich pomysłów Holdera i Kerkow.

Parę minut po godzinie 14, gdy samolot zniżał lot w kierunku lotniska w Seattle, Holder wstał z fotela i wszedł za zasłonkę do stewardes. Na blacie położył kartkę z tekstem, którego pierwsze słowa brzmiały: „Sukces przez śmierć... Jest nas czworo i mamy dwie bomby...”. Potem przeszedł do kabiny pilotów i pokazał tykającą walizkę z pryczepionym do jego dłoni miedzianym drutem. Zażądał trzech milionów dolarów, pięciu spadochronów i uzupełnienia paliwa na pustym pasie startowym.

Samolot, który porwali, z powodu zbyt małej pojemności baków nie był w stanie dolecieć do Wietnamu. Holder niezrażony zażądał większego i dostał go. Nie poleciał jednak po Angelę Davis. Pilot zablokował, że została on właśnie niewinniona. Holder uwierzył, nie było więc sensu jej odbijać. Po zatankowaniu samolotu w Nowym Jorku i zabraniu na pokład nawigatora lotów transatlantycznych porywacze zdecydowali, że nowym celem będzie Algieria. Po kilkunastu godzinach latania po Ameryce polecili w końcu na stronę Afryki.

Algierski funkcjonariusz przed wylądowaniem zapytał porywaczy, czego potrzebują. Holder odparł: bezpieczeństwa, azylu i odpowiedniego powitania przez Eldridge’a Clevera, przywódcę radykalnej partii Czarnych Panther. Wszystkie postulaty zostały spełnione.

SAMOLOT JAK BOMBA

W roku, w którym Holder i Kerkow sterroryzowali pilotów Western Airlines, trzech mężczyzn zagroziło, że rozbije porwany samolot o reaktor jądrowy, jeśli nie otrzymają natychmiast 10 milionów dolarów. W przestrzeni powietrznej robiło się naprawdę niebezpiecznie, a porywacze pozostawali niemal bezkarni. Zgodnie z prawem z 1958 roku porwanie samolotu nie było przestępstwem, sprawców można było sądzić jedynie za porwanie pasażerów i grabież użycia broni lub jej użycie.

Sytuacja zaczęła się zmieniać w związku z ryzykiem wykorzystania samolotów jako

bomb masowego rażenia. Rządowa Federalna Agencja Lotnictwa zarządziła stałe kontrole bezpieczeństwa na lotniskach.

5 stycznia 1973 roku wprowadzono obowiązkową kontrolę wykrywaczem metalu wszystkich pasażerów i fizyczną kontrolę bagażu. Nawet najbardziej oporni pasażerowie nie protestowali przeciw wykładaniu metalowych przedmiotów – kluczy czy zegarków – na tackę. Choć przejście przez bramkę zajmowało około 15 minut, nie odnotowywano żadnych incydentów. USA podpisały także umowę z Kubą o ekstradycji, co zniechęciło potencjalnych porywaczy do lotów w tamtym kierunku. Porwania ustawały.

Losy Holdera i Kerkow po dokonaniu porwania i wylądowaniu w Algierze nie były kolorowe. Nigdy nie zamieszkali we własnym domu w interiorze, nie sprowadzili też córek Holdera. Wyjechali z Algierii na fałszywych dokumentach i przez pewien czas mieszkali w Paryżu, gdzie Holder się leczył psychiatrycznie. W 1986 roku wrócił do Stanów i został postawiony przed sądem. Po Kerkow słuch zaginął.

LECIMY NA TEMPELHOF

Najwięcej przypadków piractwa powietrznego w tamtych czasach było w Ameryce, ale dochodziło do nich także w Europie Wschodniej. Różnica leżała w motywacjach, porywaczom z państw bloku wschodniego chodziło wyłącznie o przedostanie się na Zachód. W czasach PRL-u miało miejsce 25 uprowadzeń, oczywiście większość została wyciszona.

Do jednego z pierwszych przypadków porwania samolotu cywilnego Polskich Linii Lotniczych „LOT” doszło 19 października 1969 roku, kiedy dwóch porywaczy, obywateli NRD, zmusiło pilotów do zmiany lotu ze wschodniego Berlina na Zachodni. W sierpniu 1981 roku samolot lecący z Wrocławia do Warszawy też wylądował na lotnisku Tempelhof w Berlinie Zachodnim. Porywaczem był działacz „Solidarności” Jerzy Dygas, który sterroryzował załogę wniesionym na pokład granatem.

Na tej samej trasie 30 kwietnia 1980 roku ośmiu porywaczy uprowadziło samolot z 54 pasażerami. Podczas lotu wywiązała się bójka z obecnymi na pokładzie tajnikami. Pasażerowie obezwładnili ich i samolot bezpiecznie wylądował w Berlinie. Jak się później okazało, większość z nich stanowili członkowie rodzin porywaczy. Na płytę lotniska Tempelhof zeszło wtedy 36 osób, wszyscy zostali w Niemczech.

Ciekawy jest finał porwania samolotu przez Holdera i Kerkow. Otóż po otwarciu tykającej teczki okazało się, że zamiast bomby znajdują się w niej najzwyklejszy budzik oraz puste pudełko po maszynkach do golenia. ●

Antypolityka historyczna

Radość, nie duma

Duma, czy to narodowa, czy indywidualna, czy rodzinna, jest zjawiskiem raczej niemądrym.



Dyskusja profesorów Richarda Butterwicka, Roberta Traby i Marcina Napiórkowskiego o kształcie wystawy w Muzeum Historii Polski ukazała różne perspektywy, chyba mniej sprzeczne, niż się wydaje. Oczywiście, że muzeum powinno odrzucić skrajności, zarówno apologię, jak i samobiczowanie – mówi prof. Butterwick. Ale jest równie oczywiste, że muzeum powinno pokazywać obraz pluralistyczny – jak mówi prof. Traba. Myślę, że jest to do pogodzenia.

Natomiast zastanowiły mnie słowa dyrektora muzeum: „Mamy z tą dumą jakiś problem. Jakaśkolwiek wzmianka o niej uruchamia systemy alarmowe u pewnej części społeczeństwa. [...] W zdrowym społeczeństwie jest miejsce na dumę”. Uświadomiłem sobie, że we mnie słowo „duma” rzeczywiście uruchamia system alarmowy i jako historyk wiem dobrze dlaczego. Duma, czy to narodowa, czy indywidualna, czy rodzinna, jest zjawiskiem – jak mi się wydaje – raczej niemądrym. Nie da się go uniknąć; każdemu zdarza się być czasem dumnym, kiedy pokona jakąś trudność. W słabym natężeniu duma jest nieszkodliwa, w mocnym – niezwykle groźna. Analogia ze spożyciem alkoholu sama się narzuca. Trzeba ją tolerować, ludzie mają do niej prawo, ale nie należy jej rozniecać.

Tożsamość narodowa nie opiera się na dumie, tylko na wspólnocie symboli; pisała o tym wybitna polska socjolożka Antonina Kłoskowska: w inny sposób reagują na wiersze Mickiewicza czy Norwida niż na równie wielkich poetów zagranicznych, bo Mickiewicz czy Norwid współtworzą symboliczną otoczkę, która nadaje znaczenie mojemu światu. Takie poczucie wspólnoty symbolicznej nie wymaga żadnej dumy.

Jeśli nie duma, to co? Moja odpowiedź: radość. Bardzo się cieszyłem, kiedy Karol Wojtyła został papieżem, Lech Wałęsa dostał Nagrodę Nobla, gdy powstał rząd Tadeusza Mazowieckiego, kiedy Andrzej Wajda dostał Oscara. Całe moje pokolenie przeżywało to wraz ze mną.

To prawda, że cieszyłem się z tego wszystkiego o wiele bardziej, niż kiedy sukcesy odnosi-

li równie wybitni cudzoziemcy. Jednak różnica między radością a dumą polega chyba na tym, że kiedy cieszę się z sukcesów odniesionych przez swoich rodaków, to nie znaczy, że wywyższam je ponad sukcesy cudzoziemców.

W poczucie dumy jest zaś wpisane poczucie wyższości. Duma inaczej niż radość ma w sobie coś agresywnego – udało się mi, nam, swoim, lepiej niż innym. I druga różnica jest taka, że radość może dotyczyć osiągnięć ludzi spoza „mojej” grupy; bardzo się cieszę z istnienia różnych dzieł literatury, muzyki, sztuk plastycznych stworzonych przez ludzi z całego świata.

Ale jest jeszcze jedna kwestia. Niezależnie od tego, czy duma z przeszłości jest pożądana, czy nie, jej budzenie nie jest zadaniem żadnego muzeum. Muzeum geologiczne czy ogród botaniczny powinny przystępnie zaznajamiać laików z podstawami geologii czy botaniki. Tak samo muzeum historyczne ma dawać nam w atrakcyjnej formie jakąś porcję wiedzy historycznej i budzić pewną wrażliwość historyczną – podobnie jak galeria malarstwa ma w nas budzić wrażliwość artystyczną.

Jeśli poznanie historii Polski sprawi, że w pogłębiony sposób przeżyjemy swoją przynależność narodową, to dobrze, ale przecież to nie może być cel muzeum! A jeśli muzeum ma zaprezentować dzieje Polski według obecnego stanu wiedzy, to musi być pluralistyczne, bo w wielu kwestiach historycy nie osiągnęli ani nigdy nie osiągną wspólnego stanowiska.

Muzeum nie ma mówić, kto ma rację; czy na przykład dawna Rzeczpospolita upadła głównie przez swe wewnętrzne słabości, czy przez działania państw zaborczych; czy powstania miały sens, czy nie miały. Musi natomiast pokazać, że wśród historyków są to tematy sporne i jakie racje przemawiają za każdym ze stanowisk. Jak to zrobić – nie wiem, ale to pytanie do muzealników.

Idealem byłoby, gdyby turysta odwiedzający muzeum wychodził z niego, nadal nie znając odpowiedzi na te pytania, lecz wiedząc, że takie dyskusje istnieją i wzbogacają nas samym swoim istnieniem.

Ostatecznie całe piękno pracy historyka polega na tym, że rozważamy kwestie nierozwiązywalne, a w toku tych rozważań robimy się mądrzejsi, chociaż same pytania pozostają nierozwiązane.

Jeśli Muzeum Historii Polski będzie umiało w ten sposób ukazać przeszłość, odegra ważną rolę społeczną. Jeśli ześlizgnie się ku dumie narodowej, będzie podniecać nastroje, których jego twórcy z pewnością obawiają się w nie mniejszym stopniu niż ja. ●

Maciej Janowski

– historyk, zajmuje się dziejami Polski i Europy w XIX w.



Zargo, Raga, Urra, Gara, Jarga, Jarun, Era Czarodoro!” – słowa te z pewnością jeszcze wybrzmiewają nam w uszach i głowach. Wprawdzie ich autorka (współ z Patrykiem Kumorem i Emilianem Waluchowskim), Justyna Steczkowska nie „zaczarodorowała” jurorów innych krajów podczas niedawnego 69. Konkursu Piosenki Eurowizji (reprezentantka Polski uzbierała od nich 17 punktów, najwięcej od Australii), ale za to publiczności się podobało. A to o nią przecież chodzi najbardziej.

Wspominając jeszcze emocje z Bazylei dzisiejszą „Weekendówkę” poświęcimy głównie – bo będzie też o innych festiwalach, a co! – Eurowizji, ale za sprawą nie ostatniego, a pierwszego eurowizyjnego konkursu.

Odbył się on bowiem właśnie 24 maja 1956 maja, a gospodarzem, podobnie jak niedawno, też była Szwajcaria. W Teatro Kursaal w Lugano rywalizowali artyści z 7 krajów: Belgii, Holandii, Francji, Włoch, Luksemburga, Niemiec i Szwajcarii. Jurorzy z krajów uczestniczących w konkursie mogli każdej z piosenek przyznać od 1 do 10 punktów – włącznie z propozycją z własnego kraju. Utworów było w sumie 14 – po dwa z każdego kraju-uczestnika, przy czym obie piosenki Szwajcarii i Luksemburga wykonywał ten sam artysta/ka.

Jury głosowało na miejscu, ale bez przedstawicieli Luksemburga, w których imieniu zagłosowali gospodarze.

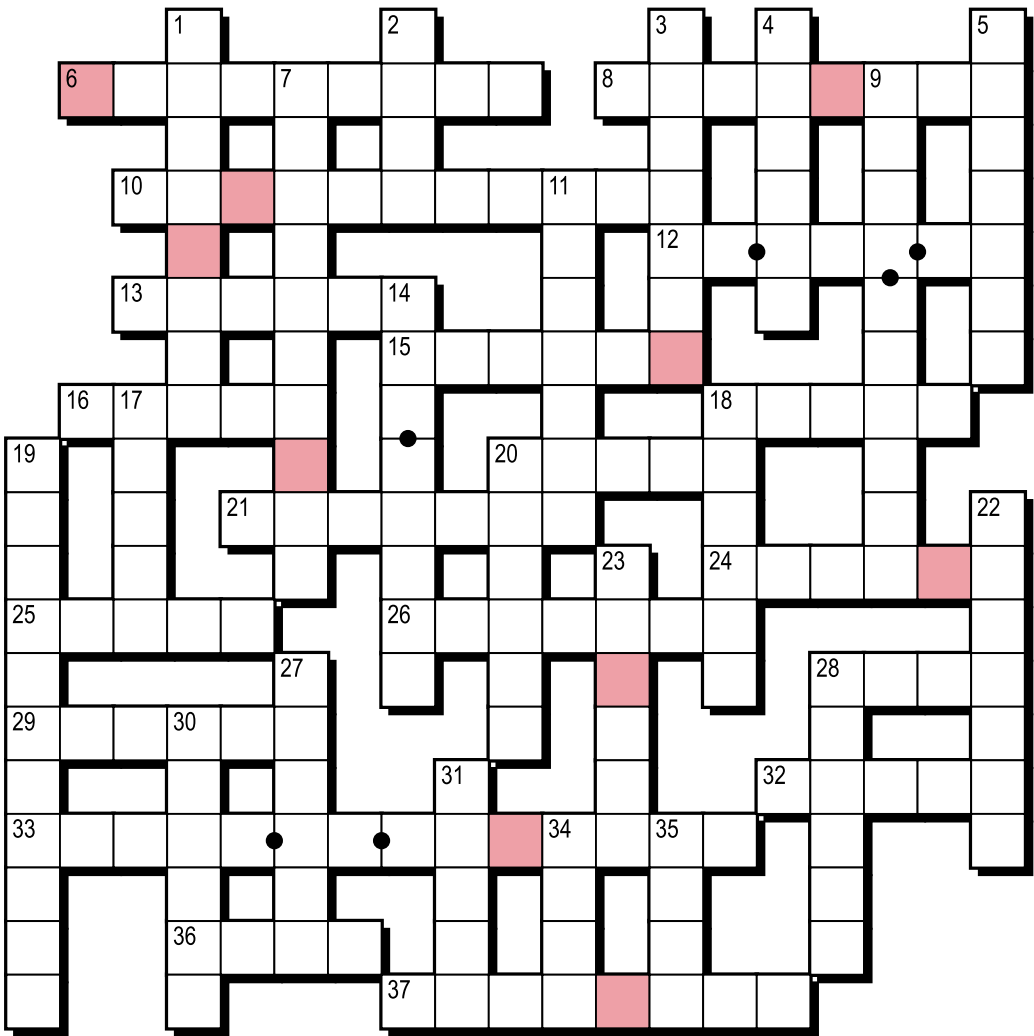
Czy to właśnie dlatego triumfowała Szwajcarka Lys Assia z utworem „Refrain”? Możliwe, choć wyników ani ostatecznej kolejności nie podano – ogłoszono tylko triumfatorkę. Nie zachował się też żaden protokół z rezultatów głosowania (próbowano później je odtworzyć, poprzez rozmowy z jurorami).

Nie ma też żadnego zapisu wideo z koncertu, choć relację z niego pokazano w 10 krajach (oprócz uczestników oglądali go widzowie w Austrii, Danii i Wlk. Brytanii).

Pierwszą osobą w historii, która zaśpiewała na Eurowizji, jest za to Holenderka Jetty Paerl – to ona otworzyła debiutancki koncert utworem „De vogels van Holland”.

Jeszcze dodajmy, że idea zorganizowania międzynarodowego konkursu piosenki wyszła od Sergio Pugliese, dziennikarza włoskiej telewizji RAI – nie bez znaczenia był fakt, że Włosi już od kilku lat z sukcesem organizowali festiwal w San Remo. Równie wielkie zasługi położył też Szwajcar Marcel Bezencon, dyrektor Europejskiej Unii Nadawców (EBU), która początkowo zrzeszała publiczne stacje telewizyjne z Europy Zachodniej (dziś ani nie ogranicza się do nadawców niekomercyjnych, ani do Starego Kontynentu).

Andrzej Kulasek
andrzej.kulasek@agora.pl



Rozwiązanie „Weekendówki” nr 154 z 17.05:

Poziomo:

- 5) Maria, Stuart, 9) potwór, 10) Walter Scott, 13) tartan, 15) jednorożce, 17) Skyfall, 19) Grampiany, 21) wyspy, 23) Gibson, 24) piosenkarka, 25) Igła, 26) serce, 28) Kamień, 29) Alba, 30) Angole, 31) Karol, 32) Kenneth, 33) ojczyzna.

Pionowo:

- 1) Kanada, 2) kilt, 3) Duncan, 4) Brytyjczyk, 6) stront, 7) Loch, Ness, 8) krzyż, 11) przystowie, 12) Bell, 14) Rob Roy, 16) Hadrian, 18) Lady Makbet, 20) psy, 21) whisky, 22) premierzy, 23) Glasgow, 27) rzeka, 29) Annie, 31) koc.

HASŁO:
SEAN CONNERY

KRZYŻÓWKA FESTIWALOWA

Litery w kolorowych polach, czytane kolejno rzędami, utworzą rozwiązanie.

Poziomo:

- 6)** tam w 1969 r. Janis Joplin wykonała piosenkę „Mercedes Benz”
8) duńskie miasto, gospodarz dużego rockowego festiwalu organizowanego od 1971 r.
10) Justyna, wykonawczyni piosenki „Gaja”
12) eurowizyjny hit Edyty Górniak
13) uczestnicy Konkursu Piosenki Eurowizja Junior
15) jego muzyka pobrzmiwa na festiwalu w Dusznikach-Zdroju
16) miasto w Wielkopolsce, gospodarz Międzynarodowego Dziecięcego Festiwalu Piosenki i Tańca

- 18)** kraj, w którym odbywa się festiwal Sziget (na wyspie na Dunaju)
20) ... koncertowa, czyli tournée
21) zdobywca nagrody podczas przeglądu, festiwalu
24) gastronomiczna – wydzielona na terenie imprezy
25) jedna z wielu na festiwalu takim jak 29 poziomo
26) oceniła występ artysty w talent-show
28) eurowizyjna piosenka Blanki
29) letni festiwal odbywający się niedaleko Gdyni
32) najlepsze pamiątki z koncertu (w smartfonie)
33) zakupiony, bo obejrzeć na żywo ulubionego wykonawcę
36) współautorka sukcesu piosenki „My, Słowianie”
37) wypemniają się po brzegi, gdy koncertują megagwiazdy

Pionowo:

- 1)** ... nad Odrą, wieloletni gospodarz Przystanku Woodstock oraz dwóch edycji Pol'and'Rock Festivalu
2) muzyka kojarząca się z festiwalem z określenia 22 pionowo
3) współautor sukcesu piosenki „My, Słowianie”
4) koncertowe telebimy
5) zapowiedź koncertu w mediach, social mediach
7) Mietek, wykonawca piosenki „Przytul mnie mocno” (Eurowizja 1999)
9) festiwal muzyki elektronicznej przez wiele lat organizowany w Berlinie
11) zespół występujący przed gwiazdą wieczoru (z angielskiego)
14) nagrali utwór „Keine Grenzen” (Eurowizja 2003)
17) stolica polskiej piosenki
18) Orange ... Festival

- 19)** angielski festiwal muzyczny organizowany w hrabstwie Somerset
20) sponsor festiwalu ... Nowa Muzyka w Katowicach
22) miasto, w którym odbywał się Ogólnopolski Przegląd Muzyki Młodej Generacji, przemianowany na Festiwal Muzyków Rockowych
23) ... Warszaw Festival
27) Męskie ..., cykl koncertów kojarzony z marką Żywiec
28) skojarz: Katowice, koncerty, naczynie
30) kraj, w którym odbywa się festiwal Rock am Ring
31) z Operą Leśną, w której rywalizowano o Bursztynowego Słowika
34) – I jak tam wczorajszy koncert? – Super, ale był ...!
35) San ..., gospodarz Festiwalu Piosenki Włoskiej

Leszek Rydz

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY



Kraj/34354617